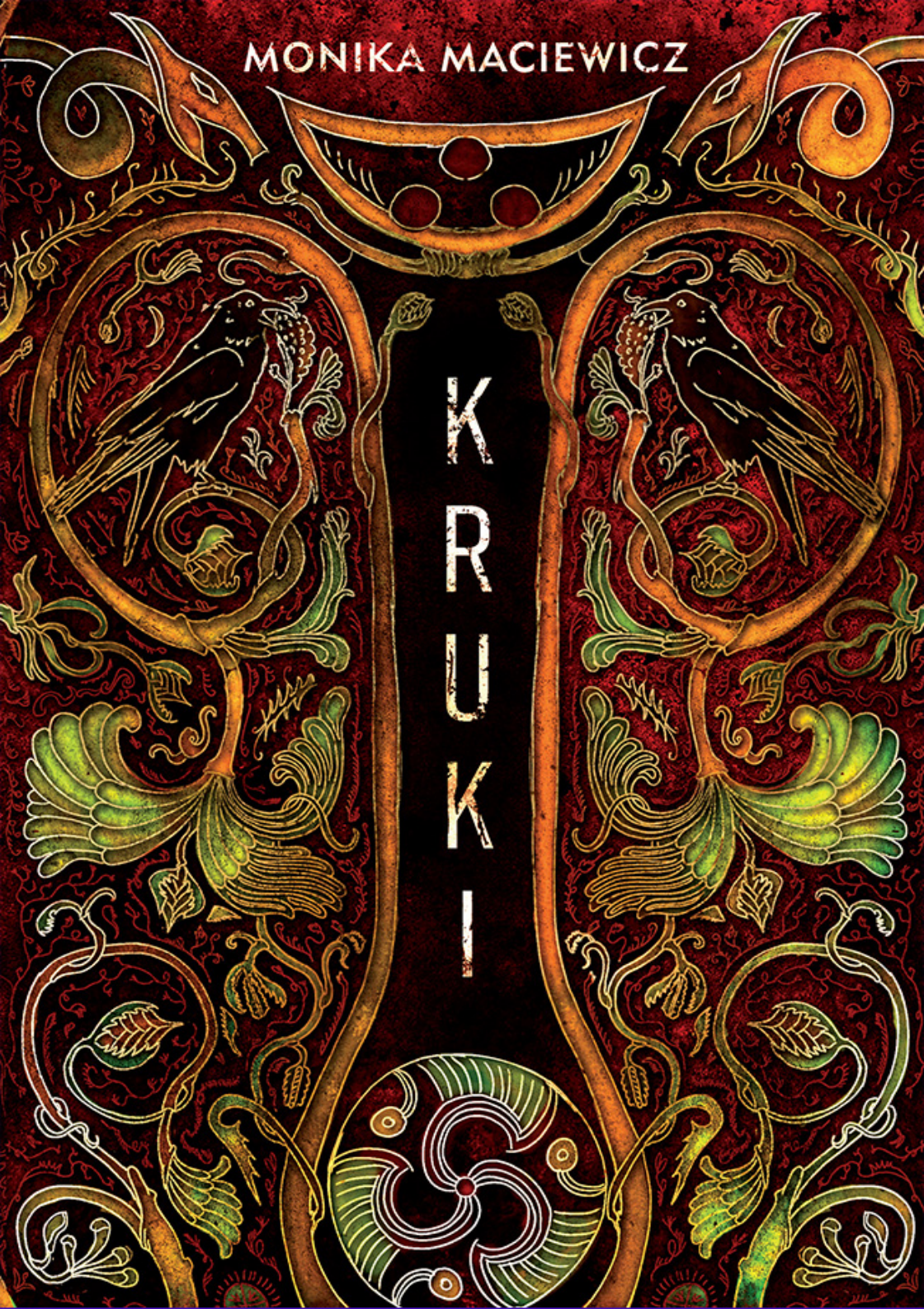


MONIKA MACIEWICZ

K
R
U
K
I



*Monika
Maciewicz*

Kruki

ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO

Monika Maciewicz
Kruki

ISBN

Copyright © by Monika Maciewicz, 2022
Copyright © for this edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2022
All rights reserved

Redakcja Julia Młodzińska
Korekta Daria Kozierska, Katarzyna Marcisz, Monika Maziarz
Projekt typograficzny i łamanie Grzegorz Kalisiak
Projekt graficzny okładki Tobiasz Zysk

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 2519
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

[Okladka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Znamię](#)

[Zły znak](#)

[Oberża](#)

[Kruk](#)

[Upirzyca](#)

[Nów](#)

[Mowa ptaków](#)

[Poselstwo](#)

[Borusz](#)

[Czarne Jezioro](#)

[Kamienna baba](#)

[Żertwa](#)

[Cicha](#)

[Wyrządzone zło powraca](#)

[Dary](#)

[Walka](#)

[Szaman](#)

[Pochówek](#)

[Pełnia Żniwiarzy](#)

[Kościej](#)

[Legenda o Borucie i Rokicie](#)

[Klątwa](#)

[Orzech](#)

[Swaćba](#)

[Słownik słowiańskich bogów, demonów i wierzeń](#)

[Słownik roślin](#)

*Wszystkim, którzy utwierdzili mnie w przekonaniu, że warto...
Dzięki Wam wciąż piszę.*

Znamię



Przewoźnik usłużnie wysiadł z łódki i zapierając się bosymi stopami o kamieniste dno rzeki, podciągał dziób do brzegu. Spoglądał ukradkiem na swoją pasażerkę. Nie widział dobrze jej twarzy ukrytej pod wełnianym kapturem. Jednak peleryna niewiasty z wyhaftowanymi nieznanymi mu symbolami, ozdobiona frędzlami, kamykami i piórami, była dość charakterystyczna. Takie peleryny nosiły wiedźmy.

Podczas przeprawy kobieta chętnie z nim rozmawiała, wypytywała o drogę, doradzała, jak leczyć bóle stawów, raczyła rozgrzewającą nalewką. Mimo uprzejmości, jaką okazywała, utrzymywała dystans nie do przekroczenia. Nie wiedział, czy wynika on z tonu jej głosu, czy z tego, że nie widział dobrze jej twarzy. Zastanawiał się, czy unika wzroku ciekawskich, czy po prostu osłania się przed zimnym, wiosennym wiatrem wiejącym od północy.

Szarpnął łodzią, zazgrzytały kamienie, niewiasta zachwiała się i chwyciła burty.

– Pomogę wam, Wiedmo! – zawołał i wyciągnął rękę.

Uniosła nieco wełnianą suknię, odsłaniając wysokie skórzane nogawiczki. Zgrabnie przeskoczyła na łód, pozwalając, by wytrenowane wiosłowanie ramię posłużyło jej za wsparcie. Przewoźnik ledwie dojrzał błądy uśmiech niewiasty.

– Niechaj ci Sanon, pan tej rzeki, sprzyja, a twa praca zapewni tobie i twojej rodzinie dostatek.

– Wdzięcznym ci, Wiedmo, i za życzenia, i za nalewkę z hyczki. Sanon już puścił z gór krę, to pennikiem już nic złego dzieć się nie będzie tego roku.

Niewiasta nagle ścisnęła kurczowo jego dłoń i pochyliła głowę.

– Co wam, Wiedmo?

Puściła jego rękę.

– Oby tak było, jak prawisz.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Przed wiedźmą wznosiła się stroma góra. Okoliczna ludność nazywała ją Nesnikiem, jako że wędrowali na jej szczyt pielgrzymi, niosąc dary Swarogowi. Po lewej stronie nierównego stoku odcinało się wzgórze, na którym zamiast drzew widniała drewniana palisada. Był to Przemysł. Gród obwarowany ziemnymi wałami oraz drewnianym częstokołem, położony na skalnym tarasie, wydawał się nieprzystępny dla potencjalnych wrogów.

Wyżej Wzgórza Grodowego, po prawej stronie, na kolejnym wzniesieniu zwanym Górą Szumską,

dumnie wznosiły się drewniane wieżycy zamczyska. Proporzec z wizerunkiem niedźwiedzia nad najwyższą wieżą informował o obecności w zamku knezia Lestka, potomka księcia Przemysława, założyciela grodu nad Sanem.

Przed kobietą wiała się ostro w górę kamienista droga prowadząca wzdłuż wodnego cieku. Wiedma mogła wybrać szerszy i łagodniejszy trakt wiodący do grodu od wschodniej strony, jednak musiałaby nadrobić drogi, a grodzisko nie było celem jej wędrówki. Ruszyła więc stromym szlakiem wydeptanym przez przybywających od strony brodu. Wkrótce dotarła do prawie pionowej skalnej ściany, na której szczycie jeżyły się ostre belki przygrodzia. Wiedziała, że musi je minąć i piąć się w stronę drewnianego zamczyska.

Dzień był słoneczny. Dadźbóg osuszał ziemię z pozimowych roztopów. Wokół drogi roztaczały się łąki, które dopiero zaczynały nieśmiało zielenieć pod wypłowiałą suchą trawą. Drzew prawie nie było, wycięto je do budowy i remontowania grodu oraz zamczyska, poza tym zasłaniałyby widok strażnikom spacerującym po podestach wzdłuż palisady obydwu obwarowań. Wkrótce ujrzała połyskujące na wieżyczkach szlomy Lestkowych wojów, nad częstokołem przemieszczały się włócznie, co znaczyło, że zamek jest pilnie strzeżony.

Strażników można było spotkać nie tylko na terenie zamczyska, ale i w grodzisku lub na drodze pomiędzy wspomnianymi obwarowaniami. Wszak przemyski gród leżał w miejscu, gdzie krzyżowały się wszystkie najważniejsze szlaki kupieckie. Rozkwitał dzięki rozwojowi handlu drewnem cisowym, solą i płodami rolnymi, w które obfitowały nadszańskie tereny. Szczycił się wybitnymi rzemieślnikami, gamcarzami, wytwórcami szklanych ozdób – musiał więc być pod stałą opieką potomka słynnego Przemysława.

Wiedma kroczyła tuż u stóp Góry Szumskiej, minęła zamczysko, odprowadzana zaciekawionymi spojrzeciami strażników. Ścieżka nieprzerwanie prowadziła w górę. Kobieta mimo zmęczenia nie zatrzymywała się, by nabrać sił i uspokoić oddech. Jej myśli zaprzętała wizja, którą miała przed chwilą. Krótka, trudna do odtworzenia. Przekonanie, że słowa przewoźnika się nie spełnią. Czują jego strach. Strach, który dopiero nastąpi. Strach odbierający możliwość działania, mówienia i myślenia. Otrząsnęła się i rozejrzała wokół. Nie widząc nikogo w pobliżu, zdjęła kaptur i wystawiła twarz na promienie Słońca. Próbowała myśleć o czymś innym.

Zaczęła wypatrywać ziół rosnących niedaleko drogi. Podbiały kusily swymi słonecznymi główkami, by się nad nimi pochylić. Gwiazdnice nieśmiało rozchyłały białe płatki, dziwiąc się, że jeszcze inne rośliny nie rozbijały się na tyle, by je stłamsić. Poczują zapach czeremchy. Kwitnące krzewy rozciągały się u podnóża kolejnej stromizny.

Nagle rozległ się terkot. Wstrząsnęło nią, serce przyspieszyło. Kruk wyleciał zza krzewów i znów zaterkotał. Zniżył lot i przysiadł tuż przy ścieżce. Przekrzywiając łebek, z ciekawością przyglądał się wędrującej. Gdy się zbliżyła, odfrunął kawałek, ale nie odleciał. Znow czekał, aż się zbliży. Poderwał się i za chwilę przysiadł. Sprawiał wrażenie, jakby chciał jej towarzyszyć. Nie odlatywał, choć trzymał się na bezpieczną odległość. Podmuchy wiatru były coraz silniejsze. Kruk wtedy wznosił się, rozpościerając skrzydła, poddawał się fali powietrza, lekko szybując. Tak towarzyszył jej aż na sam szczyt Nesnika.

Gdy dotarła na rozciągający się ze wschodu na zachód grzbiet góry, ujrzała wreszcie cel wędrówki. Na wysokim kopcu przypominającym kurhan widniała niewielka, lecz znana na całą okolicę budowla. Cel licznych pielgrzymek. Miejsce święte. Chram¹ Swaroga, pana Słońca, mającego też władzę nad ogniem. Teraz w porze przedpołudniowej, gdy Dadźbóg wznosił się na dwa dęby, świątynia wyglądała

jak część tarczy słonecznej. Nie sposób było na nią patrzeć, gdyż otaczające ją promienie Słońca raziły swym wręcz bolesnym blaskiem.

Mieszkańcy grodu i okolic przybywali tu, by prosić o wróżbę, radę lub po prostu oddać cześć Swarogowi i złożyć dziękczynną ofiarę. Wiedma była tu przed laty z ojcem, jeszcze jako mała dziewczynka, i niewiele zostało w jej pamięci poza niejasnym obrazem wyrytych na zewnętrznych ścianach świątyni rysunków. Ojciec zostawił ją wtedy pod gontyną, a sam udał się na rozmowę z żercą. Gdy wrócił, zdawał się rozartagniony, zamyślony, zbywał milczeniem jej nieśmiałe pytania.

Teraz zdyszana zatrzymała się u podnóża kopca. Zdjęła kaptur, pelerynę i upchnęła je do podróznego worka. Czekał ją najbardziej stromy odcinek drogi. Z góry ostrożnie schodziła grupa pielgrzymów. Przywitani się uprzejmie.

Podczas wspinaczki na kopiec nad jej głową wznosiło się już kilka kruków. Wiedziała, że to święte ptaki. Te, które przepowiadają przyszłość. Nie zazdrościła im. Swaróg obdarzył je darem wróżenia jak ją Perun darem jasnowidztwa. Miała świadomość, że to, co jest darem, może być również przekleństwem.

Zatrzymała się przed chramem. Drzwi były otwarte. Mroczne wnętrze budynku przecinał ostrym blaskiem snop światła i zatrzymywał się na ciemnym klepisku świątyni, tworząc kształt swaróżycy. Urzeczona spoglądała na grę światła i cienia.

– Na Swaroga! Jeszcze gotowa wleźć! – usłyszała ostry, skrzekliwy głos.

Wnętrze świątyni zasłoniła postać starca wspartego na kosturze. Wyszedł pospiesznie z chramu, niezgrabnie zamykając drewniane wrota.

Miał sięgającą do kostek tunikę, haftowaną czerwonymi nićmi i przepasaną sznurem w tym samym kolorze. Długie siwe włosy i równie siwa broda sięgały do opiętego szata brzucha.

– Pielgrzymi dary składają do wiklinowych koszy. – Wskazał kosturem na pojemne skrzynie z parcianymi taśmami przypominającymi szelki.

Nie ruszyła się z miejsca. Było jej wstyd, bo nie zabrała z sobą żadnej ofiary, którą by mogła złożyć do wspomnianego kosza.

– A ty po coś przyszła? Po wróżbę? Przyszłość chcesz poznać? Wszutki by chcieli odpowiedzi, na wszystkie pytania. Kiedy iść w swaćbę², kiedy siać, kiedy zbierać, kiedy się spierać albo i godzić. Który mąż się bardziej nada i jaki czas najlepszy na chędożenie.

– Nie chcę znać przyszłości, ona sama do mnie przychodzi.

Umilkł i przyjrzał się jej uważnie. Nagle twarz mu się rozpogodziła, a zmarszczki wokół ust rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu.

– To wyście Wiedma z Ostrowia. Nie poznałem.

– Bo się nie znamy – odparła zadziwiona jego nagłą zmianą.

– Znamy się. Znamy. Byłaś tu jako mała podwika, gdy cię jeszcze Biwιά zwano. Rodzic twój chciał cię przed przeznaczeniem chronić. Nie wiem, z jakiej przyczyny ludzie myślą, że jak kto przyszłość widzi, to może jej kształt nadawać – znów popadł w swój zrzędlawy ton. – Udało ci się kiedy zmienić czyj los?

– Nie. Nawet swego nie potrafię.

– O! I to jest przekleństwo widzących! – wykrzyknął z emfazą. – Chodź, oprowadzę cię. Do chramu nikomu poza żercą wejść nie wolno, bo to miejsce święte. Tu od zachodu mamy dźwirze, a na nich wyryte znaki. Potrafisz je odczytać? – spytał, ale wcale nie czekał na odpowiedź.

Pociągnął ją za ramię i poprowadził do południowej ściany.

– Mokosz. – Wskazał na dość czytelny, choć mało subtelny wizerunek niewiasty wyryty w desce.

Postać trzymała w jednej ręce kłos pszenicy, a w drugiej róg służący do picia. – Ponoć gdzieś daleko na północy jest chram, gdzie idol trzyma w ręku róg. Żerca nalewa doń miód i czyta przyszłość. I cóż? – westchnął. – Swaróg takowego idola nie ma. Jakże mi wróżyć w gontynie? Tylko kruki mi pozostają, ale one nic dobrego nie wróżą.

– A to Kuślak. – Pokazał namalowaną sylwetkę mężczyzny odzianego w białą tunikę i czerwony płaszcz. Postać nosła ozdobiony kolorowymi wstążkami totem przedstawiający zamknięty w kole kołowrót, a w drugiej ręce trzymała przedmiot przypominający niewielką maczugę, zakończoną kulą z licznymi wypustkami niczym promienie słoneczne. Wokół rozbłyskały białą farbą gwiazdy. – Prowadzi do Nawii – dodał żerca i westchnął, jakby uświadomił sobie, że i jemu jest przeznaczony taki los. Dopiero teraz kobieta zauważyła, że podążające za Kuślakiem postacie niosą popielnice.

Od wschodu w górnej części ściany widniała wycięta w kształcie swarozycy rozeta. Pod nią brodata postać trzymała w ręku piorun, a obok u jej stóp płonął ogień. Wiedma bez trudu domyśliła się, kogo przedstawia wyrzeźbiona i pomalowana czerwoną farbą postać. Odruchowo dotknęła krwistego znamienia na policzku. Miała je od niedawna i bardzo starała się ukryć przypominającą kulisty piorun płamę. Wstydziła się znamienia i okoliczności jego pojawienia się.

Żerca jednak już ją prowadził na północną stronę świątyni.

– Strzybóg ściga Dodole. – Starzec obliznął suche wargi. Dziewczęca postać obrysowana niebieską farbą wylewała przez przetak wodę, która strużkami sączyła się na ziemię. Ku niej podążał z rozwianymi włosami bóg wiatru.

Wiedma już nieraz uczestniczyła w obrzędzie przywoływania deszczu. Odziewała wtedy dziewczynkę z osady w gałązki brzozy i niewiasty polewały ją wodą. Wszyscy wtedy śpiewali: *Oj dodo, oj dodole!* Inaczej jednak sobie tę Dodole wyobrażała.

Świątynia mierzyła około pięciu kroków wzdłuż i trzy kroki wszerek. Pod okapem przy ścianach stały ławeczki. Żerca westchnął jak po wielkim wysiłku i przygiął swym niebagatelny ciężarem jedną z nich. Wiedma z ulgą usiadła obok.

– Po co mnie wezwaliście? – nie wytrzymała. – Przecie nie po to, bym malunki na chramie oglądała.

Znów westchnął. Tym razem z rezygnacją.

– Poznać cię chciałem. Cóżeś uczyniła, że ci Perun zadał na jagodzie³ znak swój? – spytał nieoczekiwanie.

– Nadużyłam jego mocy – odparła, zasłaniając dłonią policzek.

– Gdyś brata ratowała?

– Nie. Brata Perun ocalił drzewiej. Zaś ten znak – westchnęła – to inna opowieść.

– Opowiedz zatem.

– Nie ma o czym. – Czuła, jak rumieniec oblewa jej twarz i szyję.

Żerca skrzywił się niezadowolony.

– A co się dzieje z twym bliźnim bratem Bartusem? Czy to też tajemnica?

Bartus, niegdyś najbliższy jej człowiek, wszedł w swabę z piękną boginką, która pragnąc urodzić dziecko, stała się odrażającą mamuną. Porzucił szkaradną małżonkę wraz dzieckiem. Pośrednio przyczynił się do jej śmierci, a ich potomka w zawierusze walki pomiędzy ludźmi i dzikimi zwierzętami ocaliła ona, niedoświadczona jeszcze wiedźma. Bartus, znając zwierzęcą mowę, zyskał władzę nad dzikim zwierzem i został opętany przez najniebezpieczniejszego demona – biesa. Ten uczynił go okrutnym, krwiożerczym człowiekiem, nienawidzącym swego gatunku.

– Ninie Bartus służy żmijowi – odparła oględnie.

– Zatem niechęć do ludzi w nim pozostała. – Żerca szybko wyciągnął wniosek. – Stroni od nich.

Przygryzła dolną wargę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć po takiej, rzuconej naprędce, diagnozie, zwłaszcza że jej obserwacje prowadziły do podobnych refleksji.

– Ma staranie o syna i o żmijowe półludzkie dziecię. Czego żmij nie zdoła nauczyć swego potomka, czyni to Bartus – odparła po chwili wahania.

– Tako, jemu nawet zaklinacza nie trza, by rozumieć żmijową mowę.

Wiedma spojrzała podejrzliwie na żercę. Stanowczo zbyt dużo wiedział o niej i o jej rodzinie. Ona знаła tylko jego imię, zresztą bardzo podobne do tego, które jej wybrała poprzedniczka podczas inicjacji.

– Wiedzimirze, wezwaliście mnie, by rozpytywać o los mego brata? Snadnie się rozezналиście. Mnie spieszo do mych zajęć. Jare Gody niedługo.

– Togodła⁴ po ciebie posłałem. Ninie wiosną wszystko rozruch bierze. Panny po wróżbę przychodzą, czy iść w swaćbę. Kupcy, którą drogę obrać, by bezpiecznie wędrować. Mężę zapytują, gdzie siać po Jarych Godach, by urodzaj Mokosz dała. Opędzić się nie sposób. A ja już swoje lata mam i sił zbywa.

– Ucznia sobie przysposobcie, bo ja wiedźma jestem, nie żerca.

– Ale przyszłość widzisz.

– Wy też.

– Ja nie widzę. Do mnie znaki mówią. Ogień, woda, kruki.

– I co? Przeształy mówić, żeście mnie wezwali? Ja nie znam ich mowy.

– Chodź – sapań, podnosząc się z trudem. – Pokażę ci.

Podreptał do wiklinowego kosza i wyciągnął zeń woreczek z ziarnem. Podał go wiedźmie i sięgnął do drugiego pojemnika na dary. Wyciągnął coś, co trzymał za długie uszy z dala od siebie. Kobieta ze zdziwieniem skonstatowała, że to nieżywy zajęc. Jego szare futro miejscami sklejone było krwią.

Jak na zawołanie w powietrze wzbilo się spore stado kruków. Unosiły się nad nimi, prawie nie poruszając skrzydłami, szybowały.

– Zawsze było ich tu kilka, ninie cała chmara przybyła z zachodu. Patrz, jak latają, jakby czekały na co. Ale to nie wszystko.

Rzucił na wydeptany przed świątynią placyk truchło zajęcia. Wziął od Wiedmy woreczek z ziarnem, rozsypał i wysypał je. Odsunęli się, by nie stać zbyt blisko którejś ofiary. Kruki zakrakały i rzuciły się na padlinę, rozszarpując ją zajadłe.

– Nie tykają ziarna, wołają padlinę. Nie wróży to nic dobrego. Nie wiem, wojnali idzie ku nam i dlatego ich tak wiele, bo na ludzkie mięso czekają? Albo wody Sanu przybiorą i zaleją pola? Może susza i nieurodzaj nastaną? Nad gród licznie latają. Bliżej im od wschodu, a one oblatują wzgórze i zawsze wpadają od zachodniej strony. – Żerca był wyraźnie zafrasowany, zmarszczki wokół jego ust zbiegły się na kształt gniazda.

– To nie wiecie, co złego zwiastują?

– Wygląda, jakby wszystko złe tego roku miało nadejść. Na Jare Gody kneź po wróżbę przyjdzie i co mu rzeknę? Że kruki ostrzegają? Ale przed czym? Madjarowie uderzą przez rzekę? A może Rurykowicze nadejdą ze wschodu? Albo lud do Nawii tłumnie powędruje, bo głód nastanie? Aczkoli jaka jego przyczyna? Susza czy nadmiar wody? Niedobrze przepowiedzieć nieszczęście, a nic konkretnego nie rzec. Mój poprzednik często mawiał: Nie możesz przynieść dobrych wieści, nie przynosi żadnych.

– Chcecie, abym to ja zaniosła złe wieści?

– Nie. Widząca jesteś. Spójrz w przyszłość, a rzeknij, co złego do nas przyjdzie.

– Wizje same ku mnie przychodzą, moja władza nad nimi niewielka. Nie chcę zbytno naprzykrzać

się losowi i rodzanicom, by mnie za wścibstwo nie osmalili jak Swaróg kruka.

– Perun przywołany ponoć naznacza twe ciało. – Spojrzał wymownie na czerwone znamię na policzku niewiasty. – I słyszałem, że święty dąb masz na plecach jego piorunem wyryty. – Wiedźma znów poczuła, jak rumieniec pali jej twarz. – Ja o nic wielkiego nie proszę, ino o wizję.

Wiedma zamilkła. Mogła oczywiście wprowadzić się w stan widzenia, wystarczyło nakreślić krąg, ułożyć znak z magicznych kamieni i zacząć intonować zaklęcia. Jednak było to bardzo wyczerpujące i nie miałyby już sił na powrót tego dnia do domu. Tymczasem żerca nie proponował jej ani noclegu, ani nijakiej zapłaty.

– Chwała Swarogowi, najwyższemu z bogów! – zawołał ktoś. Wiedźma drgnęła.

Po skarpie kopca wspiął się mężczyzna, ciągnąc za rękę niewiastę. Gdy zbliżyli się, człowiek nagle się zatrzymał. Oszołomiony spoglądał na Wiedmę.

– Chwała – odparł niechętnie Wiedzimir. – Co was tu sprowadza?

– Eee – mężczyzna nie mógł wyartykułować, po co przybyli. Spojrzał spłoszony na żonę.

– Chcemy złożyć dzięki Swarogowi za nowe domostwo i prosić o ochronę oraz dar rodzicielstwa – niewiasta wyjaśniła pogodnie.

– Tako. Eee... tako. I dary dla jasnego pana niesiemy.

– Wiedzimirze – Wiedma nagle zwróciła się do żercy – ninie masz obowiązki. Przychyłę się do twej prosby, aczli ujrzę coś, to poślę po ciebie. – Szybko odwróciła się i usilnie wpatrując się w ścieżkę, ruszyła w dół kopca. Nie spojrzała już ani razu w stronę przybyłych.

– Poślę? – Żerca aż zapomniał z wrażenia domknąć usta. – Po mnie?

Wiedma prawie biegła z góry. Zatrzymała się dopiero koło podgrodzia. Nie spodziewała się takiego spotkania. Siemowit. Nie potrafiła mu spojrzeć w oczy, a tym bardziej jego żonie. Byli jak wyrzut sumienia. Jak znamię, które pozostało jej na policzku.

¹ Chram/gontyna/kęcina – nazwy świątyń w religii Słowian.

² Swaćba (swadźba) – ślub.

³ Jagoda – policzek.

⁴ Togodla – przeto, więc, dlatego.

Zły znak



Leżała jak długa na błotnistej ścieżce w pobliżu grodu. Usiłowała ukłęknąć, lecz ból w kolanie szybko zweryfikował jej próby. Syknęła i ostrożnie przysiadła. Podciągnęła suknię, by obejrzyć stłuczone miejsce. Krew na obtartym kolanie zmieszała się z brudną ziemią.

– Zły znak – mruknęła cicho.

Wiedziała już, że nie można lekceważyć złych znaków. Ostrzegają. Tak jak kruki ostrzegają Wiedzimira.

Ostatniego lata znaki próbowały ją powstrzymać przed niepotrzebną wędrowką, ale ona była uparta. Jaki był tego skutek? Skrzywdziła ludzi, tych, których chwilę wcześniej spotkała. Czerwone znamię na policzku długo nie pozwoli jej o tym zapomnieć. Czy to przypadek, że ich dziś ujrzała?

Szła wtedy drogą prowadzącą w pola. Była radosna, wręcz w uniesieniu. Uśmiechała się do niewiast uginających się pod ciężkimi płachtami z pachnącym sianem. Wykorzystując słoneczną pogodę, znosiły je do sióła. Inni prowadzili zaprzęgnięte do drabiniastych wozów woły. Proponowali, że ją podwiozą. Odmawiała. Czekala. Czekala, aż nadjedzie ten jeden jedyny wóz. To ze względu na niego tędy szła.

W pobliżu rozciągał się las, a za nim połacie nieskoszonych łąk. Wiedma nie bywała tam, знаła inne miejsca obfitujące w dziurawiec i macierzankę, które należało już zrywać. Tym razem jednak postanowiła się wybrać w te okolice, bo wiedziała, że Siemowit będzie tędy przejeżdżał. Kiedy poprzedniego wieczoru odprowadzała go do łodzi, szepnęła na odchodnym:

– Może obaczymy się nazajutrz. Pójdę drogą, gdzie wasze pola.

– Może – odparł krótko.

Nie zastanawiała się, czy on tego chce, bo właściwie pragnęła go tylko zobaczyć. Wiedziała, że będzie jechał w pole ze swą żoną. Tym bardziej nie spodziewała się niczego po tym spotkaniu. Ot popatrzeć na siebie, nacieszyć oko i ruszyć do swych obowiązków.

Siemowit w tajemnicy odwiedzał ją już od wielu miesięcy. Zawsze wyczekiwała go, tęskniła. Niczego od niego nie chciała prócz tych upojnych wspólnych chwil wydartych codzienności. On miał żonę, swoją chatę i poważanie w sióle. Nie doczekał się dzieci, więc swańca z kolejną niewiastą nikogo by nie dziwiła, nawet pierwszej żony. Ale spotkania z wiedźmą mogły się nie spodobać sąsiadom ani rodzinie. Nie chciał tracić szacunku we wsi, a Wiedma nie chciała mu go odbierać. Swańca z nią nie miałyby żadnego uzasadnienia, bo wiedzące nie rodziły dzieci. Utrzymywali więc swe spotkania w tajemnicy. Uznali, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Teraz szła traktem, a każdy turkot kół wywoływał w jej sercu drżenie, jakby była częścią tej drogi. Oglądała się co chwila. Wreszcie zobaczyła. Wół ze spokojem ciągnął drewniany wóz. Siemowit trzymał lejce, obok siedziała jego żona. Spod jej chustki wymykały się rudawe kosmyki włosów. Z racji upału i ciężkiej pracy w polu miała na sobie jedynie spodnią suknię. Wiedma znów się obejrzała. Siemowit patrzył na drogę, nawet na nią nie spojrział. Żona o coś go zapytała, a on uśmiechnął się, przełożył lejce do lewej ręki, a prawą objął niewiastę. Minęli ją. Nie obejrzał się.

Skreśliła w pierwszą wydeptaną ścieżkę. Krzyknęła na Jantara. Kot miauknął i posłusznie podążył za swą panią, wyczuwając jej zły nastrój. Nie wiedziała, dokąd prowadzi ta ścieżka, ale było jej wszystko jedno. Nie płakała. Od pamiętnej walki z Bartusem i o Bartusa nie uroniła ani jednej łzy. Za to czuła, jak narasta w niej gniew.

Nie umiała nazwać uczucia, które żywiła do Siemowita. Nie potrafiła już kochać, przynajmniej tak, jak kiedyś. Jarowar, pierwsza młodzieńcza miłość, zginął z rąk jej brata. Znów Żegota, z którym połączył ją czar zaklętej kościanej igły, wyjechał szukać syna i nie liczyła na to, że kiedykolwiek się spotkają. A Siemowit? Siemowit był piękny. Muskularne ciało, chłopięca twarz, od której nie sposób oderwać oczu. Tak sobie wyobrażała przyłożnika – demona, o którym z wypiekami na twarzach rozповідаły baby, rozglądając się, czy aby mężowie tego nie słyszą. Domyślała się, że Siemowit jej nie kocha, ale czuła się samotna i chciała mieć kogoś, komu choć trochę by na niej zależało. Chciała czuć, że jest dla niego ważna, że on tak samo pragnie i pożąda jej obecności, jak ona jego. Pod tym względem nie różniła się od innych kobiet. Jedyna różnica polegała na tym, że jako wiedźma nie mogła założyć rodziny i, co było najbardziej bolesne, musiała się wyrzec macierzyństwa.

Rozejrzała się. Ścieżka prowadziła u stóp wysokiej skarpy obrośniętej dziurawcem. „Przecie po to przyszedłam” – pomyślała. Postanowiła zająć się zbiorem tego pożytecznego zieleńca, które zresztą jest najlepszym lekiem na frasunek. Zatrzymywała się co chwila, łamiąc twarde łodygi. Niektóre jednak były łykowate i zmuszały ją do dłuższej szamotaniny. Sięgnęła po kozik, by ułatwić sobie zrywanie. Przytulona do skarpy przecinała odporne łodygi. Nagle poczuła pieczenie na rękach, dekolcie, szyi, brzuchu. Czerwone mrówki w bojowym zapale cięły skórę, zaskoczone jej pojawieniem się tak jak i ona ich. Zaczęła je strzepywać, wyciągać spod sukni, strącać z włosów. Wreszcie uporała się z wojowniczymi owadami.

– To zły znak, Jantarze. Nie powinniśmy dalej iść tą drogą.

Poszli. Wewnętrzny głos mówił jej: zawróć. Nie posłuchała.

Rozmyślała o Siemowicie. Wspominała chwile z nim spędzone. Kiedyś czuła się pożądana, kiedyś gotów był zrobić wszystko, by spotkać się z nią albo chociaż ją zobaczyć. Śledził każdy jej ruch, gest, grymas. Chciał ją uszczęśliwić, a ona mu na to pozwalała, uszczęśliwiając też jego. Skończyło się. Od pewnego czasu miała wrażenie, że ta fascynacja gdzieś znika. Teraz miała już pewność. Czuła się jak wyrzucona gałgankowa lalka, która spowszedniała rozkapryszonemu dziecku. W przeciwieństwie do lalki ją przepętniała złość. Gniew zdominował wszystkie jej myśli. Kipiwał niczym odwar.

Dotarła do rozwidlenia. Usiadła. Chciało jej się pić. Pomyślała, że pobliska brzoza użyczy jej odrobiny swych soków. Sięgnęła po kozik. Nie było go przy sznurze. Przypomniała sobie szamotaninę z mrówkami. Rozeźlona wstała, ruszając na poszukiwanie noża. To była przecież pamiątka. Dar od Miłosa, brata jej poprzedniczki, Starej Wiedmy.

Droga powrotna w upale dawała się we znaki. Grzmot gdzieś w oddali współgrał z rozpętającą się burzą w niej samej. Spieczona usta domagały się wody. Żar słoneczny odbierał siły, ale był niczym wobec żaru gniewu, który w niej rozrastał. Wreszcie zobaczyła ostre połyskujące w trawie.

– Tuś jest. A niech cię licho porwie – mruknęła pod nosem.

Schyliła się. Nagle szurnęło coś pod jej dłoń i zniknęło razem z nożem. Kot miauknął. Znała już na tyle kocią mowę, że rozumiała, iż Jantar wyczuł zagrożenie. Zawsze, gdy czegoś się bał, wydobywał z siebie taki głęboki, mocny dźwięk. Jakby chciał przeciwnika odstraszyć samym sposobem miauczenia. Czym było stworzenie, które ukradło nóż? Dzikim kotem? Szczurem? Wielką myszą? Przecież żadne z tych zwierząt nie uniosłoby kozika. Usłyszała chichot. Już wiedziała, czyja to sprawa. Licho stało pod krzewem leszczyny, uśmiechając się beczelnie. Niewielkie, przypominające jeża, tyle że zamiast kolców miało futerko na plecach. No i równie sprawnie poruszało się na dwóch kończynach, jak i na czterech. Obok leżał nóż. Wiedma skierowała się w stronę leszczyny. Złośliwy demon chwycił rękojęść i zniknął w wysokiej trawie. Próbowwała go dogonić. Na próżno. Chichot dobywał się raz z jednej, raz z drugiej strony. Stworzenie było bardzo szybkie i z łatwością przemykało pomiędzy wysokimi trawami. Wiedma nie. Nogi jej się plątały, zahaczały o przytulie i osty, pokrzywy parzyły gołe łydki.

– Jantar! Chwyć ditka!

Kot przyczaił się w trawie, szykując się do skoku, ale licho było sprytniejsze.

Burzowa chmura zasłoniła Słońce. Licho jeszcze raz się zaśmiało, lecz gdy grzmot zagłuszył jego śmiech, ucichło i zniknęło. Kozik również.

Wiedma rozejrzała się. Nie wiedziała, gdzie jest. Ścieżka gdzieś zniknęła. Dookoła na horyzoncie widniało niebieskie niebo, tylko nad nią ciężka ciemnoszara chmura. Jakby wszystko sprzysięgło się przeciw niej.

– Czemu nie zawróciliśmy, Jantarze? – jęknęła.

Szła przed siebie, nie wiedząc, w którą stronę się kieruje. Rzęsisty deszcz chłodził rozgrzane ciało, jego strugi zastępowały lzy. Grzmoty były coraz głośniejsze. Chmura jakby podążała razem z nią. Wtem odczuła coś w rodzaju zespolenia z burzą. Znany już piekący ból zaczął się rozgałęziać pod skórą. Upadła na kolana.

– Jantarze, uciekaj! – jeszcze zdążyła krzyknąć.

Potem był już tylko ból i jasność.

Obudził ją szorstki koci język liżący jej twarz. Otworzyła oczy. Zmierzchało. Było jej zimno. Chłód wieczoru przenikał przez mokre odzienie. Nie miała sił, by się podnieść. Jej ciało drżało z wychłodzenia i wyczerpania. Bolały ją wszystkie mięśnie, a skóra piekła. Pomyślała, że poczeka i wstanie za chwilę, gdy nabierze sił. Obudził ją dopiero świergot ptaków i ciepłe promienie Słońca.

Podniosła się z trudem i ruszyła przed siebie, co rusz się potykając. Wkrótce dotarła na znajomą ścieżkę, którą już dwukrotnie zdążyła przejść. Postanowiła udać się w stronę traktu. Wreszcie dojrzała drogę. Stała przed pierwszym zdążającym w pola wozem. Nie musiała nawet nic mówić. Powożący młodzian zatrzymał się.

– Wyście Wiedma z Ostrowia? – spytał. – Odwieźć was?

Przytaknęła. Pomógł jej wejść na wóz. Usiadła i chwyciła się drabiniastych boków, przeznaczonych na siano. Jantar zgrabnie wskoczył za nią i wgramolił się na jej uda. Młody człowiek zawrócił wózy i uderzył lekko lejcami. Ruszyli.

– Co wam się stało? Wyglądacie, jakby piorun po was przeszedł. – Spoglądała niepewnie na wiedźmę. – I ten Perunowy znak na jagodzie.

Wiedma odruchowo dotknęła policzka, ale nic nie odrzekła.

– Perun wczora rozsierzdził się niemało – kontynuował woźnica. – Domostwo Siemowita zamienił w pożogę. Nikt nie śmiał gasić, co rozpalili bóg. Ostał się ino popiół. Ludzie posłali do żery, by złożył przebłągalną żertwę.

Wiedma przymknęła oczy. Jakieś urywki wspomnień zaczęły ją prześladować. Wspomnień, które nie wiadomo, skąd się brały. Których przecież nie było. Widok chaty Siemowita widziany z lotu ptaka. I gniew. Mocny niczym piorun.

To były wspomnienia z ubiegłego lata. Wiedma otrząsnęła się, odsuwając je gdzieś poza świadomość. Siedziała teraz na wilgotnej ziemi na przemyskim podgrodziu. Obtarte i obolałe kolano mocno dawało się we znaki. Odmówiła nad nim zaklęcie, podniosła się i kuśtykając, ruszyła w stronę stojącego nieco na uboczu domostwa, wyglądającego na oberżę. Wszystko w niej krzychało: zawróć! Nie zawróciła.

Oberża



Siedziała sama przy długiej drewnianej ławie ciągnącej się wzdłuż sali. Przy drugiej, ustawionej równolegle, też nikogo nie było, tylko nieuprzątnięte naczynia świadczyły, że ktoś tu śniadał o poranku.

Postanowiła poczekać, aż ból kolana na tyle przestanie jej dokuczać, by mogła ruszyć w drogę powrotną do domu. Nie była głodna, więc poprosiła tylko o wodę.

Milcząca dziewczynka o chorobliwie bladej cerze postawiła przed nią dzban. Wiedma uniosła go i upiła łyk cierpkiego płynu.

– To nie woda – zwróciła się do usługującej.

– Matka kazała dać ziołowy napitek na wzmocnienie i ugaszenie pragnienia – odburknęła dziewczę.

Wiedma przyłożyła ponownie dzban do ust i łąpczywie wychyliła sporą jego zawartość. Po chwili ze zdziwieniem zauważyła, że burkliwa dziewczynka, która uparcie się w nią wpatrywała, ma dwie głowy. Zaciśnęła powieki i ponownie otworzyła oczy. Nie pomogło. Obraz coraz bardziej się zniekształcał, rozciągając w rozpedzony wir wciągający ją w swe centrum. Czuła się jak podczas zabaw w dzieciństwie, kiedy z innymi dziećmi celowo wskakiwali w wiry rzeczne, pozwalali się w nie wciągać, by potem odbić się od dna i tą samą siłą rzeki wypłynąć na powierzchnię. Tym razem jednak nie miała sił, by się odbić. Wir ją wchłonął i wbił w dno. Zamknęła oczy.

Dotkliwy ból w stawach. Próbowала je rozruszać, ale nie mogła. Coś jakby pieczenie, przykre i bolesne, w okolicy obojczyka. Z trudem uniosła powieki. Ujrzała w blasku świecy bladą dziewczynkę. Nie, dwie takie same blade dziewczynki. Ból powoli przywracał jej przytomność. Zamrugowała, chcąc wyostrzyć obraz. Dziewczynki nie były takie same, tylko podobne. Niższa, wyglądająca na młodszą, była umazana na twarzy. Otarła usta wierzchem dłoni, rozciągając na policzku krwawą smugę. Miała zadziwiająco długie szmaragdowe paznokcie.

Wiedma poruszyła się niespokojnie. Ból się spotęgował. Skrępowane, ścierpięte ciało odmówiło posłuszeństwa. Krzyknęła. Młodszą pochyliła się, zamykając jej usta swoimi. Związana niewiasta zakrzuszyła się własnym krzykiem i ziemistym, gnilnym oparem.

Obudziła się na słomianym legowisku. Był dzień, słoneczne światło przenikało przez wąskie szpary w ścianach pomieszczenia. Skrępowane stopy i ręce pozbawione były czucia. Najbardziej jednak dojmująco dokuczało pragnienie. Wyschnięte gardło i język pobudzały do kaszlu.

Ktoś usłyszał kasłanie. Skrzypnęły drzwi. Stała w nich blada dziewczynka.

– Pić – wychrypiała z trudem Wiedma.

Dziecko wyszło. Po chwili wróciło z kubkiem. Uniosło głowę uwięzionej i przyłożyło do ust napój. Znów poczuła cierpki ziołowy smak. Nie potrafiła jednak oderwać ust od krawędzi kubka. Pragnienie było silniejsze. Zanim dopiła do końca, wir wciągnął ją ponownie.

Przyspieszone bicie serca. Piekący ból w okolicy obojczyka i nieświadomy jęk nim wywołany. Włosy łaskoczące jej twarz. Ziemisty oddech. Lepki dotyk czegoś. Języka? Otwierała oczy, ale wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Coś ją dotykało, czasem przygniatało. Ból chwilami był tak piekący, jakby ktoś przykładał jej do ciała żagiew. Szarpała się. Więzy jednak uniemożliwiały jakąkolwiek obronę czy nawet próbę odsunięcia się. Była bezbronna. Nawet nie widziała swego oprawcy. Usta rozwarłe do krzyku znów zamknęło coś obrzydliwie lepkiego, odurzającego.

Gdy ponownie uniosła powieki, był już dzień. Szloch wstrząsnął jej ciałem, choć łzy nie popłynęły.

– Pomocy! – zachrypiała, krztusząc się i zanosząc kaszlem.

Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia zajrzała wychudzona niewiasta.

– Ciii – zasyczała. – Jak będziesz cicho, to cię rozwiążę i dam pić.

Wiedma umilkła. Perspektywa ugaszenia pragnienia była teraz najważniejsza. Trudno jej było nawet oddychać, nie zanosząc się kaszlem wywołującym torsje.

Po chwili chuda niewiasta weszła z dzbankiem. Postawiła go obok. Przykucnęła i zaczęła rozwiązywać sznury na kostkach uwięzionej.

Wiedma przyglądała się jej. Kobieta miała zsuniętą na plecy chustkę, mocno skręcone włosy, byle jak upięte. Unikała jej wzroku. Sprawiała wrażenie, jakby współczuła uwięzionej, ale jednocześnie czyniła coś ważnego, nieuniknionego, wypełniała jakąś misję. Przeszła do rozsypywania więzów na przegubach rąk, które unieruchomione były za plecami.

– Wypuścisz mnie?

– Nie mogę. Aczli spróbujesz uciekać albo będziesz hałas czynić – łeb utnę jak kurakowi. A potem jeszcze kolkiem osikowym przewiercę.

– Upirzyca mnie skaziła, mogłabym się w takową przemienić. O to się strachasz?

– Pij. – Kobieta przerwała rozmowę, wciskając Wiedmie dzbanek do rąk.

Z wielkim trudem go uchwyciła. Kłujący ból rozchodził się po dłoniach, bardzo wolno przywracając im czucie. Ostrożnie się napiła. To była świeża, chłodna woda. Część wypłynęła kącikami ust i rozjątrzyła ranę przy obojczyku. Wiedma dotknęła rozmiękczonego strupa. Potem dłoń powędrowała w stronę szyi, gdzie zawsze była zawieszona na rzemieniu kaptorga, woreczek pełen ochronnych amuletów. Nie było jej. Nie miała też gemmy, którą otrzymała w prezencie od Żegoty.

– Zabrałyśmy kaptorgę, iżby Mąta miała do ciebie dostęp – wyjaśniła niewiasta, przybierając ton zatroskanej matki.

Dopiero teraz ujrzała, że gemma z heliotropu, pamiątka po Żegocie, beczelnie spoczywa na piersiach niewiasty.

– Mus znów cię związać – dodała – boś wiedźma jako i ja. Ino ja się z mą wiedzą nie obnoszę. Trza ci choć ręce zniewolić, byś czaru nimi nie zadała, a na uroki jestem odporna.

Wiedma próbowała sobie przypomnieć tę kobietę. Była przekonana, że nigdy jej nie widziała na żadnym sabacie. Nie słyszała też, żeby w okolicach grodu mieszkała inna wiedźma.

Kobieta chwyciła sznury i na powrót skrępowała jej dłonie. Wiedma była zbyt słaba, żeby się bronić. Tym razem więzy nie były już tak silne i krew w kończynach powoli krążyła.

Niewiasta wyszła i po chwili powróciła z miską ciepłej polewki. Karmiła cierpliwie swojego więźnia.

– Nie dam ci zemrzeć z głodu. Będziesz pożywać posiłek, to i moja Mąta będzie miała używanie.

– Kim jest Mąta? – spytała Wiedma, choć była pewna, że chodzi o upirzycę, która nawiedzała ją nocą.

– Dziecię me. Pierworódka. Nie dałam spalić, do żywych przywróciłam. Ale tylko nocą może chodać. Niespożyte ma siły, ino krwi musi upić każdej nocy.

– Uczyniłaś z częda⁵ upira?

– A co miałam uczynić, kiedy rodzanice się na nie uwzięły?

Niewiasta oburzona zabrała naczynie z resztką polewki i wyszła. Wiedma została sama. Wreszcie miała niezmacony umysł, choć wciąż jej ciało było osłabione. Zaczęła się zastanawiać, czy ktoś będzie jej szukał. Damroka, która mieszka w sąsiedztwie na Ostrowiu, na pewno nie, przynajmniej w ciągu najbliższych dni. Wiedma często opuszczała chatę i wracała po dłuższym czasie. Żerca jest przekonany, że wróciła do swego domu na wyspie. Nawet kota wyjątkowo nie zabrała, bo uznała, że nie wypada z nim nawiedzać świątyni Swaroga, jeszcze byłby gotów jakieś psoty uczynić w świętym miejscu. Mężczyzny też aktualnie nie było w jej życiu żadnego. Po przygodach z Siemowitem stroniła od nich. Potencjalni wielbiciel irytowali ją i bała się, że znów kogoś skrzywdzi w wybuchu złości. Właśnie. Złość. Przecież mogłaby zwrócić się do Peruna z modlitwą o pomoc, wyzwolić emocje i uwolnić się z więzów niebezpiecznej niewiasty i jej córki. Zaczęła cicho intonować zaklęcia. Słowa mantry stawały się coraz donioślejsze, wyraźniejsze...

Skrzypnęły drzwi. Kubek z cierpkim napojem siłą przyłożono jej do ust. Zaciśnęła je. Chuda niewiasta szarpnęła ją za włosy i przechyliła głowę. Zawartość naczynia zalała gardło. Wiedma zaczęła się krztusić, kaszleć. Znów wir. W kręcącym się obrazie otoczenia pojawiły się jakieś postacie. Kobieta z burzą loków na głowie, woj, blada dziewczynka.

Ból przywrócił jej świadomość. Był niczym wrzątek parzący ciało. Coś ją przygniatało, przesuwalo się po niej. Otworzyła oczy. Tym razem chybotliwe światło świecy pozwalało dostrzec jasnowłose dziewczę beczelnie zasiadające na niej. Włosy zasłaniały twarz dziecka. Kiedy się pochyliło, Wiedma ujrzała pulchne, umazane czerwienią krwi usta, z których wysuwał się długi język. Lepkie muśnięcia w zagłębieniu przy jej obojczyku przypominały chleptanie mleka przez kota. Jęknęła z obrzydzeniem, ale jęk szybko przeszedł w skomlenie z bólu. Usta upirzycy przywarły do rany i zassały ją. Kobieta poczuła, jak ból wąskim strumieniem sięga gdzieś w głąb jej ciała. Światło się poruszyło. To druga dziewczynka podeszła. Otwarte w krzyku usta Wiedmy stłumił cuchnący gałgan. Znów straciła świadomość.

Ktoś wydarł jej brudny knebel z ust. Znów ujrzała bladą dziewczynkę. Tę samą, która ją w nocy uciszyła. Widok kubka z wodą sprawił, że Wiedma skwapliwie pozwoliła się posadzić. Każdy oddech parzył wysuszone gardło. Wypiła łączywie całą zawartość naczynia. Burkliwa dziewczynka chwyciła za łyżkę. Wpychała w jej usta kaszę omaszczoną tłuszczem i zmieszaną z posiekaną drobno pokrzywą.

Wieczorem koścista niewiasta wyprowadziła ją przed komórkę. Wiedma nie miała sił samodzielnie iść. Miała zmacony umysł, nogi jej się plątały.

– Wypuść mnie – prosiła matkę upirzycy.

Niewiasta spojrzała na nią ze współczuciem. Pogłaskała jej splątane, zaśmiecone słomą włosy. Wiedma wzdrygnęła się.

– Nie mogę tego uczynić. Mam dwie córki. Muszę je wychować.

– Upirzycę chcesz wychowywać?

– Tako. Mąta wie, iż ja i jej siostrzyca dbamy o nią, to nas nie rusza. Nie możemy jednak dopuścić, iżby głodna pozostawała, bo inaczej skończymy jak jej ojciec.

– Zabiła go?

– Lubił wypić, a krew jego niosła Mącie ulgę. Raz pewnikiem za dużo dobrego miodu w nim krążyło, bo tak mocno go wysysała, iż nie wstał ani o jutrzni, ani w południe, ani przed nocą.

– Dlaczego ja?

– Boś do oberży zawitała. Oberża to dobre miejsce, aby najść pożywienie dla Mąty. Najlepsi są kupcy. Rodziny ich nie szukają, zbójców w lasach obwiniają, że ich mienia pozbawili i życia zarazem.

– Mordujecie ich i okradacie. – Wiedma wymownie spojrzała na gemnę wiszącą na piersiach oprawczyń.

– Na cóż zmarłym majątek? – odrzekła zdziwiona.

Szarpnęła Wiedmę za skrępowane za plecami ramię i wprowadziła na powrót do komórki. Stała tam już blada dziewczynka z kubkiem. Niewiasta pchnęła uwięzioną na klepisko, ta opadła na kolana, jęcząc boleśnie. Mała przyłożyła jej kubek do ust. Wiedma znów poczuła ziołowy zapach.

– Nie chcę – zacisnęła usta i odwróciła głowę. Kobieta wraz z córką chwyciły ją, miazdząc boleśnie żuchwę i zmuszając do jej otworzenia. Cierpki płyn popłynął w głąb gardła. Krztusząc się, przełykała narkotyczny napój. Po chwili otoczenie zawirowało.

Światło świecy. Pozbawiona emocji blada twarz dziecka wpatrująca się w krwawą siostrzaną ucztę. Ból zmieszany z obrzydzeniem. Długi, lepki język błędzący po miejscach, gdzie sączy się krew, lub nikiący za ostrymi zębami i wargami zasysającymi życiodajną ciecz.

– A kysz, samojedzio obrzydła! – wyszeptwała Wiedma.

Upirzyca uniosła powieki. Po raz pierwszy ujrzała z bliska upirze oczy. Podobne do kocich, z wrzecionowatymi źrenicami. Przyciągające. Jakby w ich głębi była żarząca się otchłań. Widok zaczął się rozmywać. Lepka czerń okryła wszystko.

Obudziło ją skrzypnięcie drzwi. Koścista niewiasta uśmiechnęła się, jakby odwiedzała chorą i przywiodło ją tu jedynie współczucie. Podniosła pokrywę garnca. W górę buchnęła para. Wiedma poczuła mdłości. Nie była w stanie nic zjeść. Nawet przestała odczuwać pragnienie. Z trudem odwróciła głowę do ściany. Przymknęła powieki. Szarpanie, podnoszenie, ciągnięcie za włosy. Wszystko to odbywało się jakby poza nią, jakby jej nie dotyczyło. W końcu zostawiono ją w spokoju. Kojący sen znów nią owładnął.

Rwetes. Skrzypnęły drzwi. Usłyszała szamotaninę. Coś ciężkiego opadło na klepisko. Drzwi zamknęły się z powrotem. Z wysiłkiem obróciła głowę. Jakiś mężczyzna leżał twarzą ku ziemi. Coś mamrotał. Nie była w stanie dłużej skupić myśli. Świadomość gdzieś odplynęła. Ktoś ją podnosił. Dławił ją cierpki płyn. I znów dawała się ponieść wirowi.

Obudził ją głośny jęk. Była noc. Ujrzała cień rozrastający się na ścianie i drżący niczym pełgające światło świecy. Odwróciła się z trudem. Dwie dziecięce postacie stały tyłem do niej. Mniejsza postąpiła krok naprzód i przyklęknęła. Pochyliła się nad kimś. Wiedma nie mogła przypomnieć sobie, kim jest leżący człowiek i skąd się tu wziął. Mężczyzna jęczał. Zamknęła powieki. Jej świadomość umknęła w świat snu.

– Biwio!

Otworzyła ze zdumieniem oczy. Zamrugwała, chcąc upewnić się, że to nie senny majak. Ból ramion i stawów jednak przekonywał z całą siłą, że nie śpi.

– Siemowit? – wyszeptwała.

On, podobnie jak niegdyś Jarowar, często zwracał się do niej dawnym imieniem.

Teraz klęczał przed nią ze związanymi za plecami rękami. Jego rozdarta tunika ubrudzona była brunatnymi plamami. Na ciele widniały liczne rany. Najwięcej ich było w okolicy obojczyka, gdzie zakrzepła krew stanowiła namacalny dowód, kto tym razem służył za obiatę upirzycy.

– Biwio, co się z tobą dzieje? Czemu nie użyjesz mocy, by stąd odejść?
– Nie mam siły – jęknęła, wciąż nie mogąc uwierzyć, kogo widzi przed sobą. Zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze żyje.
– Nalazłem cię. To najważniejsze. Ninie musimy się stąd wy dostać.
– Siemowicie, nie mogę zebrać myśli, nie mogę sobie przypomnieć żadnego zaklęcia. Ten napitek.
– Jaki napitek?
– Poją mnie magicznym napitkiem. Rozgania myśli, odbiera siłę, wszystko wiruje i wciąga w mrok.
– Musisz się zebrać w sobie. Musisz. Gdy przyjdą z napitkiem, udaj, że pijesz. Wypluj, gdy odejdą.
Kroki i dźwięk odsuwanego skobla sprawiły, że Siemowit runął jak długi w słomę na klepisku, udając, że śpi.

Weszła dziewczynka, a za nią matka. Chuda kobieta uniosła nieco ciało Siemowita, a mała przystawiła mu do ust kubek. Mężczyzna nie protestował. Napił się. Spokój, z jakim przyjął swój los, osłabił ich czujność, położyły go i podeszły do Wiedmy. Ona też pokornie otworzyła usta.

– Przyniesę jakie jadlo. – Starsza niewiasta była wyraźnie ukontentowana.

Wyszły, przymykając tylko drzwi.

– Trochu upiłam, nie dałam rady – poskarżyła się Wiedma po wypluciu cierpkiego płynu.

– Ja też. – Siemowit z trudem uklęknął. – Nie masz sił na walkę z upirzycą, musimy umykać. Ninie.

Odwrócił się. Za plecami w związanych rękach trzymał kozik. Podsunął się na kolanach do Wiedmy, ustawił swoje ręce na wysokości jej więzów, ostrożnie wsunął ostrze pod sznur i zaczął po nim przesuwać. Po chwili poczuła ulgę. Wyswobodzonymi rękami chwyciła nóż i wkrótce przecięła więzy na dłoniach Siemowita. Przecięcie sznurów u nóg trwało tylko chwilkę. Objął Wiedmę i pomógł jej wstać. Osunęła się. Nie miała sił stać na własnych nogach. Wziął ją na ręce.

Dzień był pogodny. Wokół panował ruch. Niedaleko komórki, pod zadaszeniem, konie raźnie jadły obrok. Za stanowiskiem dla koni stały wozy, wokół których kręcili się ludzie. Ujrzeni też płowowłosa dziewczynkę biegnącą za budynek oberży. Widocznie popędziła oznajmić matce, co się stało.

Wprawdzie większość odurzającego napoju wypluli, ale część zmuszeni byli połknąć i zaczęli to odczuwać. Siemowit upadł na kolana, upuszczając Wiedmę. Ich widok przyciągnął uwagę dwóch mężczyzn. Zbliżyli się, ale ubiegła ich koścista właścicielka oberży. Towarzyszył jej wysoki woj.

– Nad chorymi mam staranie, rany im opatruję, aleć jeszcze nie gotowi, by sami chodać – rzuciła pogodnie w stronę zdziwionych mężczyzn.

Chwyciła pod ramiona Wiedmę i zaczęła ciągnąć bezwładną w stronę komórki. Woj pochylił się nad Siemowitem, zasłaniając go swym ciałem. Mocne uderzenie w tył głowy i Siemowit równie nieprzytomny został wciągnięty tam, gdzie Wiedma.

– Jak go przeszukiwałaś?! Miał przy sobie nóż!

– Odebrałam mu przecie. I pierścień z palca zsunęłam. Może miał drugi ukryty.

Szorstkie sznury szybko krępowały przeguby rąk i nóg. Tym razem skobel został dokładnie zasunięty.

– Siemowicie! – Wiedma wołała półszepem. Mężczyzna powoli wracał do przytomności. – Siemowicie, to już nasz koniec. Zembrzemy tu.

– Taką wizję miałaś?

– Wizję? Nie. Bez sił jestem. Jakże mam jasnowiedzieć, kiedy myśleć trudno.

– Racja.

– Siemowicie. Skąd ty się tu wziąłeś?

– Szukałem cię. Nie spojrzałaś nawet na mnie pod chramem. Udałem się na Ostrowie, ale powiedzieli mi, żeś nie wróciła od zercy. Znowum się udał do Wiedzimira. Nic mu nie było wiadomo. Poszedł

kruków pytać, a ja do oberży dowiedzieć się, czy cię kto nie zoczył. Dali mi cierpki napój na wzmocnienie i znalazłem się obok ciebie.

– Szukałeś mnie. – Nie brzmiało to jak pytanie. – A jam ci chatę spaliła.

– Co? Tyś to uczyniła? – Wyczuła w jego głosie gorycz. – Cóżem ci zawinił?

Milczała.

– Czemu ninie nic nie zrobisz? Sprowadź Peruna, niech to wszystko spali w popiół.

– Jeszcze Jarych Godów nie było, to i burz nie ma.

– Nazajutrz będą Jare Gody.

Umilkli. Każde z nich rozpatrywało swój los i dokonywało własnego rozrachunku z sumieniem.

– Nie spojrzalam na ciebie pod chramem, bo mi wstyd było. Ongiś nie chciałam cię ukrzywdzić.

Nie odezwał się. Dopiero po chwili obrócił się na drugi bok i westchnął ciężko.

– Szukałem cię, bo żerca rzekł, iż tylko ty możesz pomóc żenie stać się matką – wyznał.

– Zatem chciałeś mnie najść tylko po to, by otrzymać radę i pomoc dla żeny?

– Tako.

Poczuła coś wreszcie. Ani więzienie, ani uczynienie z niej obiady dla upirzycy, ani świadomość zbliżającej się śmierci nie wywołały w niej tego, co przed chwilą zakiełkowało. Czy jest aż tak próżną istotą? Czy urażenie miłości własnej jest dotkliwsze niż torturowanie i powolne odbieranie sił życiowych? A może po prostu w większości wypłuty napój nie miał takiego wpływu na jej świadomość, jak to czynił do tej pory? Nie otumaniał, pozwalając myśleć i czuć. A co czuła? Jak rośnie w niej gniew. Gdzieś w oddali zagrzmiało.

Zaczęli nasłuchiwać. Grzmot się powtórzył, za to okolica rozbrzmiała głośnym krakaniem.

Wieczorem cała trójka: woj, wychudzona niewiasta i bladolica dziewczynka napioli sumiennie Siemowita i Wiedmę, nie pozwalając, by uronili choć kroplę cierpkiego napoju. Noc nie różniła się od poprzednich, tyle że obydwójce znów stali się słabsi.

Nastał świt. Wiedma leżała z przymkniętymi powiekami. Nie spała. Siemowit skrupowany leżał obok. Przyglądał się jej.

– Słusznie prawiałaś. Zembrzemy tu.

Otworzyła oczy i znów je zamknęła. Nie miała sił nawet mówić.

– Po radę i pomoc posłałbym do ciebie żenę. Sam poszedłem, bom cię chciał zoczyć. Nie miej do mnie żalu. Przecie wziąłbym cię do swego domostwa za drugą żenę, ale ty nie chciałaś.

Odwrociła głowę i lekko się do niego uśmiechnęła. Domyślił się, że już nie żywi złości.

Na zewnątrz słychać było większy niż zwykle ruch. Jare Gody się zaczynały. Ludzie czynili przygotowania do świąt. Nad rozgwarem typowym dla niedaleko znajdującego się targowiska dominował wrzask kruków. Dziwny to był dźwięk jak na wiosenną porę.

– Rozewrzyjcie dźwirze tej komory! – usłyszeli. Spojrzeli na siebie. To był znajomy, skrzekliwy głos.

Skobel odskoczył i do środka zajrzało dwóch wojów w pełnym rynsztunku. Cofnęli się na widok zakrwawionych więźniów.

– Są! – krzyknął gdzieś w dal jeden z nich.

Ujrzeli, jak przeciska się przez wąskie drzwi Wiedzimir.

– Na Swaroga! Co wam uczynili?! – krzyknął ze zgrozą. – Właścicielkę oberży przed oblicze knezia zaprowadźcie! I to chyżo, nim nam umknie! – zawołał do strażników.

– Ale żerca, to niewiasta naszego kompana – zaoponował jeden z wojów.

– To kompana też kneziowi przedstawić! Chyżo! Aczli nie kneż, to Swaróg się z nimi niebawem rozprawi.

Woje wyszli niemrawo wypełnić swe obowiązki. Wiedźmir rozciął sznury i mrużąc niezrozumiale pod nosem, oglądał rany zadane przez upirzycę.

– Jeszcze upira nam tu brakowało. Trza temu zaradzić. Same troski. Same troski.

5 Czędo – dziecko.

Kruk



Otworzyła oczy. Chybotliwy blask ognia ożywił otoczenie. Mrok czał się po kątach, wypuszczając swe macki. Te ślizgały się po ziemi, ścianach i drewnianych ławach, jakby badały, jak daleko mogą sięgnąć. Przesycony wonią ziół dym wgryzał się w oczy i nozdrza, potęgując trudności z oddychaniem. Płasał w świetle ognia, przybierając zagadkowe formy.

Leżała na środku obszernej izby tuż przy palenisku. Na granicy mroku i światła czerniały ławy. To była oberża. Ta, gdzie podano jej niegdyś odurzający napój.

Usłyszała szept. Z wysiłkiem odwróciła głowę. Ujrzała rozwichrzone włosy i brodę chwiejące się w rytm rozchodzących się po karczmie zakłęb. Żerca czuwał przy niej.

Bolało ją całe ciało, a najbardziej klatka piersiowa, która unosiła się nienaturalnie w rytm przyspieszonego bicia serca i równie niespokojnego, płytkiego oddechu. Walka o powietrze wywoływała odruch wymiotny. Fale gorąca rozpalały oblane potem ciało, by za chwilę wstrząsać dreszczem zimna. Ból rozpychał żyły i tętnice. Krążył, ogniskując się w stawach i mięśniach. Chciała, żeby ktoś przerwał tę pełną udręki walkę. Chciała odpocząć. Chciała umrzeć.

Skrzypnęły drzwi. Powieki starca uniosły się w wyrazie zdziwienia, modlitwa stała się głośniejsza. „Upirzyca” – pomyślała z rezygnacją. Nie miała sił, by się bronić, mimo że jej nogi i ręce nie były już skrępowane i nikt też nie poił jej odurzającym specyfikiem.

Ujrzała cień kobiecej postaci. Zamajaczył drugi. Z trudem odwróciła głowę, by świadomie i z godnością przyjąć swój los.

Stały nad nią. Peleryny w grze światła i cienia przypominały złożone skrzydła ptaków. Ciała pokryte smolistą mazią stapały się z otaczającym mrokiem. Tylko te oczy. Wyglądały niepokojąco, gdy większość światła niknęła w nienaturalnie rozszerzonych źrenicach, drgając jedynie w cienkich obwódkach prawie niewidocznych tęczówek. Wyglądały na zaniepokojone.

– Musza? Dobromiłka? Co wy tu? – jęknęła.

– Ciii. Odpoczywaj. Niebawem nadejdzie świt – usłyszała uspokajający szept jasnowłosej.

– Tako. Nie jesteśmy upirami. Przybyłyśmy na wezwanie – ciemnowłosa zwróciła się do żercy, odpowiadając na niezadane pytanie.

Jasnowłosa uklękła przy chorej. Wokół jej dłoni zaiskrzyło. Wiedma przymknęła powieki. Poczowała ciepło rozchodzące się po ciele. Inne niż dotąd. Ciepło uspokajające rozedrgane mięśnie, osuszające krople potu, niosące wytchnienie. Odetchnęła głęboko, tak jak pragnęła. Usnęła.

Pomieszczenie wypełniała woń rosółu. Wiedma ujrzała Muszę krzątającą się przy palenisku.

– Obudziła się. – Czarnowłosa wiedźma stała odwrócona tyłem, pochylając się nad parującym garncem. Nawet się nie obejrzała.

Wiedma uśmiechnęła się. Porozumiewanie się z kimś, kto czyta w myślach, czasem ma swoje zalety. Nie trzeba mówić.

Musza przysiadła obok. Szwy jej wełnianej sukni rozciągnęły się, świadcząc o korpulentności właścicielki. Nie zwracała jednak na to uwagi, tylko pomogła Wiedmie usiąść i oparła ją o swoje ramię. Przynęła parujący garniec i drewnianą łyżką zaczęła karmić podopieczną. Zupa rozprowadzała po ciele przyjemne ciepło.

– Polewka z gołębi – odpowiedziała na nieme pytanie.

Wiedma zakrztusiła się. Spojrzała z przerażeniem na przyjaciółkę.

– No nie z naszych. Nasze przyniosły wieści od Damroki i teraz odpoczywają w swoich gniazdach. Te przysłał nam żerca. Już były martwe.

– Skąd Damroka wiedziała, że potrzebujesz pomocy? Wiedzimir ją powiadomił – kontynuowała Musza.

– Tako, Wiedzimir – potwierdził żerca, który właśnie wtoczył się do obszernej izby i z lubością wciągnął nozdrzami smakowity zapach.

– Byłeś przy mnie tej nocy. Strzegłeś przed upirzycą – Wiedma szepnęła z wdzięcznością.

– Nie tej, ino uprzedniej. Tej nocy strzegły cię twe siostry.

– Upirzyca się nie pojawiła – dodała Musza.

– Pojawiła się, ale na podgrodziu – westchnął Wiedzimir. – Na Nesniku gawiedz paliła ognie i bawiła się do pierwszych promieni Dadźboga. I naleźli o świcie czleka z rozdartym gardłem. Leżał nieopodal uczujących. Może na stronę poszedł, może wypił za dużo i zasnął na uboczu. Znać po truchle, iż upirzyca albo rozeźlona, albo pożywiła się w pośpiechu.

– Dziwne, że mnie ostawiła.

– Wróci, kiedy nie będziesz jej czekać. Pewnikiem ją ostrzegła ta jędra.

– A co z gospożiną? Schwytali ją? Co rzekła?

– Nic. Umknęła ze swym pomiotem. Aleć pewnikiem nie uszła daleko. Będzie strzegła upirzowe czędo. Nie ostawi go.

– Wiedzimirze – wtrąciła Musza – to jest ponoć wiedźma, a my nie wiemy, skąd przybyła, kto ją uczył i jakie ma moce.

– Azaliż to mało takich? – westchnął żerca.

– Do Kościeja trza się z tym zwrócić. – Problem nieznaney czarownicy nie dawał Muszy spokoju. – Weźcie, Wiedzimirze, łyżkę i goście się. Wszak to polewka z waszych darów. – Wskazała na naczynie.

– To dary samego Swaroga. Chwała Swarogowi! – Żerca raźno podniósł garniec, stawiając go na ławie. Łyżki długo nie szukał. Momentalnie wyciągnął ją zza pazuchy.

– Kościej pilnuje, by wiedźmy nie nadużywały swych mocy. Pomnisz, Wiedmo, jak ukarał Caryczkę za tych wojów, co ich tojadem potraktowała?

Chora przytaknęła tylko. Rozmowa najwyraźniej ją zmęczyła, choć w towarzystwie Muszy nie musiała się zbytnio trudzić.

– Też nie widziałam nigdy Kościeja – odpowiedziała pulchna wiedźma.

Wiedzimir podniósł znad garnca zdziwiony wzrok. Kiedy Musza zaczynała prowadzić dialog z czyimiś myślami, przebywający w pobliżu tracili wątek.

– Powiadają, że wie wszystko i jest barzo srogi dla wiedzących, co równowagę burzą.

– Równowagę? – spytał zdezorientowany żerca.

– Między dobrem i złem. Przy kolejnej pełni rozpytam o niego na sabacie – obiecała czarownośosa.

Wiedma zmęczona zbyt długim siedzeniem chwyciła rękę Muszy i ostrożnie się położyła. Rany w okolicy obojczyków nie goiły się tak łatwo, mimo ziołowych zabiegów i uzdrawiających mocy Dobromiłki. W każdym razie udało się wiedźmom pozbyć gorączki i zatrzymać zakażenie, które szerzyło się w jej ciele niczym zgnilizna w obitym owocu. Pomyślała o Dobromiłce.

– Siemowitowi pomaga wrócić do sił – wyjaśniła Musza.

– Gdzie on? – Wiedma łudziła się, że zadając pytanie na głos, odwróci uwagę przyjaciółki od kłębiących się w jej głowie myśli.

– Żena ma o niego staranie. Bez nas by jednak nie poradziła – usłyszała odpowiedź.

Musza spojrzała zagadkowo na chorą, ale nic więcej nie rzekła. Ta starała się nie myśleć o Siemowicie w jej obecności, więc postanowiła szybko zmienić temat.

– Wiedzimirze?

Żerca właśnie obgryzał kostki gołębi z dna garnca. Widać było po nim, że lubi dobrze pojeść.

– Mhm?

– Jak nas znalazłeś?

– To kluki.

– Co takiego?

Wiedzimir przełknął głośno, stłumił beknąciami i cierpliwie powtórzył.

– Kruki.

No tak. Przypomniała sobie, że słyszała ich krakanie tuż przed uwolnieniem. Dzień wcześniej również dotarły do jej uszu krucze wrzaski. W końcu ptaki nadlatywały często nad gród ku strapieniu żercy, a pewnie i przemyskiego władcy.

– Co rzekłeś kneziowi? – Czuła się winna, miała przecież pomóc określić rodzaj nieszczęścia, które się zbliża.

– By pierwaj upirzycę znalazł i zgładził, bo upir samo złe sprowadza na okolicę. – Wiedzimir otarł usta wierzchem dłoni, a rękawem pochlapaną brodę. – Tym sposobem mamy winowajcę i nie jest to biedny żerca, który ino czyta znaki jak ślepiec runy. Kneź ma na co złość obrócić, a i w poszukiwaniach bardziej chętny.

Pomyślała, że Dola wie, kogo na żercę obrać, bo jak widać nie wystarczy czytać znaki, mieć staranie o należną cześć bogom, ale trzeba też umieć utrzymywać się na powierzchni nawet, gdy się nieudolnie pływa.

Skrzypnęły drzwi. U wejścia stanęła Dobromiłka rozpromieniona niczym Słońce.

– Wiedzimirze, macie oswojonego kruka? – spytała radośnie.

– Oswojonego? – zdziwił się zapytany. – Karmię je, mówię do nich, przypatruję się im, ale nie oswajałem żadnego.

– A bo jeden drepce przed oberzą tam i nazad. Inne już odleciały, a ten pilnuje. Myślałam, że twój.

– Wszystkie są pod moją opieką – odparł takim tonem, jakby ktokolwiek śmiało to podważyć.

Niechętnie podniósł się z ławeczki, która przeraźliwie skrzypiąc, powróciła do pierwotnego kształtu, i podszedł do drzwi.

– A! Ten! Poznają go po nadpalonym ogonie. Jest u mnie od... – zastanowił się chwilę. – Od tej pamiętnej pożogi w borze.

– Co ją Jarowar wywołał, broniąc się przed Bartusem – dokończyła cicho Wiedma.

Ponure wspomnienie wciąż zbyt mocno jątrzyło się w jej sercu.

– Wszak wiesz, iż Bartus onegdaj nie był sobą. Bies nim zawałdął. – Dobromiłka zawsze starała się wytłumaczyć dawne postęпки bliźniego brata przyjaciółki. Miała do niego więcej serca niż jego rodzona siostra. Może dlatego, że oddała mu większość swej życiowej siły, gdy zatrzymała go w drodze do Nawii.

– Ostawmy wspominki. Trza myśleć o tym, co będzie. A nic dobrego się nie szykuje – uciał Wiedzimir.

– Najsampierw mus upirzycę naleźć i obezwładnić – dodała Musza.

– A ten woj, co z ową wiedźmą żył? – zapytała Wiedma.

– Umknął jako i ona. Gdyby był, dawno by Musza w jego głupim łbie poszperała.

– Zatem nikt nie zna miejsca pochówku upirzycy.

– Jest taka jedna wiedźma, co to ma dar jasnowidzenia, tylko mocno zaniemogła – wtrącił Wiedzimir.

– Wizje ninie są dla niej zbyt groźne, mogą do śmierci doprowadzić – oburzyła się Dobromiłka.

– Przecie rzekłem, iż zaniemogła – obraził się żerca.

– Wiedzimirze, wszak kruki do ciebie mówią, zwróć się do nich, niech wskażą owo miejsce – zaproponowała Musza.

Żerca westchnął z rezygnacją i ponownie przygiął ławeczkę. Dłonie zacisnął w pięści, a jego usta zapadły się niczym żuk w ruchomym piasku. Milczał.

– Nieprawda. Jesteś dobrym żercą – nie wytrzymała Musza.

Spojrzał na nią gniewnie.

– Toż to szaleństwo jakies! Przecie przy tobie nie sposób żyć! Nic se człowiek pomyśleć nie może. – Spiorunował wzrokiem pulchną wiedźmę, odwrócił twarz i zaczerpnął głęboki oddech. – Rzeknę wam prawdę – odezwał się po chwili i odchrząknął, jakby mu te słowa z trudem przechodziły przez gardło. – Ona i tak mnie już przenicowała na wylot. – Znacząco spojrzał na słyszającą myśli. – Nie mam takiego daru, jak moi poprzednicy. Ich kruki unosily do świata duchów i tam zdobywali wiedzę o tym, co ma nadejść, o przyczynach klęsk, chorób, śmierci. Jam nigdy tam nie zawędrował. Czytam znaki z ich lotu, zachowania. Wiem tyle, co same mi pokażą. Nie umiem z nimi rozmawiać.

– To i dobrze – wycedziła Musza. – Boby ci jeszcze mocno naubliżały. Obaczyłybyś, iż moce, które dostajemy, są nam częstokroć przykre.

– Dajcie pokój – przerwała Dobromiłka. – Wiedma znuzona, odpoczynku potrzebuje. Najdziemy jakiś sposób, by się dobrać do upirzycy.

Następnego dnia Wiedma uprosiła, by ją wyprowadzić na zewnątrz. Chciała odzyskiwać siły w ciepłe wiosenne Słońca. Pomyślała, że Dadźbóg użyczy jej swych mocy i pomoże powrócić do zdrowia. Wygrzewała się więc na rozłożonym pledzie zabranym z oberży. Obserwowała niebo, na którym tłoczyły się kruki. Rzeczywiście nigdy nie widziała takiej gromady. Wyglądały jak stado wron, tyle że były znacznie większe od swych równie czarnych sióstr.

– Wężownik z mlekiem. – Dobromiłka podeszła do Wiedmy, wyciągając do niej gliniany kubek.

– Wężownik? – zdziwiła się chora. – Starty korzeń? – Powąchała. – Skąd wzięłaś na przednówku?

– Z twych zbiorów – uśmiechnęła się jasnowłosa wiedźma. – Damroka obdarowała mnie jeszcze całym koszem jada i prosiła, byś jak najskorzej do Ostrowia powróciła. Połóż się, trza też okład na ranę zrobić.

Wiedma upiła trochę z kubka i posłusznie się położyła. Dobromiłka zanurzyła w tym samym naczyniu szmatkę i przyłożyła chorej na sączące się rany w okolicy obojczyków.

– Wywabiasz jad, jakby mnie wąż ukąsił, a nie upirzyca.

– Tako węże, jak i upiry szkodliwy jad zadają, bo z mrocznego świata pochodzą.

– A kruki?

– One we wszystkich światach żyją zarówno. Obacz: służą samemu Swarogowi, toteż do Wyraju latają, dusze przeprowadzają. Aleć żywią się tym, co Mokosz zrodzi i zwierzęcym truchłem nie pogardzą. Zatem bytują i w naszym świecie, i w zaświatach. Stąd tak łatwo im przyszłe losy zgadywać. Są wszędy po trochu.

– To nie jest dobre nie mieć swojego jednego miejsca.

– My także nie mamy.

Z chmary kraczących kruków odłączył się jeden. Usiadł na gałęzi pobliskiego drzewa i zaterkotał. Spojrzały w jego kierunku. On też przechylił łebek i przyglądał się im z ciekawością.

– Obacz, to ten sam, co wczora dreptał przed wejściem do oberży. Pewnikiem cię polubił – stwierdziła Dobromiłka.

– Kruki ponoć mają rozum niczym człek.

– Powiadają, iż przysmakiem ich ludzkie oczy i wewnątrz głowy, gdzie myśl mieszka. Stąd ich mądrość się bierze.

– Skąd tyle wiesz o krukach?

– Od Loty, więdźmy z piórami ptaków we włosach. Bywa przecie na sabatach.

– Tako. Zdałoby się ją lepiej poznać. Może jaką radę by miała dla Wiedzimira.

– Może. A znasz opowieść o kamieniu niewidzialności?

– Nie. – Wiedma wygodniej się ułożyła, dbając, by opatrunek się nie zsunął. – Z ochotą posłucham.

– Kruki mają wiele nadobnych rzeczy, które skrywają, niczym źmij pilnujący skarbów w swej jaskini. Pośród nich najbardziej pożądany przez ludzi jest kamień niewidzialności. Kto go połknie, stanie się niewidzialnym.

– Przecie starczy do maści czarownic dodać żabią ślinę.

– Maść czarownic działa tylko nocą. A też nie każdy potrafi ją utrzc i nie każdy może jej użyć, a chętnych do bycia niewidzialnym jest wielu.

– To jak zdobyć taki kamień?

– Trza małe z gniazda wyciągnąć, przebić czymś i zawiesić przy gnieździe ku srogiej rozpacy ich rodzicielei.

– Uczyniłaś tak? – spytała oburzona Wiedma.

– Czy ja posiadam takowy kamień? – Pytanie miało być odpowiedzią.

– Po co takie męki zadawać biednym ptakom?

– Bo dla swoich dzieciak są gotowe wszystko oddać, nawet kamień niewidzialności.

– A co, kiedy go nie posiadają?

– Sama wiesz.

Kruk tymczasem nieustannie przyglądał się niewiastom. Wtem sfrunął pod drzewo i pilnie czegoś szukał w trawie. Po chwili znów poderwał się do lotu. Przeleciał nad wiedźmami, zaterkotał i oddalił się do swych towarzyszy. W momencie gdy usłyszały jego krakanie, coś upadło na pled.

– Co to? – spytała zdziwiona Wiedma.

– Kamień niewidzialności – Dobromiłka sięgnęła po okrągły przedmiot i pokazała go przyjaciółce.

– To orzech, a nie kamień.

– Kto wie, co zakłte jest w jego skorupie? Cóż, że nie kamień. To dar. Od kruka. Weź go.

Upirzyca



Zerca jesteś. Chronić nas, twoja powinność. – Książ Lestek splunął na ziemię.

Wiedźmir miał ochotę uczynić to samo, bo widok ludzkiego ścierwa rozrywanego przez stado kruków, sprawiał, iż cała wczorajsza wieczerza stała mu w gardle. Nie wypadało jednak spluwać przy władcy.

– Kneziu, mieszkańców grodu ty chronisz wraz ze swą drużyną, a wyższą ochronę mogą dać tylko bogowie. Jam jest ino ich narzędziem.

Stali na terenie podgrodzia. Ofiara leżała nieopodal w grodzie, w miejscu podwójnie ogrodzonym i strzeżonym. Słychać było dochodzące stamtąd gorączkowe odgłosy kruków wyrwających sobie resztki obiaty pozostawione przez upirzycę.

Wiedma nie chciała oglądać tego widoku. Przerażała ją myśl, że tam mogło leżeć jej truchło. Albo Siemowita.

Lestek spoglądał złowrogo na żercę. Chętnie by wyladował na nim swą złość i bezsilność, ale zbytnio się obawiał zemsty Swaroga, któremu Wiedźmir służył. Z bogami wolał nie zadzierać. Był dumnym, ale i odpowiedzialnym władcą. Nie mógł znieść myśli, że od dłuższego czasu tuż pod jego bokiem ginęli ludzie, a on w żaden sposób nie mógł temu zapobiec.

– Wiedźmę sprowadziłeś i co? Wraz z nią nieszczęście przybyło do grodu.

Wiedma wbiła w Lestka wzrok. Twardo wytrzymała jej oskarżycielskie spojrzenie.

– Może tyś to uczyniła? Ponoć upirzyca cię skaziła. Powiadają, że tacy w upiry się zmieniają – zwrócił się tym razem do niej.

– Kneziu, nie stałaby ninie na Słońcu jako stoi – szybko wtrącił się Wiedźmir.

– Aczli byłabym upirzycą, dawno na twoim truchle by kruki ucztowały – odcięła się.

Wiedźmir zganił ją wzrokiem, ale kneź widocznie nie przejął się zbytnio jej butą, bo odwrócił się w stronę grodu i spytał zatroskany:

– Gdzie najść ową upirzycę? Jak? Co należy uczynić? To wy się znacie na tajemnych mocach! Użyjcie jakowychś czarów i najdźcie ją, a zdejmę z jej pleców głowę i między nogi wsadzę, twarzą do ziemi, by nigdy więcej nie wylazła.

– Gdybyście nie pozwolili swemu wojowi, będącemu w konszachtach z upirzycą, umknąć, dawno byłby spokój w Przemyślu – wycedziła Wiedma.

– To nie rada – odparł kneź. – Sowiec was wynagrodzę, ale dobrej rady potrzebuję, a nie swarów.

Wiedzimir spojrział błagalnym wzrokiem na wiedźmę, którą wyraźnie zirytowały słowa przemyskiego władcy. Przecież dopiero co Lestek próbował na nich zrzucić całą winę i odpowiedzialność. Powstrzymała się przed złośliwą odpowiedzią.

– Rozmówię się z siostrami. Może mi pozwolą wywołać widzenie – westchnęła.

Minął już prawie miesiąc, odkąd Dobromiłka i Musza podjęły się opieki nad nią. Wiedźmy leczyły ją zaklęciami, magicznymi napojami, okładami i uzdrawiającą mocą. Prowadziły przy tym karczme, warząc jadło dla gości, zapewniając im nocleg, a koniom obrok. Nocami czuwały przy niej na zmianę, nie zaniedbując żadnych działań ochronnych: ani znaków, ani odpowiednich ziół w palenisku, ani zaklęć. Chorej pod ich troskliwą opieką przybywało sił, a Wiedzirowi ciała. Żerca szczególnie upodobał sobie jadło warzone przez Muszę. I choć nader często się spierali i złościłi na siebie, to czarowność wiedźma nie zapomniała nigdy, by posłać żercy świeżo przygotowany posiłek, a i on, gdy tylko mógł, zachodził do oberży, zapytać o zdrowie Wiedmy i popróbować wybornych przysmaków.

Monotonny zaśpiew wywoływał prawie niezauważalne drżenie gęstego od dymu powietrza. Wiedma zacisnęła powieki i ponownie je otworzyła. Dym przestał ją drażnić. Nadal niewiele widziała, mrok nocy i otulająca okolicę mgła nie pozwalały zorientować się, gdzie jest. Usłyszała ciche kroki. Po chwili zamajaczyły przed nią trzy postacie: jedna kobieca i dwie dziewczęce. Nie widziała, dokąd idą. Znow zaczęły znikać za mglistą zasłoną. Niepewnie ruszyła przed siebie, chcąc zobaczyć coś więcej. Wreszcie znow je ujrzała. Wchodziły do niewielkiej chatki. Nagle zawiął wiatr. Mgły ożyły, rozpraszając się. Zorientowała się dopiero teraz, że stoi nad rzeką. Zdziwiła się, że nie usłyszała wcześniej jej szumu. To był San. Dobrze jej znany, płynący u podnóża przemyskiego grodu. Z chatki wyszły cztery postacie i ruszyły w stronę łódki. Jeszcze raz się rozejrzała. Poznawała to miejsce. Chata przewoźnika. Wiedźma z córką i upirzycą wsiadły do łódki. Przewoźnik wypchnął ją z mielizny i wskoczył do środka.

– Przewoźnik! Trza ratować przewoźnika! – zawołała.

Wiedzimir, Dobromiłka i Musza zerwali się na równe nogi, przerażeni jej nagłym krzykiem.

– Gdzie? Jak? – Żerca potrząsnęła na wpół przytomną Wiedmą.

– Nad Sanem. Wsiadł z upirzycą do łodzi. Ratujcie go!

Wiedzimir podbiegł do drzwi i zawołał czterech wojów trzymających straż. Kneź na specjalne życzenie kapłana przydzielił ich wiedźmom, gdyby potrzebowały pomocy podczas poszukiwań leża upirzycy.

Uzbrojeni w topory i kołki osikowe stali w gotowości. Zza pasów i z butów wystawały im liście czosnku niedźwiedziego. W milczeniu czekali na rozkazy. Tylko ich oczy zdradzały, jak przerażająca jest dla nich perspektywa walki z krwiożerczym demonom. Honor jednak nie pozwalał im się przyznać do strachu.

– Wy dwaj, biegiem do brodu na Sanie. Zatrzymać łódź, wyciągnąć z niej wszytkich i wziąć pod straż. My – Wiedzimir pokazał na siebie i dwóch pozostałych – będziemy zaraz za wami.

Wyszli pospiesznie. Niewiasty zostały. Wiedma leżała z przymkniętymi powiekami, ciężko oddychała. Musza i Dobromiłka zaintonowały pieśń, w której powtarzały zaklęcia mające wspierać w walce ze złem, nieść pomyślność, sprzyjać dobremu losowi.

– Za późno – jęknęła bursztynowość wiedźma.

Wyciągnęła w górę dłoń i zaczęła się jej przypatrywać. Przypominała sobie, jak niegdyś uścisnęła nią rękę przewoźnika. Zacisnęła ją w pięść i objęła drugą dłonią. Obróciła się na bok i skuliła niczym dziecicę w brzuchu matki, nim wydobędzie się na nieznany, obcy świat.

– Dajcie pokój – mruknęła. – Dola przewoźnika się wypełniła.

Wiedźmy umilkły. W ciszy czekały na powrót żercy i wojów.

– Kolejnej nocy pełnia. – Dobromiłka nie wytrzymała milczenia. – Polecę na sabat, rozpytam o Kościeja.

– Ja ostanę przy Wiedmie. Ktoś musi jej strzec, póki upirzyca grasuje.

– Może uproszę Lotę, by przybyła do przemyskiego grodu i zoczyła, co kruki chcą nam rzec – dodała Dobromiłka.

– Tako. Rozpytaj i proś – przytaknęła Musza.

Nad ranem powrócili żerca z wojami. Znaleźli jedynie łódkę na brzegu Sanu, oddaloną jakieś dwie staje od brodu. W łódce nikogo nie było, ale zakrzepnięta krew na jej dnie nie wróżyła niczego dobrego. Przewoźnika nie odnaleziono też w jego chacie ani nigdzie w okolicy.

– Jak nic wrzuciły ciało do Sanu – podsumował opowieść żerca.

– Pójdę przed zmrokiem do wodnika Sanona. Może coś zaradzi – odezwała się milcząca od długiego czasu Wiedma. – Wiedzimirze, potrzeba mi małej beczki soli na żertwę dla pana rzeki.

Kwietniowa pora nie była dobra, by wychładzać ciało w lodowatej wodzie. Wiedma weszła do Sanu w miejscu, gdzie rzeka rozszerzała się w bród. Płynąca bystro woda wypłukiwała zawartość beczki. Kobieta szeptała zaklęcia przywołujące wodnika. Zawsze wysłuchiwał jej modlitw. Lubiła go, choć jego zagadkowe odpowiedzi zazwyczaj nie niosły gotowych rozwiązań.

Rozglądała się, czy gdzieś nie wypiętrza się góra wody z wypukłymi rybimi oczami. Zaczynała zmierzchać. Sól już dawno popłynęła w stronę Wisły, nogi wiedźmy przeszywał ból od wychłodzenia. Sanon po raz pierwszy nie wysłuchał jej zaklęć i nie pojawił się na wezwanie. Drżąc z zimna, wyszła z rzeki. Wraz z Muszą udały się pożegnać Dobromiłkę, która właśnie nacierała się maścią czarownic, by ruszyć na sabat.

– Myślisz, iż Sanon się rozniewał? – zatroskała się Wiedma.

– Kto wie? Przewoźnik mu przecie służył. A tu raptem ktoś wrzuca w wody rzeki jego służę. I to martwego.

– Słusznie prawisz. To nie była dobra pora, by go wzywać. Pewnikiem też oplakuje owego człeka.

Dobromiłka już była gotowa do drogi. Nagie ciało nasmarowane smolistą maścią okrywała jedynie czarna peleryna. Rozszerzone źrenice przesłoniły białka oczu. Jedynie jasne włosy kontrastowały z całością. Ucisnęła dłonie przyjaciółek, rozpostarła pelerynę i pomknęła w stronę Księżyca niczym nietoperz.

Musza i Wiedma całą noc czuwały na zmianę, spodziewając się, że upirzyca w każdej chwili może do nich zawitać. Przed świtem usłyszały skrzyp drzwi. U wejścia stała Dobromiłka.

– Macie pozdrowienia od sióstr.

– Składamy dzięki za dobre słowo – odparła Wiedma.

– Lota obiecała do nas przybyć i obaczyć przemyskie kruki. To jeno udało mi się zdziałać.

– A Kościej? Nie rozpytałaś, gdzie go najść?

– Rozpytywałam. Nikt nie wie.

– Przecie Wieńczysława zawsze przynosi wieści od niego.

– Ona wie, ale rzekła, iż nie może nam wskazać miejsca jego pobytu. Dziwne to – dodała po chwili.

– Też mam takie myśli jako i ty, Dobromiłko – wtrąciła Musza.

– Jakie? Mnie nie jest dane ich usłyszeć – zainteresowała się Wiedma.

– Azali Kościej to nie wymysł Wienćyszławy. Stworzony, by nas wziąć w ryzy. Wszak nigdy nie przybywa na sabaty.

– Na sabatach świętują niewiasty, to nie miejsce dla Kościeja. Mnie się zdaje, że on jest – odparła Wiedma.

– Jest czy nie, nasza troska to upirzyć należć, a na kolejnym sabacie obaczymy, co z Kościejem – podsumowała Dobromiłka.

– Przed wieczera okaza się, co mi Perun dozwoli obaczć.

Wiedma długo nie widziała nic prócz mgły. Za to prześladowały ją liczne odgłosy, których źródła nie mogła zlokalizować. Słyszała nieustanny szum wody. Nie był to spokojny szum rzeki, ale raczej niecierpliwy plusk strumienia. Jednak nie ten dźwięk ją niepokoił. Gdzieś nad nią rozchodziło się głośne, przejmujące krakanie kruków. To nie były znane już jej odgłosy chmary ptaków latających nad Przemysłem. Słyszała rozdzierający, pełen rozpaczycy kruczy wrzask. Jednego kruka. Nie. Dwóch kruków.

– Nic nie widzę – szepnęła.

Poczuła ciepło czyich rąk. Ktoś ją uchwycił za prawą dłoń, ktoś inny za lewą. Zaiskrzyło i z mgły powoli wyłonił się obraz.

Chuda niewiasta stała na kamieniu tuż przy pniu wiekowej, rozłożystej wierzby. Ręka jej po łokieć zanurzała się w dziupli. Obok spacerowała jasnowłosa dziewczynka. Niewiasta wyjęła jakieś zawiniątko, rozsypała je i podała część jego zawroćci dziecku.

– To już ostatni – jakby ostrzegała.

Dziewczynka spoglądała na przedmiot leżący w jej dłoni.

– Duży.

– Nie marudź. Chceszli, by cię naleźli?

Dziewczynka podeszła do strumienia płynącego nieopodal wierzby. Włożyła przedmiot do ust, kucnęła, nabrała wody w stulone dłonie i napiła się. Widać było, że połknięcie owej rzeczy sprawiało jej trudność. Po chwili zaczęła przypominać postać utkana z gęstej mgły, która wkrótce się rozwiła. To samo stało się z niewiastą, która również połknęła coś, popijając z przypasanego bukłaczka.

Nic więcej się nie działo. Woda w strumieniu pluskała, wierzba szumiała poruszana lekkim powiewem wiatru. Tylko ten kruczy wrzask trwał nieustannie. Straszny. Przerażający też dlatego, że nigdzie w pobliżu nie było ani jednego kruka. Był tylko wrzask.

– Gdzie są kruki?

– Przy świątyni Swaroga – usłyszała głos Dobromiłki.

Otworzyła oczy. Była z powrotem w oberży. Wiedźmy klęczały nad nią. Trzymały się za ręce i ścisnęły również jej dłonie.

– Jak cicho – szepnęła.

– Wreszcie ucichło – dodała Musza. Była blada. Najwyraźniej uczestniczyła w widzeniu.

– Dobromiłko, przekażesz kneziowi, by jego woje szukali starej wierzby z dziuplą? Rośnie nad jakimś potokiem.

Trzy wiedźmy szły niechętnie na południową stronę wzgórza. To już czwarte miejsce, na które je tego dnia prowadzono. Każdy strumyk w okolicy był przeczesywany wzdłuż, począwszy od samego źródła. Jak się okazało, wierzb nad strumieniami rosło sporo. Żadna z nich jednak nie odpowiadała tej z wizji Wiedmy.

Niewiasty podążyły wzdłuż wodnego cieką, prowadzone przez przejętych rolę wojów. Wkrótce zobaczyły rozłożyste wierzby. Jedna z nich miała wrzcionowatą dziuplę. Otwór znajdował się na wysokości ramion. Wiedma westchnęła z rezygnacją.

– To nie ta.

Od strony Kopca Swaroga rozległ się wrzask kruków. Chmara wzbila się w powietrze i przeleciała wysoko nad ich głowami. Obydwie z Muszą wzdrygnęły się na wspomnienie ptasiego krzyku rozchodzącego się wokół wierzby.

– Dadźbóg zaraz skryje swe oblicze. Wracajmy. Dziś już nic nie najdziemy – zaproponowała Dobromiłka.

– Nazajutrz wznowimy poszukiwania – próbował pocieszyć, ale raczej zmartwił wiedźmy jeden z wojów.

– Siostry, znów trza widzenie wywołać. I to jak najskorzej, nim upirzyca zaatakuje. – W głosie Wiedmy słychać było determinację.

– Daj sobie dziś pokój. Sił nie masz.

– Racja – przyznała Dobromiłka. – Możesz się nie wybudzić.

Nie pozostawało jej nic innego, jak podporządkować się przyjaciółkom.

Dotarły do oberży tuż przed zmrokiem. Na progu leżała gałązka. Wiedma podniosła ją i rozejrzała się zdziwiona.

– Wokół lipy, graby, orzechy, leszczyna. Wierzby w pobliżu nie ma, by ją wiatr strącił – kontynuowała jej myśli Musza.

– Ktoś ją przyniósł – dodała Wiedma.

– Myślicie, że niewiasta z córką tu były? – zapytała strwożona Dobromiłka.

– Może tu są, przecie ich nie widać.

– Gdzie te straże? Jeszcze nie przyszła nocna zmiana?

– Prędko krąg i gwiazdę nakreślimy, wrzucimy gałęzie głogu i bylicę w ogień.

Kolejna noc upłynęła wiedźmom na czuwaniu. O świcie, gdy zasnęła Musza, a Dobromiłka odsypiała pierwszą część nocy, Wiedma wybita ze snu wyszła na spacer.

Dadźbóg podniósł już na nieboskłon swą potężną tarczę, ale jeszcze jej blask był stonowany przez poranne mgły. Można było śmiało spoglądać na nią bez obawy, że osłepi. Wiedźma wsłuchiwała się w poranny świergot budzących się ptaków. Niedawno przyleciały z odległego Wyraju i przypominały ludziom, że pora zabierać się za prace w polu. Przyprowadzały też dusze, które odradzały się w poczętych dzieciach. Starzy powiadali, że najwięcej takich dusz przynoszą bociany. Nie dziwi więc szacunek, jakim je otaczano. Gdy bocian usiadł na dachu jakiejś chaty, pewne było, że wkrótce narodzi się tam dziecko. Wiedma jak na zawołanie usłyszała poszum mocnych, rozłożystych skrzydeł. Bocian przeleciał nieopodal, kierując się w stronę Sanu.

– Będę miała pracowity, ruchliwy rok – mruknęła do siebie.

Podążyła za bocianem i dotarła nad rzekę. Poziom wody w Sanie był wysoki. Zdziwiło to nieco Wiedmę, bo ostatnimi czasy rzadko padały deszcze. Szarobura woda płynęła wartko, niespokojnie niosąc konary i uschnięte pnie drzew porwane z brzegów.

Niewiasta przycupnęła na porośniętym trawą zboczcu, gdyż prawie całą kamienistą plażę zalewała woda.

– Witaj, pełna sprzeczności, wzywałaś mnie.

Zerwała się. Nieopodal wypiętrzyła się rzeka, z której spoglądało na nią raz jedno, raz drugie wylupiaste oko wodnika.

– Chwała ci, Sanonie, panie tej rzeki. Onegdaj cię wzywałam, ale się nie pojawiłeś. Nie spodziewałam się, iż dziś mnie zaszczycisz.

– Sól darowana przez ciebie zasmakowała mi i stworzeniom zamieszkującym moje wody. Znasz mą słabość i wiesz, jak mnie zjednać.

– Niechybnie przyniosę ponownie twój przysmak, panie.

– Czego ode mnie oczekujesz, pełna sprzeczności?

– Nie możemy należeć leża upirzycy, tej, która odebrała żywot przewoźnikowi. Pomyślałam, że i tobie, panie, nie podoba się, iż człowiek, który ci służył, stał się jej ofiarą.

Fala brudnej wody uderzyła z chłupotem o brzeg. Po chwili pojawiła się w innym miejscu, spowalniając bieg rzeki.

– Żywot ludzki jest jak mgnienie – odparł lakonicznie.

Pomyślała, że demony nie wchodzą sobie w drogę. Sposobu na wypędzenie biesa też jej nie podał, gdy dawno temu prosiła o to. Ale uczył ją też, że zawsze należy pytać.

– Możeszli, panie, wskazać to miejsce?

– Jam jest pan wodnego świata, nic mi do suchego lądu.

Znów rzeka uderzyła o brzeg, ochlapując stopy Wiedmy. Na chwilę powierzchnia wody się wygładziła. Nagle woda znów się wypiętrzyła niczym wodospad.

– Niezmiennie pełnaś sprzeczności.

– Miłuję i ranę zarazem. – Z zawstydzeniem dotknęła znamienia na policzku.

Gromki śmiech przypominał huk wodogrzmotów.

– Taka już człowiecza natura. Aleś też widząca, a nie widzisz tego, co blisko.

– Czego, panie?

– Kruków.

– Panie, widzę kruki, ale nie znam ich mowy. Wiedzimir odczytuje ich znaki, ale też niewiele rozumie. Co mam uczynić, panie? – Ucichło, spieniona woda znów płynęła wartkim nurtem. Wodnik zniknął. – Sanonie! – zawołała. W odpowiedzi usłyszała krakanie dochodzące znad grodu.

Kolejny dzień poszukiwań przebiegał podobnie do poprzedniego. Wojowie przetrzasali okolicę, szukając strumieni i rosnących przy nich wierzb, a następnie wzywali wiedźmy, by sprawdziły, czy to właściwe miejsce. Po całym dniu bezowocnych poszukiwań zmęczone i zniechęcone powróciły przygotować wieczerzę. Strażnicy ruszyli do zamczyska na zasłużony odpoczynek. Wkrótce nadeszła nocna zmiana.

Wiedma wyszła z cebrem po wodę. Na placu przed wejściem do oberży dumnie spacerował kruk. Ten sam, na którego niegdyś zwróciła uwagę Dobromiłka. Rozpoznała go po przypalonych piórach na ogonie. Tym razem ze zdziwieniem zauważyła, że w dziobie trzyma gałązkę. Gałązkę wierzb. Postawiła ceber i wbiegła do budynku.

– Siostry, kruk dzierży w dziobie wierzbine.

Wyszły wszystkie trzy. Kruk nadal spokojnie spacerował. Widząc je, przefrunął kawałek i znów zaczął dostojnie stapać. Nie wypuszczał z dzioba gałązki.

Zbliżyły się do niego. Znów odfrunął i usiadł na belce ogrodzenia. Zrozumiały, że chce, by za nim podążyły. I rzeczywiście, wyraźnie je dokądś prowadził. Nie oddalał się zbyt, cierpliwie na nie czekając. Zawołały strażników i wspólnie ruszyli za ptakiem. Wspięli się na pobliskie zbocze, za którym rozciągał się niewielki zagajnik porośnięty głogiem, czeremchą, czarnym bzem i chmielem.

Minęli porośniętą trawą wał i ujrzeli za nim strumyk. Dookoła było coraz więcej drzew. Skierowali się w górę jego nurtu, tak jak ich prowadził kruk.

– To tutaj. – Wiedma przerażonym wzrokiem omiotła okolice.

Stara wierzba rozpuszczała swe smętne gałęzie niczym rusalka włosy. Pod pnem leżał kamień. Kruk upuścił gałązkę i zaczął czegoś szukać za owym głazem. Po chwili wyciągnął. Przeszedł dumnie przed wiedźmami, trzymając w dziobie jakiś zielonkawy przedmiot.

– Kamień niewidzialności? – spytała Dobromilka.

– Nie. To moja gemma. Żmijownik od Żegoty – skonstatowała Wiedma.

Kruk tymczasem podfrunął i usiadł na skraju dziupli. Wrzucił wisiorek z heliotropu do wnętrza drzewa. Potem zleciał na ziemię i rozdarł się swym złowieszczym, przeraźliwym krakaniem. Podeszli i zauważyli, że gleba w tym miejscu jest miękka, jakby świeżo kopana.

– Tu jest pewnie pochowane ciało. Trza odkopać. Ale chyżo, bo zmrok zapada – zarządziła Musza.

Czterech mężczyzn wzięto się do pracy. Spod cienkiej warstwy ziemi zaczęto wyłaniać się ciało dziecka. Dziewczynka wyglądała jak żywa, jakby spała.

Musza nagle zaczęła śpiewać zaklęcia i zakreśliła wokół siebie oraz pozostałych wiedźm krąg.

– Mieście baczenie! – krzyknęła do wojów.

Jeden z nich, który właśnie zamachnął się, by wbić osinowy kołek w serce zmarłej, skulił się i przewrócił, jakby rażony niewidzialnym obuchem. Trzej pozostali poderwali się i nastawiając broń do walki, rozglądali się niepewnie, ale nikogo nie widzieli. Nagle temu stojącemu najbliższej ciała coś podcięło nogi. Upadł na kolana. Trzeci jęknął, odchylając się nienaturalnie w tył. Zaczął rzeźcić. Musza nie wytrzymała i wybiegła z kręgu, wyrwała topór duszonemu przez niewidzialną siłę i zamachnęła się za jego plecami. Uścisk zelżał. Coś go puściło. Ale prawdopodobnie zdążyło uniknąć ciosu. Musza odwróciła się, nasłuchując. Czwarty woj, widząc, co się dzieje, podbiegł do ciała upirzycy, uniósł topór, by czym prędzej pozbawić ją głowy. Coś go pchnęło, zachwiał się, topór wbił się w ziemię. Woj, któremu wcześniej niewidzialna istota podcięła nogi, poderwał się. Wtem nos roztrzaskał mu lecący zarośli kamień. Za nim poleciały kolejne. Jeden z nich trafił Muszę. Ta zasyczała z bólu, nagle zamachnęła się i uderzyła na odlew. Coś obok niej jęknęło i ucichło. Wiedźma chwyciła garść ziemi i sygnęła. Proch zarysował kształt ludzkiego ciała, leżącego na wygniecionej trawie. W krzakach jakieś dziecko krzyknęło, słychać było, jak się przedziera przez zarośla i ucieka.

Rozległ się kolejny jęk. Tym razem to woj, który przed chwilą leżał zamroczony na zmarłej, dzierżąc osinowy kołek, drgał w konwulsjach. Upirzyca obudziła się i właśnie rozrywała mu tętnicę na szyi. Ten, którego topór wbił się w ziemię, wyrwał go i zamachnął się, celując w szyję demona. Dziewczynka niczym błyskawica się wywinęła, unikając ciosu. Zanim zdążył się zorientować, już siedziała mu na plecach. Rzucił się w stronę wiedźm, szukając u nich pomocy. Upadł nieopodal Wiedmy i Dobromilki. Jasnowłosa wiedźma osunęła się na kolana i wymawiając zaklęcia, wpatrywała się prosto w kocie oczy upirzycy. Ta zatrzymała się na chwilę, zaskoczona dziwną słabością, która zaczęła ją ogarniać. Nie zwróciła uwagi, że Wiedma pobiegła w stronę wierzby i czegoś gorączkowo szukała w jej dziupli. Nieopodal proch zarysowujący kształt ludzkiego ciała opadł na ziemię. Postać podniosła się i znów stała się niewidzialna.

Musza chwyciła topór w obie ręce i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę, gdzie nikt nie stał, przynajmniej nikt widzialny. Zamachnęła się, ale nie trafiła. Ponowiła cios. Niewidzialna postać jęknęła. Kolejny zamach i niewidoczny byt wydał z siebie urwany krzyk. Dźwięk ten wyrwał upirzycę z hipnotycznego stanu. Zerwała wojowi szłom z głowy i zmiażdżyła zębami kręgi szyjne. Krzyk Dobromilki jeszcze nie przebrzmiał, gdy jeden z wojów rzucił się z toporem na upirne dziecko. Między

jednym a drugim zamachnięciem dziewczynka zdążyła się wpić w jego ciało. Mężczyzna upadł na wzniak, krew zaczęła z niego tryskać niczym źródło na wywierzysku. Widok ten upoił wampirycę, która z upodobaniem zachłystywała się życiodajnym płynem. Wtem odwróciła głowę niczym sowa, oderwała się od swej ofiary i pomknęła w stronę Wiedmy stojącej pod wierzbą. Ta trzymała w dłoni zawieszoną na szyi kaptoreg, którą przed chwilą wyjęła z dziupli. Odmawiała zaklęcia, czując moc odzyskanego przed chwilą woreczka pełnego amuletów. Tych, które były jej tylko przeznaczone, które otrzymała w dniu przejścia. Wiedma zsunęła się na kolana i uniosła ręce. Upirzyca już była przy niej. Nagle zawyla i zamarła w bezruchu. W miejscu, gdzie było jej serce, tkwił nóż z rogową rękojeścią, na której wyżłobiony był znak lunuli. Upiorne dziecko chciało pochylić głowę, by zobaczyć, co się stało, ta jednak odpadła, turlając się po trawie pod wierzbą. Oddzielił ją od ciała topór wbity w pień drzewa. Jego trzonek trzymała oburącz Musza.

– Niewiasto, gdzieś ty się nauczyła tak władać toporem? – jęknął woj, jedyny, któremu udało się przeżyć.

– Starczy dobrze zjeść i znać myśli przeciwnika – odparła czarnowłosa. Skrwawiona, ubłocona, dysząca jeszcze pragnieniem uśmiercania nie przypominała dobrotliwej, chętnie warzącej jadło niewiasty, do jakiej byli przyzwyczajeni.

Wiedma z niedowierzaniem wpatrywała się w rękojeść noża tkwiącego w ciele pozbawionego głowy upira. Przecież lichy porwał ten kozik ubiegłego lata. Wiedźma z córką mogły ukrywać w owej dziupli przedmioty, które jej ukradły, i to nie wydawało się aż tak dziwne. Ale nóż? Skąd się wziął w tej dziupli?

– To pewnikiem była skrytka kruka. Wiedźma musiała ją sobie przywłaszczyć – skonstatowała Musza, słysząc te rozmyślenia.

– Pochowajmy upirycę i wezwijmy ludzi knezia, by odprawić godne ciałopalenie odważnym wojom. – Najwięcej przytomności umysłu wykazała Dobromiłka.

– A co z potworem? – spytała Musza.

– Potworem? – zdziwiła się Wiedma.

Musza zebrała do podółka kilka garści ziemi i podeszła do miejsca, gdzie walczyła z niewidzialną istotą. Sypiąc proch, odsłaniała kształt skulonego, martwego ciała.

– Żaden bies nie dorównałby tej śmiertelniczce. Jej myśli były niczym jad żmii. Błogosławieństwem będzie o niej zapomnieć.

– Jej córka nie zapomni. Przyrzekła już w swym sercu wróżyć⁶. – Wiedmę przeszły na wskroś złe przeczucie.

– A gdzie owo czędo?

– Kamieniami nas obsypało. Widząc koniec żywota swej macierzy, umknęło z krzykiem rozpaczcy – odparła Musza.

– Nie będziemy na żywe, śmiertelne dziecię polować – zauważyła Dobromiłka. – Spalmy ciało matki, zanim się w jakowegoś mocarnego demona zamieni.

– Tako. Pora unieszkodliwić upirycę na wieki i sprowadzić wojów, by ciała pod gród zanieśli i spalili.

Wykopali znacznie głębszy dół. Włożyli doń zwłoki dziewczynki, jej głowę włożyli między nogi i obrócili twarzą do ziemi. Wiedma wyciągnęła z jej ciała swój pamiątkowy kozik, a w przebite miejsce wcisnęła osinowy kolek, który wyjęła ze stężyłych dłoni martwego wojaka. Musza na wszelki wypadek wraziła w leżącą głowę żelazny ćwiek, a Dobromiłka sypnęła kilka garści maku.

– Szczeźnij tu, szczeźnij – powtórzyły. Obezwałdnione na wieki ciało upirzycy pokryła przesiąknięta krwią ziemia.

6 Wróżda – zemsta rodowa, pomszczenie śmierci krewnego.

Nów



Nowa chata Siemowita pachniała świeżym drewnem i dziegiem. Wiedma przestąpiła wysoki próg. Serce jej łomotało jak szalone.

– Niech bogowie mają w opiece tę chatę i tych, którzy w niej żyją – wyduśliła przez ściśniętą krtani.

– Niechaj tak się stanie – odparła rudowłosa gospodyni. – Dobrze was widzieć, Wiedmo. Siadajcie. – Wskazała na ławę pod ścianą.

Wiedma usiadła na skraju świeżo wyheblowanej i nawoskowanej ławy. Gotowa w każdej chwili się poderwać i wybiec. Spoglądała niepewnie na Lubomirę, żonę Siemowita. Ta jednak wyraźnie się cieszyła z tych odwiedzin. Pobiegła do pobliskiej piwniczki i wróciła z koszem wiktuałów, które zaczęła wykladać przed gościem. Nie przestawała przy tym mówić. Praktycznie nie dopuszczała Wiedmy do głosu.

– Zanieśliśmy żertwę Swarogowi, jego znak wypalili na śłemeniu dla ochrony. Wianek z lubczyku i macierzanki wisi pod strzechą, a na niej zatknięte gałązki leszczyny. Ino twego wstawiennictwa nam potrzeba, iżby Perun nie obracał na nas już swego gniewu. Siemowit powiadał, iż masz względy u Gromowladnego.

Wiedma czuła się niepewnie. Nie wiedziała, czy Lubomira wie, że poprzednia chata spłonęła przy jej znacznym udziale.

– A gdzie Siemowit? Przyszłam rozpytać o jego zdrowie. – Wykorzystała moment, by wreszcie zapytać o to, co ją nurtowało najbardziej.

– Wdzięcznam ci za troskę. Zdrow już. Poszedł w pole siał. Wam też już, widać, się polepszyło.

Wiedma przyglądała się wybrance Siemowita. Widywała ją wcześniej z daleka. Wtedy wydawała jej się brzydka. Niezbyt gęste, rudawe, proste włosy, brwi śmiesznie ułożone, jakby w wyrazie nieustannego zdziwienia, zbyt wyraziste kości policzkowe, za którymi gubiły się oczy. Dziwił ją wybór kochanka, a wręcz rozczarowywał. Uważała, że zasługiwał na ładniejszą żonę.

Teraz, gdy po raz pierwszy z nią rozmawiała, odniosła inne wrażenie. Miły głos budził sympatię. Wesoły i życzliwy uśmiech łagodził sowi wyraz twarzy. Z bliska wydawała się nawet ładna. Zbyt ładna. Ukłucie zazdrości zaczęło rozlewać się niczym jad.

– Tako. Dobromiłka i Musza mnie ozdrowiły i ponoć waszemu też pomogły.

– Bez nich bym nie poradziła. Jak nic już chadzały po Nawii albo, co gorsza, w upira się przemienił. Dobre i rozumne z nich wiedźmy. Żal, że już nas opuściły.

Drażniło ją gadulstwo Lubomiry i to poczucie wspólnoty, które odczuwała z jej duchowymi siostrami.

– Na cóż wam one, kiedy Siemowit już zdrowy?

– Chciałam jeszcze prosić je o coś. – Spłonila się i mimowolnie dotknęła brzucha. – Bociany i jaskółki dawno przyleciały, ale nam nic nie przyniosły. Może ty, Wiedmo, co poradzisz, by moje łono nie było jałowe?

Wiedźma pomyślała o odzyskanej gemmie zawieszanej na szyi, której wypukły awers był żmijownikiem zapewniającym płodność.

– Obaczę, co da się zrobić. Przybądź do mnie na Ostrowie, gdy nastanie nów.

– To już lada chwila.

– Tako.

Obróciła się do wyjścia i prawie weszła na Siemowita. Zmieszała się. On też.

– Co tu robisz, Biwio?

– O twoje zdrowie przyszedłam rozpytać.

Lubomira podbiegła tymczasem do męża, zawiesiła na jego szyi ręce i ucałowała go w usta. Zmieszał się jeszcze bardziej. Jego ramię zawisło na chwilę jakby w niepewności, aż w końcu objęło kibić małżonki.

– Ostań u nas na posiłek, Wiedmo – poprosiła radośnie. – To zaszczyt będzie cię gościć. Nieprawdaz, mój miły?

– Tako, zaszczyt. Aczli się spieszycie, chętnie odprowadzę. – Siemowit wyraźnie nie podzielał entuzjazmu żony.

– Nie spieszno mi.

Widok więzi, która ich łączyła, sprawiał jej ból. Mimo to nie potrafiła się od niego uwolnić.

Lubomira zaczęła się krzątać przy palenisku. Tylko ona z całej trójki czuła się swobodnie. Nie przestawała też mówić.

– Onegdaj gościł u nas dziewierz^z z synami. Takie te maluchy żywotne, iż na krok nie można spuścić z oka. A Siemowit to uwielbia dzieci.

– Uwielbiam je jeść – wysilił się na dowcip.

– Jeść – powtórzyła z przekąsem. – Karmił chłopaków, sam mało co do ust włożył. Cały dzionek niańczył młodszego synowca. Gadał do niego, miny robił jak jaka wila, a ten zaśmiewał się do rozpuku.

Nagle spoważniała i spojrzała z powagą w oczy Wiedmie.

– Barzo pragnę dać mu dziecko.

– Wiem – odparła sucho.

Słuchała historii rodzinnych, zachwyty nad synami brata Siemowita. Patrzyła, jak Lubomira podczas krzątania się posyła małżonkowi radosne uśmiechy. Nie uszły jej uwadze przelotne, czułe dotknięcia, spojrzenia. Siemowit wił się niczym zwierzę w potrzasku. Nie chciał ranić nagłym chłodem i obojętnością żony, która okazywała mu wielką atencję. Obawiał się jednak, że każdy czuły gest czy słowo skierowane do niej jednocześnie zrani jego kochankę. Spoglądał więc co chwila na gościa. W jego oczach była niema prośba o wybaczenie.

Wiedma niewiele zjadła, ale nader skwapliwie wychyliła kilka czarek piwa. Zrobiło jej się gorąco, niezręcznie się poderwała, niemal przewracając ławę.

– Wybaczcie. Pora na mnie. – Bardzo się starała, by mowa nie była zbyt bełkotliwa.

– Odprowadzę cię – usłyszała głos Siemowita.

– Waruj przy swej żenie – odburknęła, nie spojrzawszy nawet w jego stronę. – Obaczmy się, kiedy

nów nastanie! – zawołała do Lubomiry i prędko wyszła.

Skurcze żołądka nie pozwoliły jej odejść daleko. Upadła na kolana tuż przy miedzy, za obejściem należącym do Siemowita, co chwila wstrząsały nią torsje. Grzmot rozległ się w pobliżu. Zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie – mruknęła. – Odejdź, proszę. Nie chcę.

Nów to czas, gdy czarna magia staje się potężna, a niektóre zaklęcia są najskuteczniejsze. Księżyc dopiero się poczyna, zatem w nieprzeniknionych ciemnościach demony czują się bezkarne, a czary działają ze zdwojoną siłą.

Stali przed nią onieśmieleni. Siemowit i Lubomira. Niewiasta miała nieco opuchniętą twarz i niezdrowy rumień na skórze. Nie uszło to uwadze Wiedmy i nikły, zły uśmiech rozbrłysł w jej oczach.

– Podatnaś na czary – mruknęła, witając się z kobietą.

– Co mówicie, Wiedmo? – nie dosłyszała.

– Rzekłam, żeś podatna na czary, to może zadziałają – dodała głośniejsze. – A ty – zwróciła się do Siemowita – ostan przed chatą. Skrzesz ogień i czekaj.

Lubomira ucałowała męża i delikatnie pchnęła do wyjścia. Zawarła drzwi, mimo że w izbie było gęsto od dymu o zapachu jałowca. Ukłękła na skórze rozłożonej przy palenisku. Czekwała, śledząc pilnie każdy ruch wiedzącej.

Wiedma wrzuciła w płomień świeże lodygi błekotu. Ogień zaskwierczał i pomieszczenie wypełniła słodkawa, pietruszkowa woń. Wkrótce oddech wiedźmy przyspieszył. Zauważyła, że Lubomirze drżą ręce. Pomogła kobiecie się rozebrać. Położyła dłonie na jej podbrzuszu, mrużąc pod nosem śpiewne zaklęcia. Załaskotały ją opuszki palców, ciepło od nich rozeszło się po ciele niczym prąd wody w rzece. Wizja spłynęła nagle. Zobaczyła Siemowita pochylonego nad kołyską i trzy rodzanice przędące nić. Jego wzrok był skupiony na niemowlęciu gaworzącym w pieleszach. Podniósł na chwilę głowę. Na twarzy mężczyzny malowała się duma. Lubomira stała za nim, wyciągnęła do niego rękę. Chwyił ją i ucałował z czułością. Wiedma zacisnęła dłonie w pięści. Wizja zniknęła. Czarownica poderwała się na nogi i podeszła do skrzyni. Otworzyła ją i zaczęła czegoś szukać. Wrzuciła do kamiennej miseczki nasiona, które wkrótce starła w proch niewielkim moździerzem. Zalała wszystko zieloną nalewką z ruty.

– Jałowy jałowcu, szalony szaleju, dzika dziczko, ruto wieczne zielona, wypleńcie, wyczyśćcie, zabierzcie i zniszczcie – szeptała.

Zachowywała się, jakby była w transie. Podeszła do Lubomiry i gestem nieznoszącym sprzeciwu przyłożyła naczynie do jej ust. Kobieta nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na zawartość miseczki i pokornie wypila. Posłuszna woli wiedźmy położyła się. Wkrótce magiczny napój musiał zadziałać, bo z jękiem zwinęła się w kłębek. Spod przymkniętych powiek zaczęły płynąć łzy. Wiedma klęczała przy niej i zaplatając z włosów niewiasty cieniutkie jak nić przędzy warkoczyki, śpiewała cicho zaklęcia zawiązujące.

– Nie roztworzysz swego łona, tobie susza przeznaczona. Matka Ziemia innych darzy, tobie piach jałowy parzy.

Coś zachrobotało. Spojrzała w kąć chaty. Mignęły ogniste włosy domowika.

– Nie zakreśliłaś kręgu, Wiedmo – upomniał ją.

– Nie zakreśliłam.

– Dałaś złu dostęp.

Zrobiło się ciemno. Ogień paleniska przygasł pod płaszczem zimnej wody z cebra. Otworzyły się drzwi. Ktoś wiechciem wypędzał dym z chaty. Wiedma otumaniona oparami z ogniska nie miała sił, by

powstrzymać porządki demona domowego. Podpełzła pod ścianę, bo nie chciała przebywać w pobliżu Lubomiry. Zapadła w sen. Żona Siemowita leżała nieprzytomna.

Słońce było już wysoko. Pierwsza ocknęła się Wiedma. Skołtunione włosy świadczyły, że na dobre rozgniewała domowika. Od lat jej tak nie dokuczał. Wiedział, że tego nie znosiła. Natomiast na gładkich, wyczesanych włosach Lubomiry nie było śladu po magicznych splotach. Domowy demon ewidentnie sprzyjał gościowi.

Wyrzała przed chatę. Przy dogasającym ognisku spał Siemowit.

– Wiedmo.

Odrzuciła się. Lubomira była bardzo blada, miała spierzchnięte, w niektórych miejscach popękane do krwi usta.

– Wiedmo, udało się?

– Nie – odparła sucho. – Tu i zaklęcia nie pomogą.

– Wszystko na próżno? – Głos Lubomiry przeszedł w szloch.

Owinęła rękami podkulone nogi i ukryła twarz. Wyglądała jak kupka bólu i nieszczęścia.

– Odejdźcie, bom zmęczona – Wiedma zwróciła się do zrozpaczonej niewiasty. Nie chciała na nią patrzeć. Pragnęła wyrzucić z pamięci ostatni wieczór.

Lubomira z trudem się podniosła. Była bardzo osłabiona. Wyszła z chaty obudzić śpiącego Siemowita.

Niespodziewanie poranną ciszę przerwał ruch. Ptaki zaczęły się niespokojnie nawoływać. Wiedma zrozumiała, że ktoś przybywa na wyspę. Ruszyła w stronę cypla, Lubomira z Siemowitem z wolna podążyli za nią.

Widok wiosłującego przewoźnika w baranej czapie zadziwił właścicielkę Ostrowia. Gościwit, utopiec z jeziora Lędo, raczej unikał ludzi, a tym bardziej ich nie przewoził. Komu zatem zaoferował swoje usługi? Niewiasta siedziała tyłem. Wiedma dostrzegła długie siwiejące włosy ozdobione ptasimi piórami.

– Lota! – Rozpoznała gościa.

Czarownica odwróciła się, przesłoniła dłonią oczy, jakby promienie słoneczne utrudniały jej widok.

– Ta łódź sama płynie? – zdziwiła się Lubomira.

Wiedma nie odpowiedziała. Zwykli ludzie. Nie widzą utopców, wodników, domowików. Krótko mówiąc, całego świata, który przecież mocno ingeruje w ich życie. Nie chciała jej i Siemowita straszyc. Niech wierzą, że łódź płynie bez niczyjej pomocy.

Gościwit wyskoczył z czołna, podciągnął je w stronę brzegu i pomógł Locie wysiąść. Nie odstępował jej na krok, jakby mu zadała jakiś czar.

Nad wyspę nadleciała chmara kruków znad przemyskiego grodu. Kruczy rozgwar rozbrzmiewał po całym Ostrowiu.

– Wdzięcznam ci, Loto, za przybycie.

– Nocą dotarłam do jaskini, gdzie świętowałyśmy twe przejście. Stamtąd pieszo. Uroczego masz przewoźnika.

Wiedma spojrzała na Gościwita miętoszącego w rękach baranią czapę. Nabrzmiała, galaretowata twarz, wyłupiaste, wodniste oczy. Różnie mogłaby go określić, ale słowo *uroczy* było chyba ostatnim z możliwych.

Siemowit i Lubomira zdezorientowani i nieco speszeni wsiedli do łodzi, pozdrowili wiedźmy i odbili od brzegu.

– Pewnieś zmęczona po podróży. To zaszczyt będzie cię gościć w mych progach.

Ruszyły w stronę chaty. Gościwit, choć nieproszony, podązał za nimi. Wkrótce ujrzały nad domostwem Wiedmy stado kruków. Były bardzo głośne, jakby podekscytowane.

– Cóżeś uczyniła, że kruki się zleciały chmarą nad twe domostwo? Życie komuś odebrałaś?

– Nie odebrałam życia, ino nie dałam mu się począc – odburknęła. – Nie dla swoich spraw prosiłam cię o przybycie, Loto. Udaj się ze mną pod chram Swaroga i pomóż żercy odczytać mowę kruków. Wiedzimir cię za to hojnie wynagrodzi.

[Z](#) Dziewierz – brat męża.

Mowa ptaków



Kruki czekają na obfite jadlo. Będą go miały pod dostatkiem. Oby żywiły się mięsem waszych wrogów, a nie wami.

Lota stała u podnóża Kopca Swaroga i bacznie obserwowała zachowanie ptaków. Towarzyszyli jej Wiedma oraz Wiedzimir. Żerca zatroskany przestępował z nogi na nogę, tarmosząc przy tym swoją długą brodę.

– Zatem będzie wojna? – upewniał się.

– Tako.

– A mówią, skąd nadejdzie wróg?

– Nadleciały z zachodu. Zatrzymały się tu, znać, że w tych okolicach spodziewają się obfitej obiaty.

Wzmocnijcie zatem strażę od wschodu.

– Jeszcze dziś stawię się przed kneziem.

Niewiasta została z waszymi i zaczęła się wspinać na kopiec. Ptaki krążyły nad nią, obserwując nowego gościa. Gdy była już pod świątynią, pokłoniła się Świetlistemu Panu. Jego syn właśnie roztaczał swój blask w zenicie. Lota wyjęła z mieszka jakiś przedmiot i przyłożyła go do ust. Spod jej na wpół otwartych dłoni wydobył się dźwięk podobny do terkotania kruka. Ptaki rozwrzeszczały się na dobre. Rozłożyła ramiona, a one siadały na jej rękach, u stóp, to znów się podrywały do lotu.

Wiedzimir i Wiedma mieli wrażenie, jakby rozmawiała z krukami. Ruszyli za nią w stronę świątyni. Ptaki krakały, garnęły się do Loty, nie zwracając uwagi na pozostałą dwójkę.

– Skarżą się, że jakaś wiedźma skrzywdziła ich braci i siostry – Lota przekazała nowe wieści.

– Nie patrz tak na mnie – burknęła Wiedma, widząc, jak żerca podejrzliwie na nią łypie. – Nigdy ptakom krzywdy nijakiej nie uczyniła.

– A ludziom?

– Nie kpjij, bom nie w nastroju – obruszyła się.

Rzeczywiście wydarzenia ostatniej nocy wytrąciły ją z równowagi. Dała się ponieść emocjom. Złym emocjom. Teraz chciała odsunąć od siebie ciężar winy. Na próżno. Coś ją w piersiach uwierało, podchodziło wysoko, aż do gardła. W dodatku wybrała na swe czary nów. To czas, kiedy należy oczyścić myśli i serce, a ona właśnie wtedy dała złu przystęp. Nie wróżyło to dobrze. Wiedziała, że wraz z przybywaniem Księżyca poczęta złość będzie narastać. Czula ją i z trudem nad nią panowała.

– Upirzycę i krwawą wiedźmę wyhodowałeś pod swym nosem. Krukowi odbierała kamienie,

a ludziom żywot. Kiep z ciebie, nie żerca – wycodziła jadowicie.

– Rzekła wiedząca, co samozwańczej czarownicy dała się wpuścić w maliny – odparował Wiedzimir. Wiedma spojrziała na kapłana z ukosa.

– I nie rzucaj przyroku, bom odporny na nie, chociażem tylko kiep.

Lota skarciła wzrokiem obydwójce. Jej głos przeszedł w złowieszczy szept.

– Jeśliś kiepski żerca, a ty wiedźma bez mocy, to odejdźcie stąd, a sprowadźcie mieszkańcom tego grodu dobrego żercę i mocną wiedźmę, bo bez nich ludzie tu żyjący nijak nie poradzą. Ciężkie czasy nadchodzą. Kruki widziały cichą.

Wiedzimir wydał z siebie nieokreślony dźwięk, coś na kształt skowytu przechodzącego w tantryczną modlitwę.

– Swarogu, Jasny Panie, i ty na to pozwalasz? – zwrócił się w stronę świątyni.

Wiedma zbłądła. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że podczas wędrówki do grodu niedaleko Sanu przechodziły z Lotą przez martwą ciszę. To była tylko chwila. Że też sobie wcześniej tego nie uświadomiła. Jej własne emocje ją zbytnio pochłaniały. Zamknęła się na znaki, które dawała Natura. Kruki okazały się baczniejszymi obserwatorami.

Cicha. Cóż może być gorszego od niej? Przybywa cichcem, niezauważona, bo jakże dostrzec morowe powietrze? Morzy starych i młodych, wątłych i krzepkich, mądrych i głupich. Nie wiadomo, skąd przybywa i dokąd zdąży. Ludzie powiadają, że kroczy w ślad za upirem. Częściej jednak towarzyszy wojnie. Co łączy zarazę z wojaczką? Harce jednej i drugiej kończą się stosami pogrzebowymi.

– Wszyscy chodźmy przed oblicze knezia, bo niebawem nie będzie komu wznosić modłów do Swaroga – jęknął Wiedzimir.

Wiedźmy czekały na drewnianym podeście zamczyska – głównej siedziby przemyskiego władcy. Żerca udał się na rozmowę do najwyższej wieży.

Lota skłoniła Wiedmę, by usiadła, po czym stanęła za nią, położyła dłonie na jej głowie i zaczęła nucić monotonną pieśń. Rozdrażniona niewiasta powoli poddawała się magii śpiewu. Miała wrażenie, że zanurza się w spokojnej wodzie jeziora, że otacza ją kula wodna i nie przepuszcza do jej uszu żadnych innych dźwięków poza śpiewnymi zakłęciami ptasiej wiedźmy. Złość, strach, ciężar odpowiedzialności rozplywały się. Ogarniał ją spokój.

– Lepiej ci? – zagadnęła Lota.

– Masz moc. Sama nie poradziłabym.

– Snadziej jest zaradzić czymś troskom niżli sobie. – Uśmiechnęła się ptasia wiedźma.

Zaterkotało. Odwróciły się zaskoczone. Nieopodal na zaostrojonej belce palisady próbował się utrzymać kruk.

– Wielkie przywiązanie okazuje ci ten ptak z przypalonym ogonem – zauważyła Lota.

– Pomógł mi najść leże upirzycy. Odzyskałam dzięki niemu moją gemmę, kaptorgę i kozik. A ongiś obdarzył mnie orzechem. – Wiedma uśmiechnęła się na wspomnienie podarku.

Ptasia wiedźma przyglądała się krukowi, a on, przekrzywiając łebek, bacznie obserwował obydwie kobiety.

– Nie utraciłaś kiegdy jakiego ukochanego?

– Utraciłam. Zginął ubity przez... to znaczy zginął w pożodze.

– Nie pogodziłaś się ze stratą?

– Trudno pogodzić się ze śmiercią człeka w wiośnie życia, kiegdy się go mocno miłowało.

– Wiesz, że dusze zmarłych z Wyraju powracają pod postacią ptaków?

– To Jarow... – dalsze słowa zniekształciły się i ostatecznie zostały zduszone pod dłonią Loty.
– Cii... Nie używaj dawnego imienia, bo go przepłószysz. Ninie to kruk, a nie człek. Nadaj mu nowe imię, wszak zaczął nowe życie. Nigdy nie wołaj go dawnym, bo go stracisz.

Wiedma wzruszona podeszła do kruka. Nie odleciał. Patrzył na nią uważnie. Żrenice, ledwie widoczne na ciemnobrązowym tle tęczęwki, śledziły każdy jej ruch.

– Krako. Będę cię wołać Krako.

– Kneź wzywa! – jeden ze strażników zawołał z placu pod drewnianą wieżą.

Wiedźmy zaczęły schodzić z podestu przy częstokole. Kruk poderwał się do lotu i zakrakał. Wiedma mogłaby przysiąc, że tym razem to nie był ten co zawsze charakterystyczny terkot, wyraźnie słyszała, jak ptasi odgłos układał się w słowo *krako*.

Kneź zasiadał w sali na dole wieży. Zaciskał mocno dłonie na rękojeści miecza, który służył mu za podpórkę. Żerca siedział nieopodal i zafrasowany splatał i rozplatał dłonie spoczywające na wydatnym brzuchu.

– Niech potężny Swaróg ma ciebie i mieszkańców twego grodu w opiece – przywitała się Lota, która jako gość weszła przed Wiedmą.

– Tako niech się stanie. – Kneź skłonił lekko głowę i gestem dłoni zaprosił niewiasty, by usiadły. – Wiedźmir przekazał mi wasze wróżby. Wielce mnie martwią. Przepowiadacie wojnę i zarazę.

– Kruki przepowiadają – doprecyzowała siwowłosa wiedźma. – A to święte ptaki. Wszak bytują na granicy naszego świata, Nawii i Wyraju.

– I mamy im dać wiarę? – upewniał się Lestek.

– One widzą więcej niżeli my – zaczęła wyjaśniać Lota. – Są mądrzejsze od ludzi, bo zwykły człek nie nauczy się ich mowy, ale one naszej tak.

– Ponoć za wścibstwo Swaróg osmałił ich pióra – zauważył kneź.

– Kruki mają moc docierania do wiedzy niedostępnej zwykłym śmiertelnikom. Gdybyście mogli zajrzeć do krainy duchów, obaczyć, co było i co nastanie, też byście sobie nie odmówili zaspokojenia ciekawości – odparła Lota.

– Rzekliście, iż wróg od wschodu uderzy. – Książ przeszedł do sedna sprawy. – Wszak Igor z Kijowa niedawno poległ z ręki zbuntowanych Drewlan, a jego żona... – Wzniósł oczy. – Swarogu, strzeż przed mściwymi niewiastami – mruknął z przekąsem. – W pył rozniosła całe plemię.

– Niewiasty, gdy miłują, są groźniejsze niżeli rozwścieczony tur – przytaknął Wiedźmir.

Wiedma poruszyła się niespokojnie. Miała wrażenie, iż żerca wie, co uczyniła Lubimirze i Siemowitowi, i wciąż jej to pośrednio wytyka.

– Olga, choć herszt niewiasta, kolejnej wyprawy wojennej póki co nie szykuje. Zatem kto? – głośno zastanawiał się Lestek. – Pieczyngowie?

To przypuszczenie wszystkim wydało się dość prawdopodobne. Owo koczownicze plemię, przybyłe znad czarnomorskich stepów, sąsiadowało z nimi od południowego wschodu. Pieczyngowie nie uprawiali ziemi ani nie zajmowali się rzemiosłem. Niezbędne do życia produkty zdobywali poprzez wymianę handlową albo je łupili. Słyszeli z kunsztu walki i tę przewagę często wykorzystywali, zapewniając sobie odpowiednią aprowizację. A zatem tereny nadszańskie oraz okolice doliny Wiaru były dla nich nie lada kąskiem. Mieszkańcom położonych tam osad dobrze się powodziło, bo czyż jest większy skarb niż warzona sól?

– Pielgrzymi spod Strwiąża powiadali, iż Pieczyngowie coraz śmiej się poczynają i niebezpiecznie się u nich robi – przypomniał sobie żerca.

– Nie znam ich ruchów – zadumał się kneź. – Las Pieczyński ich osłania. Nikt, kogo tam posłałem,

nie powrócił.

– Ponoć pełno tam zdradliwych bagnisk – westchnął Wiedzimir.

– Nie moja to rzecz o waszych planach obronnych rozprawiać – wtrąciła się Lota. – Moja moc to czytać znaki, które nam ptaki przekazują. A że cicha jest tuż-tuż, pilno mi powrócić do siebie.

– Słusznie prawisz, ptasia wiedźmo. Wiedzące – kneź lekko skłonił głowę w stronę Wiedmy i Loty – udajcie się ze mną, bym w imieniu żerycy mógł was wynagrodzić. I proszę ciebie, Wiedzimirze, oraz wiedźmę z pobliskiego Ostrowia o przybycie nazajutrz do tej komnaty na wiec.

Lota, usatysfakcjonowana zapłatą przemyskiego knezia, w dobrym humorze kierowała się w stronę brodu na Sanie. Wiedma, równie sownie obdarzona szlachetnymi kamieniami, szła obok, ale nie była tak zadowolona jak jej towarzyszka. Uwaga Wiedzimira o miłujących niewiastach znów ją rozstroiła. Spokój, który przed chwilą zyskała dzięki zabiegom ptasiej wiedźmy, rozwiął się niczym dym od powiewu wiatru. Wydawało jej się, że wszyscy wokół już wiedzą, co uczyniła. Próbowwała się tłumaczyć przed wymagowanymi oskarżycielami, choć tak naprawdę przed samą sobą, jednak wspomnienie cierpiącej Lubomiry wygrywało z każdym argumentem. Najgorsza była świadomość, że małżonka Siemowita jej zaufała. Ucisk w gardle się nasilił. Zatrzymała się i przelknęła głośno ślinę.

– Przepomniałaś co? – zdziwiła się Lota.

– Przepomniałam być dobrą wiedźmą.

Siwowłosa w lot zrozumiała, jakie myśli trapią siostrę. Przytuliła ją ze współczującym westchnieniem, a następnie chwyciła pod rękę. Szły w stronę Sanu, a Lota łagodnie perswadowała.

– Trudny czas nadchodzi. Zadość uczynisz, niosąc innym pomoc.

Słowa pociechy nie przekonywały Wiedmy. Przerazała ją przyszłość. Myślała o ludziach, którzy będą pokładać w niej ufność. I co? Zawiedzie ich, jak tę niewiastę oraz swego kochanka? Obawiała się, że nie pokona przeszkód, które zaczęły się piętrzyć niczym skały w górskim potoku.

Tymczasem nawet droga nad San nie mogła się odbyć w spokoju. Co chwila strażnicy je zatrzymywali, pytali, skąd są, dokąd zmierzają. Ledwie kończyły rozmowę z jednymi, zaraz trafiały na kolejny patrol. Kniaź widocznie wzmocnił wszystkie miejsca strategiczne, a do takich niewątpliwie należał bród, który można było łatwo pokonać. Wiedma, siedząc już w łodzi, wspominała nieszczęsnego przewoźnika, któremu się wydawało, że kiedy kra z gór spłynie Sanem, to już żadne niebezpieczeństwa nie zagrażą jemu ani grodowi. Tymczasem wszystko się komplikowało. Najpierw upirzyca, teraz cicha i jeszcze wojna. Przerazała ją perspektywa walki z Pieczyngami. To dzikie, wojownicze plemię, równie nieokiełznane i obce jak Madjarowie. Ci ostatni jakoś porozumieli się z Lestkiem i rozłożyli swój obóz naprzeciw przemyskiego grodu, po drugiej stronie Sanu. Sprowadzili zdążające za nimi żony, dzieci. Domyślała się, że okupili swój spokój słuszną daniną. Może stanowili coś w rodzaju madjarskiej strażnicy? Może czymś przewinili w swoim kraju i nie mieli po co wracać? A może po prostu brakło im już tej siły i motywacji, co niegdyś, odkąd żmij rozprawił się z ich turulem?

Żmij. Pomyślała, że przydałby się teraz jako sprzymierzeniec. Ponoć całe żmijowe siedlisko znajdowało się nieopodal prawego dopływu Wisłoki, na pograniczu ziem Łędzian i Wiślan. Wiedma nigdy tam nie była. Natomiast żmija znad Łukawy już znała. Co więcej, żył u jego boku ukochany bratanek. No i brat. Tego ostatniego wprawdzie nie miała ochoty spotykać, ale że podjął się opieki nad synem i jak do tej pory całkiem odpowiedzialnie się z tego obowiązku wywiązywał, to odwiedzając bratanek, siłą rzeczy była skazana na przebywanie z bratem. Ich relacje nie poprawiły się od czasu, gdy Bartus zamordował jej ukochanego. Wybaczyła bratu opętanemu przez biesa, ale nigdy mu tego nie

zapomniała. Nie potrafiła go już kochać. Więż, która łączyła bliźnie rodzeństwo, współodczuwanie, rozmawianie bez słów – wszystko to bezpowrotnie przeminęło.

– Jaskółki zapowiadają deszcz. – Lota przerwała jej rozmyślenia. – Chyżo utrę maść czarownic, by ulecieć, jak tylko zapadnie zmierzch. Chciałabym zdążyć przed ulewą.

Wiedma przyjrzała się ptakom. Rzeczywiście wszystkie polowały na owady nisko przy ziemi.

– Loto, kiedyś złe minie, odwiedź mnie jeszcze.

– Przybędę, aczli mnie wezwiesz. Gołębie, które z sobą zabrałam, na pewno chętnie powrócą do swych gniazd w moich stronach, a ich lot będzie chyży. Ty mi daj swoje, bo i ja mogę potrzebować twej jasnowidzącej pomocy. Ptaki nie zawsze i nie wszystko widzą. Zwłaszcza nocą.

– Nocne ptaki budzą mój lęk – przyznała się Wiedma. – Nigdy nie mam pewności, czy nie kryje się pod ich postacią leszy albo strzyga.

– Bogowie i demony mogą przybierać różne postacie. To nie muszą być ptaki.

Wędrowały w stronę Łęda. Wiedma postanowiła choć na chwilę porzucić ponure myśli i wykorzystać czas spędzony z Lotą, by jak najwięcej się od niej nauczyć. Wciąż czuła niezaspokojone pragnienie zdobywania wiedzy. Nazywanie jej wiedzącą zawsze wzbudzało w niej poczucie zakłopotania.

– Widziałś, Loto, na zamczysku opuszczone jaskółcze gniazda?

– Tako. Nie wróży to dobrze. Ptaki się wynoszą.

– Boję się, że nie poradzę, gdy nadejdzie cicha. Żerca też widzę bez mocy. Znaków nie umie czytać.

– On nie musi mieć mocy. Jego dola to udobruchać Swaroga i dbać, by ludzie go należycie czcili. Pielgrzymi dniami i nocami zdążają do chramu, niosą ofiary. To człek bystry jak nurt w waszej rzece. Aczli moje wróżby i twoje wizje się nie spełnią, wina spadnie na nas, nie na niego. Nie doceniasz go.

Wiedma przyznała jej w duchu rację. Ona też wolałaby zrzucić odpowiedzialność na Wiedzimira niż borykać się z poczuciem własnej nieudolności.

– Jakże się przygotować na walkę z morowym powietrzem? – Pamiętając rady wodnika, nie ustawała w zadawaniu pytań.

– Cicha lubi miejsca ludne. Nie czekaj, aż chorzy przywloką zarazę do grodu. Wyjdź jej naprzeciw. Masz moc. Możesz z nią walczyć.

– Ziołami? Ponoć driakiew przegania zarazę.

Lota zaczęła się śmiać. Ptasie pióra od śmiechu ożywały, poruszając się nieznacznie.

– Ziołami, zakłęciami, ogniem. Też.

– Też?

– Jesteś jasnowidząca.

– Co to za dar, kiedy nie masz wpływu na to, co ujrzysz?

– Po co iść, gdy śmierć czeka na końcu drogi? Nikt nie sprawi, by rzeka odwróciła swój bieg i pomknęła w górę, ale można zbudować tamę, zrobić rozlewisko, nawodnić okoliczne pola, wykopać rów.

– Chceszli rzec, iż można samemu życie układać?

– Sobie i innym. I godzić się z tym, na co nie ma się wpływu.

Znów myśli Wiedmy zaczęły krążyć wokół Lubomiry i Siemowita. Otrząsnęła się. Postanowiła wrócić do tematu walki z zarazą.

– Winnam przeganiać morowe powietrze zieleń. Które się nada?

– Nie wiem. – Lota rozłożyła bezradnie ręce. – Nie mocowałam się z cichą, ale najdziesz sposób. Dola cię poprowadzi.

Dotarli do brzegów Łęda. Czekał już na nie Gościwit, niecierpliwie miętolać baranią czapę.

Wpatrywał się w ptasią wiedźmę jak urzeczony.

– Przewiozę was – zaoferował się.

Podał Locie rękę i pomógł wsiąść do łodzi. Wiedma na próżno czekała na podobną troskę ze strony utopca. Zapomniał o niej i nie odrywając swych galaretowatych oczu od wiedźmy z piórami we włosach, zaczął wciągać łódź na wodę.

– Gościwicie! – wrzasnęła właścicielka Ostrowia.

Łódka jakby trafiła nagle na jakąś niewidzialną przeszkodę. Woda chlusnęła, wlewając się na dno czółna.

Obydwoje spojrzeli na Wiedmę zdziwieni. Zawstydzili się, że tak łatwo straciła panowanie nad sobą.

– O mnie przepomniałeś – dokończyła już całkiem spokojnie.

– Wybacz. – Utopiec ze skruszoną miną się skłonił, przyciskając czapkę do piersi.

Podał właścicielce wyspy ramię i podprowadził do łodzi. Wypchnął czółno na wodę, wskoczył do środka i chwycił za wiosła. Wkrótce zbliżyli się do przeciwległego brzegu.

– Nie obawiasz się utopców, Loto? – spytała niezbyt grzecznie, zważywszy, że to właśnie utopiec je przewoził.

Fala, która pojawiła się znikąd, rozkołysała łódkę. Wiedma spojrzała na Gościwita. Naburmuszony łypał swymi wybałuszonymi oczami.

– Nie – zaśmiała się ptasia wiedźma. – Żyję z utopcem.

Łódka kolebała się już na dobre. Musiały trzymać się burty, żeby nie wypaść. Wiedma знаła dobrze Gościwita i wiedziała, że tak się objawia jego gniew. Nawet nieświadomy. Pod tym względem byli do siebie podobni. Trudno im było zapanować nad złością.

– Żyliśmy razem, gdy był jeszcze człekiem – Lota zaczęła opowiadać. – Kiedy rodzanice przerwały jego nić, nie umiałam się go wyrzec.

Chlupnęło. Gościwit wskoczył do wody.

– To jest prawdziwe miłowanie – westchnęła Wiedma. – A przede mną Dola zawsze stawia takich, co to wolą życie w borze, na wojnie albo u boku pierwszej żony.

– I z tej przyczyny uczyniłaś tamtą niewiastę jałową? Chceszli, by mąż ją odesłał jako poćbiegę, a z ciebie uczynił popaśnicę?⁸

Wiedma pomyślała, że gdyby przynajmniej miała taki plan, to może by jej czyn jakoś tłumaczyło. Ale nawet tym nie mogła uzasadnić swego postępcu.

– Nie, nie chcę – przyznała się. – Iście nie wiem, czemu to uczyniła.

Czółno dotknęło brzegu Ostrowia. Gościwit przepadł bez wieści. Wysiadły więc bez niczyjej pomocy.

Szły przez chwilę w milczeniu. Majowe Słońce ukryło się za sinymi obłokami i zabarwiło je purpurowo. Wiedma spojrzała na tę grę barw.

– Dadźbóg się bawi z chmurami. Jak nic zada pracę chmurnikom.

– Mówiłam, że będzie ulewa – potwierdziła Lota. – Nie trza znać mowy ptaków, by to przewidzieć.

Przed chatą czekał na nie bursztynowy kot Wiedmy. Miauczał, z dumą kręcąc się wokół ofiary, którą przyniósł swej pani. Była to jaskółka. Czarnymi piórami bawił się wiatr.

– Jantar to urodzony łowca – westchnęła pani Ostrowia. – Jeszcze taki dumny, gdy co upoluje.

– Piękny – pogłaskała go z uznaniem Lota. – Mnie nie wolno mieć takiego podopiecznego – westchnęła. – Zbyt łowny.

– Ty pewnikiem otaczasz się ptasią czeladką.

– Sporo ich, ale druha, co mnie nie odstępuje, mam tylko jednego.

Podniosła truchło jaskółki. Kot zadowolony otarł się o nogi nieznamym wiedźmy.

– Weź – zwróciła się do Wiedmy. – Jej mięso oraz serce ususz i ostaw dla tych, co miłość zechcą w innych wzbudzić.

– Doradzę Gościwitowi, by ci podał. Cierpi z zazdrości o ciebie. – Uśmiechnęła się.

– Nie lekceważ zranionych uczuć innych. Człek, utopiec, wiedźma – nikt nie chce, by go ranić – upomniała ją siwowłosa czarownica.

Wiedma odebrała to jako przytyk. I chyba słusznie, bo kolejna rada Loty, jakby w odpowiedzi na niefortunną sugestię, nawiązywała do relacji z Siemowitem.

– Możesz nakarmić owego męża, co tu był z żoną.

Zamyśliła się. Teraz, gdy poznała żonę Siemowita, trudno byłoby jej znów się z nim spotykać. Wszystko się zmieniło. Zazdrość wprawdzie pchnęła ją do nikczemnych czynów, ale jednocześnie w pewnym sensie wyzwoliła.

– By nas dwie miłował? Czy miłował mnie, a żył z tamtą? – zapytała z goryczą. – Żadne rozwiązanie nie jest dobre, Loto.

– Z tej przyczyny i mnie Gościwit nie powinien zadawać miłosnej magii – uświadomiła jej ptasia wiedźma.

Wiedma pomyślała, że w oczach gościa wyszła na czarownicę nieliczącą się z uczuciami innych i że lepiej czasem zmilczeć niż rzucać nieudanyimi żartami.

– Wybacz, Loto. Jestem zbyt zapatrzona w siebie.

Ta uśmiechnęła się łagodnie, pogładziła bursztynowłosą po ramieniu, jakby w geście pocieszenia.

– Ptaki na twej wyspie świergoczą szczęśliwe. Nie jesteś złą wiedźmą. Każdy ma chwile słabości – tłumaczyła.

– A Kościej? Ukarze mnie? – zatroskała się Wiedma.

– Przecie ty sama sobie zadajesz karę. Męczy cię to, coś uczyniła. Są wiedźmy, które same wiedzą, jakiej granicy nie można przekroczyć. Są takie, którym trzeba Kościeja. Tobie on niepotrzebny.

Zapadła chwila milczenia. Wiatr zaczął sprowadzać zewsząd chmurników. Słońce zniknęło za stalowymi obłokami, których nagromadziło się tak dużo, że już żaden promień nie mógł się przebić. Skończyło się malowanie zachodniego nieba, wszystko wokół zszarzało.

– Chodźmy utrzeć maść, bym zdążyła przed deszczem – znów odezwała się Lota. – A jaskółcze serce i mięso ostaw do innych czarów. Gdy kogo żmija ukąsi, podasz mu, a oczyści jego ciało z jadu. No i tych opuszczonych gniazd pod zamczyskiem można użyć. Dobrze na oczy robią, gdy okłady położysz.

– Tak uczynię, Loto. Wdzięcznam ci za rady.

Były już pod chatą. Weszły przez wysoki próg. Żar w palenisku sugerował, że Damroka tu była i na nowo roznieciła ogień. Domowika nigdzie nie było widać. Pewnie gdzieś się zaszył obrażony. Wiedma miała nadzieję, że się nie wyprowadził.

Wzięły się do pracy. Wkrótce smolista maź z borsuczego sadła i trujących ziół była już gotowa. Klatkę z Wiedmowymi gołębiami i worek z rzeczami Loty zawiesiła na szyi. Przyspieszony oddech i równie szybkie bicie serca sugerowały, że maść zaczyna na nią działać. Rozszerzone źrenice wychwytywały każdy szczegół w nastającym mroku.

– Roztocz opiekę nad swym krukiem, Wiedmo.

– Tako uczynię, Loto. Azali twój druh, który na ciebie czeka, to też kruk?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Mym towarzyszem jest lelek kozodój.

Lota chwyciła dłońmi rogi peleryny, poruszyła ramionami i była już ponad Wiedmą, chatą i drzewami.

Ostrów i Przemysł czekały w mroku na swój los.

8 Poćbiega – żona odesłana przez męża; popaśnica – kolejna żona, konkubina.

Poselstwo



Szlachetni witezie, co radzicie czynić? – Kneź przerwał długi wywód Wiedzimira.

Wiedma do witezi się nie zaliczała. Wprawdzie zaproszono ją i zasiadała z innymi w komnacie zamczyska, ale władca, chyba nieprzyzwyczajony do udziału niewiast w naradach, pominął ją, zadając pytanie. Podniosła się, by ostentacyjnie wyjść.

– A jasnowidzącej nie zamierzacie się radzić? – Żerca był czujny.

– Wybaczcie, nie chciałem uchybić. – Lestek położył dłoń na piersiach i lekko się skłonił. – Też pragniemy poznać zdanie wiedzącej.

Usiadła. Musiała przyznać, że Wiedzimir doskonale wyczuwał jej nastrój. Uwaga wszystkich skupiła się na niej.

– Niechaj witezie pierwsi się wypowiedzą. – Pochyliła się nieznacznie w stronę wiecujących.

Dostrzeżona mogła sobie pozwolić na łaskawe ustępstwo. Uznała, że gdyby teraz zabrała głos, wyglądałoby, jakby chwyciła rzucony jej ochłap.

Pierwszy powstał szpakowaty mężczyzna. Niewysoki, krępy, ale żyłasty.

– Nie mamy swoich ludzi pośród Pieczyngów. Nie znamy ich planów. Mogą nas zaskoczyć. Trza się przygotować. Posłać pierwsze wici do okolicznych osad. Niech będą w gotowości i czujnie baczą na kopce, czy ogień na nich nie płonie. Niech się zbroją i znoszą zapasy pożywienia oraz wody do grodzisk na wzgórzach.

– Poślę wici do Borusza, Kopysna, Aksmanic, Oska, Paclawia i Śliwnicy – oświadczył kneź. – Aksmanice, Paclaw i Borusz to potężne grodziska, otoczone mocnymi wałami.

– A nasz gród? – zapytał mężczyzna trzymający baranią narzutkę.

– Wzmocniłem strażę na brodzie, wysłałem też na Kruhel. Od wschodu mamy bagna. Nikt się tamtędy nie przedrze – odparł Lestek.

– Pomnij, kneziu, iż bagna Pieczyngom nieobce. To lud koczowniczy. Wiar i Wilcze Doły przeskoczą jako i dzikie stopy. Ich konie mają masywne pęciny i szerokie kopyta – zauważył przedmówca.

– Słusznie prawicie, ale mnie ludzi już nie starcza.

Podniósł się kolejny witeź, najstarszy pośród zebranych. Wspierał się na kosturze.

– Ciężko, bo to czas prac na polach. Aczli nie przypilnujemy siewu i sadzenia, to głód nas będzie kąsał – zamilkł na chwilę, podkreślając w ten sposób wagę wypowiedzi. – Znów, kiedy Pieczyngowie

nas napadną, to nie będzie komu plonów zbierać. – Widać było, że rozważa argumenty za i przeciw. – Zatem, kneziu, skrzyknijmy młodych, by wzmocnili szeregi twej drużyny.

Lestek skłonił się lekko w podziękowaniu. Zadowolenie przemknęło po jego zatroskanej twarzy. Tego właśnie oczekiwał. Wsparcia.

– Potrzeba nam sojuszników – odezwał się właściciel baraniego futra. – Madjarowie na stanicie cicho siedzą, aczli nas wróg przyciśnie, mogą też uderzyć.

– Z Madjarami zawarłem układ. Wspomogą mnie w razie wojny. Pomnij, iż to odwieczni wrogowie Pieczyngów.

– Wiesz, kneziu, że okazja czyni złodzieja. Wzmocnij układ przez swacbę – taka moja rada.

Pozostali witezie przytaknęli.

– Swacbę? – skrzywił się Lestek.

– Córa Zoltana wyrosła na nadobną dziewczynę. A i naszą mowę już trochę zna.

Kneź podniósł się i splótł ręce. Przygryzał w zamyśleniu dolną wargę.

– Pierwszą żeną uczynić madjarską niewiastę? – zapytał bez przekonania.

– To nie jest pierwsza lepsza podwika – wtrąciła się Wiedma. – Jest potomkinią samego turula. Jej synowie będą mieli siłę tura, lotność ptaka i rozum... po ojcu.

Lestek spojrział na nią zdeterminowany. Już właściwie zdecydował, ale chciał jeszcze potwierdzeń i zapewnień.

– A krasna choć?

– Niczym klacz przed ujeżdżaniem – zachwilił jeden z witezi.

Kneź nadął policzki. Niezbyt mu się to porównanie spodobało.

– Nazajutrz pošlemy dziewczosłębów² na drugą stronę Sanu. Wojbor i Duszan pojedą – zdecydował.

– Kneziu, mamy jeszcze jedną troskę – wtrącił szpakowaty woj. – Cicha idzie.

Zapadła złowróżbna cisza. Lestek potarł podbródek. Znał przepowiednię, ale jeszcze nikomu o niej nie mówił.

– Skąd te wieści? – spytał podejrzliwie.

– Nieopodal, gdzie trakt na południe prowadzi, stoją trzy chaty. Jakaśmy tam zasłzi, ino szczury żywe chodziły. Taki smród bił, żeśmy spalili wszystko, chaty też.

– Macie pewność, że to morowe powietrze?

– Truchła już podgnite były i przez szczury podjedzone, ale musiała ich choroba położyć, bo nijakich śladów walki nie było.

– Kruki mówiły o jej nadejściu – przypomniał Wiedzimir, jakby się obawiał, że utraci pierwszeństwo w przyniesieniu wieści.

– Tako, alem żywił nadzieję, iż nie przybędzie tak rychło – zasępił się kneź. – Żerco, cichej mieczem czy toporem nie ubiję. To już twoja rzecz, by modlitwami oddalić złe powietrze.

Wiedzimir odchrząknął.

– Modlitwy to jedno, ale trza nakazać strażnikom, by nie wpuszczali nikogo mizernie i chorowicie wyglądającego. Ani do przygródka, ani do podgrodzia. Wielu tu podróźnych się płacze. Może cicha przywrzeć do którego i na jego plecach wleźć.

– Wiedmo, czy mogłabyś zamieszkać lub choć bywać w znanej ci oberży? To dobre miejsce, by podróźnych i kupców mieć na oku.

– Bywać mogę. Aleć cóż to da? Kiegdę cicha do oberży dotrze, będzie za późno. Morowe powietrze trudno zatrzymać. Zniechęcać je można ogniem i dymem, aczkoli nie jest to mur, którego by nie pokonało.

Wiedźmir przytaknął. Zdziwiło zebranych zachowanie żerycy. Zazwyczaj chodził napuszony niczym ptak podczas godów. Ledwie dostrzegł innych, tylko niektórym się odkłaniał. A tu zgadza się z niewiastą we wszystkim. Oznaczało to jedno: grozi im duże niebezpieczeństwo.

Wiedma wciąż stała. Najwyraźniej jeszcze nie skończyła.

– Mogę wam się przydać w inny sposób.

– Słuchamy, wiedząca. – Najbardziej zaintrygowany był najstarszy mężczyzna, ale wszyscy zaciekawieni spojrzeli na wiedźmę.

– Udam się do żmija i spróbuję wyjednać u niego pomoc. Widziałam, jak pokonał Madjarów uderzających na Żmigród nad Łukawą.

– To daleko, Wiedmo. Możesz nie zdążyć, a i droga niebezpieczna – zatroskał się żylasty.

– Wiedźmy mają swoje sposoby – odparła lakonicznie.

Nie ośmielili się zapytać jakie.

Miała rację ptasia wiedźma, spiesząc się przed deszczem. Lot w wilgotnych chmurach lub strugach wody pod nimi nie należał do przyjemnych. Nocne ptaki i nietoperze pochowały się w kryjówkach, rezygnując z łowów. Ale Wiedma nie mogła czekać.

Zatrzymała się przed znajomą rybacką chatą. Rodzina rybaka zawsze witała ją wylewnie i szczerze. Co roku ich odwiedzała, tak jak i syna Bartusa.

Zapukała. Drzwi po chwili się otworzyły i na tle poświęty domowego paleniska zamajaczyła ciemna, wysoka postać.

– Kogo bogi niosą?

– To ja, Wiedma.

Drzwi natychmiast rozwarło. W chacie zrobił się ruch.

– Nasza dobrodziejka! Sława bogom!

W objęciach wiedźmy znalazła się najpierw Radomiłka, zaraz po niej młodsze rodzeństwo. Gospodarz domu, Mojmir, kłaniał się co chwila, kładąc dłoń na piersiach. Z posłania ciężko podniosła się niewiasta i kaczym chodem zbliżyła się do gościa. Wydatny brzuch ograniczał jej sprawne poruszanie się.

– Świątosławo, przy nadziei jesteście. – Wiedma dotknęła brzucha ciężarnej. – Córka będzie – dodała.

– Strach mnie ogarnia. Pamiętacie, żem ledwie życie utrzymała, gdy Staško przyszedł na świat.

– Nie frasujcie się. Zostanę do rozwiązania. Lada dzień nastąpi.

– Zawsze przybywacie, gdy was potrzebujemy.

Nie byli zdziwieni strojem Wiedmy, składającym się z samej peleryny, osłaniającej nagie ciało. Zawsze tak odziana przybywała nocą. Niestety okrycie było przemoczone. Dzieci przygotowały jej posłanie niedaleko paleniska, by mogła się osuszyć. Radomiłka wyjęła ze skrzyni suknię matki i pomogła Wiedmie ją włożyć. Ta, otulona dodatkowo owczym futrem, rozsiadła się wygodnie, a czwórka dzieci wokół niej.

– Przybywam po pomoc. Żmijowi pójde się o nią pokłonić. Kruki okrutną wojnę przepowiadają.

– Gdzie będzie ta wojna? – zapytała z niepokojem żona rybaka.

– Pod przemyskim grodem. I to nie jedyna troska – dodała wiedźma. – Cicha idzie.

– A kto to? – zapytał najmłodszy.

– Stanisławie, cicha to morowe powietrze. Niesie niemoc i śmierć – wyjaśnił rybak.

– A ja widzę, że Stanisław po postrzyżynach – zauważyła Wiedma.

– Tako. Sami sławni w domu: żona Świętosława, najmłodszy Stanisław. A do garnca nie ma co wrzucić.

– Ja nie będę sławny. – Naburmuszył się starszy syn.

– Bożodarze – tyś darem od bogów. To zaszczyt, zatem nie marudź – upomniała matka.

– A ja? – zapisała Nawojka.

– Ty na wielką wojowniczkę wyrośniesz. – Uśmiechnęła się Wiedma.

– Tako. Będziesz wojować z kurami, kaczkami i niesprawionymi rybami, które mąż przyniesie z połowu – dodał wesoło rybak.

Nawojka się obraziła i uciekła na stryzek. Świętosława wykorzystała to i posłała spać pozostałe dzieci. Tylko Radomiłka pozostała z dorosłymi, bo traktowano ją już jak pannę na wydaniu. Nawet wianek na kołku przed chatą obwieszczał wszem wobec, że młoda dziewczyna tu mieszkająca jest już niewiastą gotową do swačby.

– Powiadacie, iż o pomoc będziecie prosić żmija. A u niego święto się szykuje. Żmijątko postrzyżyny mieć będzie, choć nie wiem jak, bo włosów nie ma.

– To pewnikiem i mój bratanek imię otrzyma.

– Tako. Oni jak bracia nierozłączni.

– Wiedmo, gdy ci pomagała się przydziać, nową ranę widziałam. – Radomiłka dotknęła palcem wskazującym okolic obojczyka. – Niejeden doświadczony woj tyle nie uświadczył poturbowań co wy. Albo po pożarze, albo po niedźwiedziu – wymieniała. – Skąd ta?

– Ninie czas się położyć, bo świt blisko i trza trochę snu zaznać – ucięła Wiedma.

Nazajutrz Wiedma ruszyła pod Żmigród, u którego stóp mieściła się jaskinia obrońcy osady, potężnego Czarnego Żmija, i jego syna zrodzonego z niewiasty. Matka dziecka zmarła podczas porodu, niańczyła go więc staruszka, karmiąc mlekiem kozy. Rozumiała żmijową mowę dzięki złotemu zaklinaczowi, który wręczyła jej wiedźma Caryczka. Drugim opiekunem był Bartus, bliźni brat Wiedmy. Ten rozumiał mowę wszystkich istot żyjących na ziemi.

Nieopodal jaskini tarzało się na trawie dwóch chłopców. Wyglądali na około sześć lat. Chwilową przewagę zdobył malec o pszenicznych włosach, które zasłaniały zarówno jego twarz, jak i buzię przeciwnika. Leżący pod nim wyswobodził rękę i chwycił go za włosy, zdzierając z siebie. Teraz on się rzucił na przeciwnika, unieruchomił jego ręce i uderzył go głową w nos. Okolicę przeszył głośny gwizd. Chłopcy poderwali się na nogi, otrzepując z trawy i ziemi. Szedł ku nim mężczyzna o jasnych, złocistych włosach zaplecionych w warkocz. Pokonany malec pospiesznie wierzchem dłoni wycierał sączącą się z nosa krew.

– Ja się tylko broniłem, Bartusie – zaczął chłopiec, którego głowa wyglądała jak Księżyc w pełni, pozbawiona włosów, pokryta ciemnymi, rogowymi plamami.

Mężczyzna rzucił w ich stronę szybkie spojrzenie, połączone z ciężkim westchnieniem brzmiącym jak wyrzut, i skłonił się lekko przed zbliżającą się niewiastą. Chłopcy dopiero zauważyli, że zdąża ku nim Wiedma.

– Ciotko! – huknęli malcy i ruszyli pędem w jej stronę.

Przykucnęła i objęła ramionami obydwu. Chłopcy przywarli do niej spragnieni głąskania i pocałunków.

– Domagają się głąskania niczym koty.

– Koty wiedzą, co dobre, bracie. Każde stworzenie potrzebuje, by je czasem przytulić.

– W czas przybyłaś, Biwio. Szykujemy wielką uroczystość – Bartus zmienił temat.

– Wiem. Mam nawet dla was dary z okazji waszych postrzyżyn – zwróciła się do chłopców, wyciągając z woreczka zawieszono na piersiach szlachetne kamienie, które niedawno otrzymała od knezia Lestka.

– No tak. Wiedząca jesteś. Pewnie wizję miałaś.

– Nie. Ludzie w okolicy gadają.

– Co gadają?

– Że nie posłałbyś po mnie.

Bartus się zarumienił. Spojrzał gdzieś ponad jej głowę, jak człowiek, który nie mówi prawdy i stara się to ukryć.

– Posłałbym, ale nie miałem jak.

– Gołębie ci dałam na posyłki.

– Jesteś, to i nie ma o co się swarzyć. Chłopcy – zwrócił się do malców wciąż wtulających się w ciotkę – niania woła was na posiłek.

– A dary? Możemy je, ojczu, zabrać? – spytał jasnowłosey.

– Daj, przechowam twój. – Bartus wyciągnął dłoń.

Chłopiec posłusznie, choć niechętnie, położył na rozpostartej dłoni ojca prezent.

– Ja swój zaniosę do skarbcza – oświadczył łysy. – Pokażę ci, ciotko, skarby Czarnego Żmija, mego rodzica.

– Niegodnam je widzieć – odparła.

– Pójdź ze mną. Skoro jest ojcowski, to i mój. Mogę prowadzić tam, kogo zechcę.

– Wolę poczekać na zgodę twego ojca.

– Nie ma go. Przybędzie dopiero na obrzęd postrzyżyn.

Wiedma spojrzała pytająco na brata.

– Dziś zatem przybędzie – odparł Bartus. – Daj, twój dar też przechowam do powrotu Czarnego Żmija. A teraz pędźcie co rychlej do niani.

Z grodu schodziła się okoliczna ludność, zносиła dary dla żmija, jego syna i gości, którzy mieli przybyć na postrzyżyny. Ustawiano ławy, znoszono z okolicznego lasu chrust na ognisko. Mieszkańcy Żmigrodu dbali o przychylność potężnego opiekuna. Był ich najskuteczniejszym obrońcą przed wrogami, którzy mogli się połasić na ich dobra.

Wiedma chciała porozmawiać z bratem, jednak co chwila ktoś do niego podchodził, pytał, gdzie co położyć, czy dar jest odpowiedni, w którym miejscu odbędą się postrzyżyny. W końcu to Bartus zbliżył się do niej, chcąc zaspokoić ciekawość.

– Rzekłaś, że o postrzyżynach powiedzieli ci ludzie z okolicy. To co cię przywiodło z Ostrowia? Zwykle gościsz u nas latem, a nie wiosną.

– Pragnę prosić żmija o wsparcie w walce o Przemysł. I ciebie też.

– Ja wojen unikam, by w ludzkiej krwi na nowo nie posmakować. – Wymówka brata była dość przekonująca. – Zważ – dodał jeszcze – nim bogów albo ich wysłanników poprosisz o pomoc, iż mogą zechcieć słonej zapłaty.

– Ciebie królowa węży obdarowała rozumieniem zwierzęcej mowy. A co takiego uczynił? Tylkoś jej okazał czcienie.

– Ale go nie okazał narzeczonej. Kobierzec ślubny, na którym mieliśmy stanąć, rozłożyłem przed złotą żmiją i oddałem jej pokłon. Miałem, stojąc na nim, przysięgać miłość Kele jako mej małżonce. Ja jednak złożyłem hołd pani podziemnego świata. Zyskałem władzę nad dzikim zwierzem, dar rozumienia jego mowy, aleć utraciłem możliwość miłowania.

– Ja też utraciłam możliwość miłowania ciebie. Utraciłam też mego Jarowara, boś go zabił. Wyrzuciłam biesa, który zawładnął twym ciałem i duchem. Jesteś mi coś winien, bracie. Całe życie się dla ciebie poświęcam.

Mięśnie na twarzy Bartusa się napięły, jednak nic nie powiedział. Wiedma odwróciła się i tylko rzuciła na odchodnym:

– Obaczmy się na postrzyżynach.

Uroczystość przeszła najśmielsze oczekiwania gości. Na placu stał oddział trzystu wojów w łuskowych zbrojach. Blask ognia odbijał się w wypolerowanych blaszkach pancerzy. Nie byli ustawieni w tradycyjnym równym szeregu, lecz w linii falistej, miejscami tworząc coś w rodzaju wypustek, rozwidlających się, ale mocno spiętych z głównym trzonem oddziału. Gdy Wiedma wspięła się na wzgórze, na którym położony był Żmigród, ze zdziwieniem skonstatowała, że układ ten nie był ani niechlujny, ani przypadkowy. Oddział przypominał ciało potężnego żmija o ognistej barwie.

Z jaskini wyszedł jej mieszkaniec – Czarny Żmij. Rozpostarł błoniaste skrzydła i pochylił trójkątny łeb. Najwyraźniej czekał na wyjście kogoś znamiennego, komu okazywał szacunek. Po chwili oczom zebranych ukazał się niezwykle widok. Wężowym ruchem wysunęła się ognistoczerwona istota. Każda z jej trzech głów poruszała się niezależnie, w innym tempie. Wszystkie pokryte były naroślami zakończonymi wystającymi z tyłu łba wypustkami niczym rogi. Wężowe ciało pokryte łuskami wyglądało, jakby w jego wnętrzu nieprzerwanie płonął ogień. Skrzydła, do tej pory złożone wzdłuż tułowia, uniosły się niczym zwinięte na drzewcu chorągwie, następnie się rozpostarły, zasłaniając pół placu. Rozległ się huk. Ledwie przebrzmiał, rozległ się kolejny. To żmijowi woje uderzali toporami w tarcze. Na każdej z nich namalowane były trzy głowy i trzy skrzydła czerwonego, monstualnego stworzenia.

Na plac wystąpił przygarbiony, odziany w złotą opończę starzec oraz czarnowłosa niewiasta w długiej, powłóczyściej szacie. Kobiętę, obwieszoną kolorowymi kamieniami, Wiedma rozpoznała bez trudu. Caryczka, jej dawna mentorka. Wiele zawdzięczała owej czarownicy, choć nigdy nie były sobie bliskie. Wypadało się jednak przywitać. Ruszyła więc w stronę jaskini, podobnie jak wielu zgromadzonych.

Mieszkańcy Żmigrodu nie mieli śmiałości, by stanąć w kręgu ze żmijami i nieobliczalną Caryczką. Respekt budził też oddział wojów w lśniących łuskach. Żmigrodzianie gromadzili się więc blisko siebie, jednak w stosownej odległości od celebryjących uroczystość.

Przy ogniu stali mali bohaterowie obrzędu. Ich odświętne szaty wyszywane złotymi nićmi budziły podziw. Obok chłopców ustawili się Bartus, czarnowłosa wiedźma, niania i kilku przedstawicieli starszyny. Żerca skinął w stronę oddziału. Wojowie znów zaczęli uderzać w tarcze. Najpierw szybko, jakby chcieli wszystkich zwołać. Potem na chwilę topory zamaryły w bezruchu i rozległy się trzy, w równych odstępach, mocne uderzenia.

Żerca stanął między chłopcami, ujął ich dłonie i poprowadził przed oblicze żmijów. Pokłonił się. Chłopcy uczynili to samo. Puścił ich ręce i zaczął się wycofywać, wciąż zwrócony twarzą w stronę budzących respekt stworzeń. Podszedł do niego Bartus i podał mu cebrzyk napełniony wodą. Żerca wezwał do siebie malców i wyciągnął w ich stronę naczynie. Najpierw ręce i twarz umył syn żmija, potem Bartusa. Odezwały się bębny, grzechotki, piszczałki. Zaintonowano pieśń przygotowującą do nowej drogi życia.

Sypcie pszenicy w nowe koryta

Nakarmcie konie na wielką drogę

Bo na tej drodze troje wrót nowych...

Zaczęli podchodzić kolejni goście, by dokonać symbolicznego oczyszczenia. Bartus w tym czasie przygotował glinianą misę zawieszoną na trzech łańcuchach. Z jej wnętrza wydobywał się pachnący ziołami dym. Żerca, lekko kołysząc naczyniem, okadził chłopców. Następnie ruszył w stronę gości. Wonne opary oczyszczały każdego z zebranych. Wspólny rytuał i śpiew ośmieliły żmigrodzian. Wszyscy zawiązali potężny krąg. Wojowie strzegli go od zewnątrz.

Żerca wyjął z pochwy ozdobny szylet, uniósł go wysoko i czekał, aż śpiew umilknie. Gdy ucichło, wolnym, uroczystym krokiem podszedł do żmijątka.

– Synu Czarnego Żmija i niewiasty Parewki, niezbadane są twe moce powstałe przez zmieszanie ludzkiej krwi z boską.

Wiedma, słysząc te słowa, nieznacznie się uśmiechnęła. Trochę tej mocarności zdążyła już poznać, a wiele przeczuwała. Strach było się przeciwstawić żmijowemu dziecku. A co będzie, gdy dorosnie?

– Jest w tobie siła równa tej, która każe jaremu zbożu rosnąć mimo chłodu i skąpego blasku Słońca. Jare to siła, moc i krzepkość – kontynuował żerca.

Podszedł do chłopca i przeciągnął płasko ostrzem po jego łysej głowie. Chwycił jakiś wymyślony włos i wrzucił do ogniska.

– Swarożyc w ogniu pokazał mi twe imię. Odtąd będziesz Jaropełk. Sława Jaropełkowi!

– Sława! Sława! Sława! – chórem zawołali zebrani.

Żerca uniósł ręce na znak, że chce jeszcze coś powiedzieć. Tłum szybko się uciszył.

– Imię twe jest godne dowódcy! – zawołał kapłan. – Z tej przyczyny od Czerwonego Żmija, który nas zaszczylił swym przybyciem, otrzymałeś w darze potężną drużynę wojów, którą będziesz się uczył dowodzić!

Ludzie zaczęli wiwatować, gratulować. Wojowie uderzyli gromko w tarcze. Jaropełk z niedowierzaniem przyglądał się zbrojnym, którzy wyglądali niezwykle dostojnie, ale i groźnie. Żerca pochylił się nad chłopcem i coś mu po cichu powiedział. Ten zarumienił się nieco, po czym odwrócił w stronę Czerwonego Żmija i skłonił w geście podziękowania. Entuzjastyczne okrzyki zebranych niesły się po okolicy.

Kapłan znów uniósł dłonie, czekając, aż tłum się uciszy. Osiągnąwszy pożądany efekt, odwrócił się i chwycił syna Bartusa za splecione włosy. Zwinął je w prowizoryczną pętlę i włożył ostrze w jej obręb. Włosy napięły się pod naciskiem noża.

– Synu Bartusa i boginki Kele, twa macierz z miłości do ciebie, byś mógł się narodzić, przyjęła postać mamuny. Byłeś jej tak drogi, iż poniechała losu nadobnej rusalki.

Ostrze jeszcze mocniej napięło warkocz i przecięło go. Żerca znów podszedł do ogniska, by wrzucić do niego włosy rusałczego syna.

– Swarożyc mówi, że odtąd będą cię zwać Dragomirem. Sława Dragomirowi!

– Sława! Sława! Sława! – huknęli wszyscy. Żmije wydały z siebie wizm, wprawiając w drganie płomień pobliskiego ogniska.

– Nie macie matek. Ich obowiązki spełniała niania. Zatem złóżcie jej dzięki za opiekę, bo przechodzicie pod władzę ojców.

Chłopcy chwycili wcześniej przygotowane kosze i podeszli do opiekunki. Pochylili się lekko w ukłonie i złożyli je przed staruszką.

Niewiasta nie próbowała nawet ukryć łez wzruszenia. Wychowywała obydwu od kolebki i zdążyła ich pokochać jak własne wnuki.

– Jaropełku – przemówił żerca – wołą twego ojca jest, byś na przemian spędzał rok tutaj, szkoląc się na woja u boku Bartusa i zbrojnych, a kolejny rok w Żmijowym Siedliszczu. I tak do chwili, gdy twój rodzic uzna, żeś gotów do samodzielności.

Jaropełk pokłonił się ojcu oraz Czerwonemu Żmijowi. Przyłożył dłonie do ust i wydał z siebie przesywający dźwięk, którego znaczenie zrozumieli tylko nieliczni. Niania już niestety nie, bo właśnie niechętnie oddawała Caryczce zaklinacz.

– Dragomirze, ciebie będzie przyuczał na woja twój ojciec Bartus, a pomoże mu w tym cała drużyna, która do czasu przejścia dowództwa przez Jaropełka zwać się będzie Drużyną Czarnego Żmija.

Bartus podszedł do syna i wręczył mu sprężysty łuk, kołczan pełen strzał z żelaznymi grotami oraz topór. Nie były to już zabawki byle jak ciosane, ale solidna, dobrze wyważona broń.

Chłopiec przyjął je z powagą, chcąc pokazać, jak już jest dorosły i godny takiego podarku, tylko oczy mu się uśmiechały i widać było, jak go korci, by jak najszybciej wypróbować otrzymany oręż.

Jaropełk, choć otrzymał w prezencie nie byle jaki dar, bo całą drużynę, przyglądał się łakomie broni Dragomira. Dziecku trudno porównać rozmiary prezentów, bardziej liczy się to, co można dotknąć, poczuć tego kształt, ciężar, sprawdzić zastosowanie. I wtedy przystąpiła Caryczka, wręczając mu identyczny zestaw do walki.

Huknęły bębny, grzechotki, zaskomlały piszczałki, żerca rozwiązał krąg. Delikatne dźwięki gęśli sygnalizowały, że czas na biesiadę i tańce. Goście zasiedli na przygotowanych ławach. Tylko drużyna wciąż stała w szyku.

Czerwony Żmij zasyczał coś do czarnego towarzysza oraz do chłopców. Rozłożył mocniej skrzydła, wzbił się nad zgromadzony tłum, zatoczył koło i odleciał.

Jaropełk stanął przed wojami i przejęty swą nową funkcją pozwolił im się rozejść. Ci zasiedli ochoczo do stołów. Jedli za dwóch i pili za trzech. Skoczna muzyka nie pozwoliła im jednak zbyt długo się posilać. Rozochoceni dobrymi trunkami ruszyli między gości, zapraszając do tańca panny. Zabawa nabierała rozpędu.

Żmigrodzianie z jednej strony się cieszyli, że będą mieć tak znamienitą drużynę jako obrońców, z drugiej przerażała ich konieczność utrzymania kosztownego oddziału. Ale cóż było robić? Najlepiej upić się i cieszyć chwilą.

Wiedma przysiadła się do chłopców i Caryczki.

– Radam cię widzieć. – Uśmiechnęła się z przymusem do czarnowłosej wiedźmy.

– Nie słodź, bo za dużo miodu psuje smak – odparowała dawna nauczycielka.

– Nie słodzę. Wszystko, co potrafię, tobie zawdzięczam.

– Widać wciąż za mało, skoro po prośbie przybywasz. Ponoć Czarnego Żmija chcesz o pomoc prosić.

– Tako. Nie nauczyłaś mnie, jak uniknąć wojny ani jak się pozbyć cichej.

– W jednym i drugim bez żmija nie poradzisz.

– Żmij jest w mocy przegnać cichą?

– Jego oddech leczy z zarazy, a siła i pancerne ciało pokonują zbrojnych. To drugie samaś widziała.

Słowa Caryczki utwierdziły Wiedmę w przekonaniu, że koniecznie musi się rozmówić z ojcem Jaropełka.

– Ty dobrze żyjesz z Czarnym Żmijem – zwróciła się do dawnej nauczycielki. – Wstaw się za mną, proszę.

– Jam nie jest gołąb na posyłki – fuknęła. – Bartusa pros albo Jaropełka.

Syn Czarnego Żmija uważnie słuchał rozmowy, a jego wrzecionowate źrenice to się zwięzały, to znów rozszerzały. Wiedma unikała wzroku chłopca, bo знаła jego możliwości. Już nieraz udawało mu się ją

zahipnotyzować przy chwili nieuwagi. Nie było to szkodliwe, gdy budziła się na jego legowisku, a on spał w najlepsze wtulony w jej ciało. Ot, brakowało mu zwyczajnego matczynego ciepła i radził sobie, jak umiał. Czasem jego hipnotyczny wzrok doprowadzał do niebezpiecznych dla niej sytuacji. Na przykład, gdy uświadomiła sobie, że znajduje się w podziemnym skarbcu Czarnego Żmija. Gdyby ojciec Jaropełka ją tam zastał, mogłaby podzielić los tych, których zgruchotane kości bieleły się pod ścianą jaskini. Chłopiec chciał się pochwalić ojcowskimi skarbami, a że zawsze odmawiała wizyty w skarbcu, zaprowadził ją kiedyś wbrew jej woli. Dzisiejszego ranka, gdy wręczała mu dar, też chciał, by się tam z nim udała.

– Prosisz mnie, ciotko, o pomoc? – upewnił się chłopiec.

Majtał jeszcze nogami pod ławą, ale starał się pokazać, jak bardzo jest ważny.

– Tako. Proszę cię, Jaropełku, żmijowy synu.

Chłopiec zeskoczył z ławy i ruszył dostojnym krokiem do ojca. Wiedma obserwowała z boku przebieg ich świszczącej, niezrozumiałej rozmowy.

– Ja ci, ciotko, też pomogę, aczli tylko będę mógł. – Dragomir nie chciał być gorszy, choć przyzwyczał się przez te wszystkie lata, że zawsze należy ustąpić pierwszeństwa żmijowemu synowi. Cóż znaczyła jego matka mamuna wobec potęgi żmija? Znał swoje miejsce, choć traktował Jaropełka jak brata.

Dragomir miał ten sam kolor włosów i oczu co jego ojciec. Było w nim jednak też coś dzikiego. Kiedy mówił, lekko pochylał głowę, jak zwierzę przyczajone do skoku. Uśmiech pojawiał się nagle, tak szybko, że nie można było dostrzec momentu rozciągania się ust. Słyszał z niezwykłej zwinności. Nikt, nawet Jaropełek, nie potrafił go prześcignąć w zawodach wymagających szybkości.

Żmijątko wróciło z niezbyt zadowoloną miną.

– Ojciec chce się z tobą rozmówić, ciotko.

Podeszła z chłopcem przed oblicze zajmującego najważniejsze miejsce na placu. Skłoniła się lekko. Żmij zasyczał.

– Ojciec pyta, kto zagraża tobie i twoim bliskim.

– Ponoć Pieczyngowie się szykują do ataku na Przemysł.

Znów niezrozumiała wymiana świszczących dźwięków.

– Zatem jeszcze nie zaatakowali?

– Nie. Domyślamy się, że to będą Pieczyngowie. Święte kruki nas ostrzegły. Mówią też, że cicha się zbliża.

Czarny Żmij syczał długo, jakby coś przedkładał.

– Ojciec mówi, że krukem należy wierzyć. On jednak nie może ci ninie pomóc, bo w Żmijowym Siedlisku już czekają na niego i na mnie. Wybacz, ciotko – dodał ze smutkiem malec – barzo chciałem cię wesprzeć. Rodzic niepokoi się o mnie, bo każdy żmij w nowiu może przyjąć ludzką postać, a ja w niej tkwię cały czas. Pora wywieźć się, ile we mnie żmijowej mocy, a ile ludzkiej.

– Jaropełku, będziesz wielkim czelkiem i wielkim żmijem. – Wytrzymała świdrujący wzrok chłopca.

– Mówisz tak jako widząca czy chcesz mnie pocieszyć?

Wiedma nie odpowiedziała.

– Ciotko! – Dragomir biegł w ich stronę. Był bardzo podekscytowany. – Chodź! – Chwyił ją za rękę i ciągnął w stronę biesiadujących.

Szła, wręcz biegła, żeby mu dorównać kroku.

– Co się stało? Nie pędź tak. – Zaczęła mu nieco stawiać opór.

– Pamiętasz, ciotko, dar od ciebie? Dałaś mi na postrzyżyny. Obiecałem go Caryczce.

Zgorszyła się. Znała zachłanność czarownic i jej słabość do kamieni, które do niej mówiły. Jak jej się udało namówić chłopca, żeby oddał tak cenne przedmioty?

– Po co? – huknęła na dziecko.

– By cię przyuczyła do walki z cichą.

9 Dziewosłoby – ludzie, którzy zajmują się swataniem.

Borusz



W racała wprawdzie bez żmija, ale bogata w wiedzę. I to ją! Caryczka przekazała jej receptury mające pomóc w walce z morowym powietrzem! Czarnowłosa wiedźma wprawdzie nie wstawiła się u ojca Jaropelka, ale już jej nie wypadało po raz kolejny odmówić pomocy, zwłaszcza że Dragomir hojnie zapłacił. Teraz Wiedma już wiedziała, których ziół użyć i jak je przygotować. Nie czuła się przegrana. Tylko jeszcze będzie musiała przełknąć kąpiące spojrzenia i uwagi knezia oraz starszyzny, gdy im powie, że misja zjednania żmija się nie udała.

Za to dobrym słowem i błogosławieństwami żegnała ją cała rodzina rybaka. Dzięki niej córka Świętosławy i Mojmira przysła na świat szybko i bez problemów. A i Radomiłka poduczyła się, jak przyjmować porody. Dziewczyna ceniła tę naukę, bo w pobliżu nie było żadnej mądrej baby poza wiedźmą Caryczką, a tej nikt nie ośmieliłby się wezwać.

Gdy Wiedma zbliżała się do Ostrowia, ujrzała niedaleko Lęda dwoje ludzi. Zniżyła lot. Siedzieli pod drzewem opatuleni wełnianym, mocno przybrudzonym pledem. Dziewczyna i młodzieniec. Ona opierała głowę na jego ramieniu. Spali. Wiedma dotknęła stopami ziemi i podeszła do nich.

– Co tu robicie?

Pierwszy obudził się młody mężczyzna. Potrząsnął delikatnie ramieniem dziewczyny. Otworzyła oczy. Byli zdezorientowani. Stała przed nimi w ciemności jakaś postać, a oni jej dobrze nie widzieli, bo noc była pochmurna.

– Do Wiedmy na Ostrowie chcemy się udać.

– Jam jest Wiedma. Czego chcecie?

Nie podobała jej się dziewczyna. Była milcząca, oczy jej miały jakiś niezdrowy poblask, a skóra jakby żyła swoim własnym życiem.

– O pomoc przyszliśmy prosić. W Boruszu pomór.

– W Boruszu? Toż to chyba najlepiej strzeżony i najludniejszy gród w okolicy.

– Był, Wiedmo. Kneź Lestek radził się zbroić i szycować opór Pieczyngom, ale nie ma komu. Wielu wojów pokładło się bez sił, a ich ciała pokrywają krosty i bąble. Niewiast oraz dzieciak też owa słabość nie omija. Nie ma dnia, by stos ciałałopalny nie płonął.

Wiedma zaczęła się zastanawiać. Miała wprawdzie zdać relację ze swej wyprawy w przemyskim grodzie, a nie było jej już kilka dni. Jednak, jak to mawiał żerca, nie ma co się spieszyć ze złymi wieściami. Tu była bardziej potrzebna. Wyszłaby naprzeciw morowemu powietrzu, jak sugerowała

Lota. Mogła też wypróbować rady, które jej dała Caryczka. No i była w posiadaniu żmijownika, a to amulet, który zapewnia nie tylko płodność, ale i zdrowie, niczym oddech żmija.

– Muszę przygotować zioła i maści. – Jeszcze raz przyjrzała się dziewczynie. – Do Borusza jest pół dnia drogi?

– Tako.

– Czekajcie tu na mnie. Uwinę się i przyjdę, kiedy Dadźbóg przewędruje połowę nieba.

– Pozwól nam poczekać u ciebie na Ostrowiu. Ślągwa¹⁰ taka wokół, że nie można skrzesać ognia – poprosił młodzieniec.

– Nie – odparła bez zastanowienia.

Zazwyczaj była gościnna i wiele osób przybywało do niej na wyspę po różne rady i po pomoc. Tym razem jednak przecucie jej mówiło, że nie może wpuszczać nikogo, zwłaszcza tej dziewczyny.

– Próchno z dziupli nie jest zwilgocone, to skrzeszysz ogień. – Wskazała na pień starej wierzy. – I narwij dużo czosnku niedźwiedziego. Rośnie tam, pod grabami i bukami.

Świt powoli rozjaśniał nieboskłon. Wiedma najpierw udała się w miejsce, gdzie rośnie morownik, zwany czarnym zielem albo uśpiwrzodem. Wiosenny czas sprzyjał zbiorom tej rośliny.

Na Ostrowiu narwała jeszcze całe namiętność ruty, bo zerwana na granicy dnia i nocy ma największą moc. Wzięła się za ucieranie maści z morownika, żywicy, wosku pszczelego i oliwy. Wkrótce zobaczyła Damrokę, jak wychodzi ze swej chaty z małym Czcioborem. Chłopca już od roku nie wołano Niemój. Podczas postrzyżyn otrzymał imię po zmarłym ojcu.

Wyszła prędko przed chatę.

– Damroko! Nie wpuszczaj nikogo na Ostrowie!

– Dobrze! – odrzyknęła tamta.

Podeszli z Czcioborem bliżej. Chłopiec szedł posłusznie za rękę. Wiedma pomyślała, że niewiele jest tak spokojnych dzieci.

– Długo cię nie było. – Damroka się uśmiechnęła.

– I znów wyruszam. Tym razem pieszo. Do Borusza. Nie byłam tam jeszcze, więc czarowna maść na nic. Ale ją wezmę, bo może trza będzie rychło wracać. Żle się tam dzieje. Powietrze morowe dusi boruszan.

Damroka odruchowo przygarnęła chłopca, jakby się bała, że kilka kroków więcej będzie stanowić dla niego zagrożenie.

– Nie idź tam! – poprosiła. – Mało ci? Po co się tam pchasz?

Wiedma rozumiała przyjaciółkę i jej strach. Na jej miejscu zareagowałyby podobnie. Ale nie była na jej miejscu i miała nieodpartą potrzebę wypróbowania receptur, zanim pomór dotrze do przemysłowego grodu i okolic. Poza tym żmijownik dawał jej względne poczucie bezpieczeństwa.

– Lota radziła wyjść cichej naprzeciw, zanim nieproszona rozgości się w naszych domach. Tako chcę uczynić.

Damroka przewróciła oczami i wyduła usta. Wypuściła syna z objęć, a ten ruszył zbierać dla niej kwiatki, pilnując przy tym, żeby się zanadto nie oddalić.

– Zaniechaj. Proszę. – Znów spróbowała.

Wiedma nie odezwała się. Nie miała ochoty ani siły, żeby przekonywać do swych racji. Maść czarownic przestała działać i w miejsce pobudzenia pojawiło się zmęczenie. A ją czekała jeszcze długa droga.

– Upartaś jak zasański wół – westchnęła Damroka. – Mów, jak ci pomóc? Bo kiedy nie wrócisz, będę sobie pluć w brodę, żem cię nijak nie wsparła.

Wiedma uśmiechnęła się. Chcąc uniknąć dyskusji, przeszła od razu do konkretów.

– Przynieś mi octu i narwij kwiatów hyczki. I nastaw, proszę, nowe octy. Oby się nie przydały! – westchnęła pełna najgorszych przeczuć. – Pójdę do owinu poszukać driakwi. No i ziół, co gorączkę przeganiają. Liści malin i kwiatów lipy jeszcze sporo zostało.

Dadźbóg już dawno oś nieba przekroczył, gdy Wiedma z łódki na brzeg taszczyła ciężki wór. Zostawiła go i poszła szukać czekającej na nią pary. Był tylko młodzieniec. Siedział przy ogniu, a obok leżała spora kupka liści czosnku niedźwiedziego.

– Gdzie twa niewiasta?

– Nie moja to była niewiasta. Po drodze ją spotkałem.

– Aczkoli gdzie ona?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Dziwna była. Co skrzesałem ogień, to go gasiła. A gdym już rozpalił na dobre i poszedł rwać liście czosnku, wpadła w złość okrutną i odeszła.

Wiedma zaniepokojona pobiegła w stronę jeziora.

– Gościwicie! Gościwicie!

W szuwarach zachlupotało i wyłoniła się postać w kozuchu i z baranią czapką w dłoniach.

– Co się stało? Pali się?

– Gościwicie, barzo cię proszę, nikogo, ale to nikogo nie wpuszczaj na Ostrowie.

Utopiec podrapał się w głowę. Wyrażnie się nad czymś zastanawiał.

– To co? Mam utopić? Nie chcę. Po co mi tu kolejny utopiec? Wiesz, że spokoju potrzebuję.

– To nastrasz.

Gościwit nadal nie był przekonany.

– Jak mam nastraszyć?

Wiedma zaczynała tracić cierpliwość.

– Gościwicie, na mnie już czas. Długa droga przede mną. Wymyśl sam. Zrób wielką falę. Wywróć łódkę albo...

– Albo?

– Pokaż się natrętom. – Wiedma złapała wyciągnięty z łodzi wór i zaczęła go taszczyć w stronę czekającego młodzieńca.

– Że co? – Utopiec miętosił baranią czapę, jak to miał w zwyczaju, gdy czegoś nie rozumiał.

Wiedma przekazała ciężki wór młodemu mężczyźnie. Sama przerzuciła liście czosnku na płachtę, w której zazwyczaj nosiła zioła, sprawnie ją zawiązała i zarzuciła na plecy. Ruszyli w drogę.

Szli przez chwilę wzdłuż Sanu i tuż przy potoku zwanym Łętowianką ruszyli w górę. Gród nie był położony daleko, zaledwie kilka staj. Jednak droga doń prowadząca wydawała się mroczna. Może dlatego, że prowadziła przez gęsty las.

Wiedma wiele słyszała o Boruszu i jego obwarowaniach. Zamieszkiwany był od niepamiętnych czasów, zanim go otoczono wysokimi wałami. Położony przy szlaku handlowym rozwijał się dzięki sztuce snycerskiej, którą uprawiali jego mieszkańcy. Przedmioty, które wykonywali z drewna, przewyższały pomysłowością i misternością rękodziela w całej okolicy. Robili też najlepsze włócznice i łuki. Miały one ogromne wzięcie wśród wędrujących kupców.

– Jak cię wołają? – zagadnęła swojego przewodnika.

– Bolebor.

– Kto ci zaniemógł, Boleborze?

– Mać moja Boromira i bracia Borzuj i Bogwiedz.

– Dziwnie się zwiecie. Podobnie.

– Naszym praszczurem sam Boruta. Jego działki wszystkie miały imiona zaczynające się jak jego imię. I tak zostało.

– Boruta miał brata Rokitę. Jego potomkowie ponoć żyją w nieodległej Rokietnicy – przypomniła sobie Wiedma.

Młodzieniec zatrzymał się. Jego szczupła, jeszcze pozbawiona zarostu twarz ściągnęła się w nieprzyjemny grymas.

– Nie wolno wymieniać tego imienia. Nigdy przy żadnym boruszanie.

Umilkli i resztę drogi przebyli, z rzadka wymieniając mało istotne uwagi. Zmierzczało, gdy Wiedma ujrzała potężne wały podgrodzia. Były dużo wyższe od niej. Strażnicy przepuścili ich przez bramę. Tuż za nią znajdowała się kolejna, będąca częścią równie wysokiego obwarowania. Dalszą drogę przez podgrodzie odbywali wzdłuż poprzecznego nasypu. Po prawej stronie spokojna tafła niewielkiego jeziora odbijała blask łuczyna trzymanego przez stojącego na brzegu mężczyznę. Nieopodal rósł dąb. Jego pień był rozpołowiony i część konarów leżała na ziemi. Wiedma pomyślała, że to pewnie Perun naznaczył swoje drzewo albo stało się ofiarą wiatru lub innych potężnych mocy. Jezioro tuż obok przyciągało. Wiedźma zapomniała na chwilę o swym przewodniku i skierowała kroki ku ciemnej wodzie. Nagle się zatrzymała. Mandragora, którą zabrała z sobą, leżąca dotąd spokojnie w lnianym woreczku zawieszonym u pasa, drgnęła niespokojnie. Kobieta ze zdumieniem dotknęła woreczka. Poczula, że korzeń mandragory, który niegdyś otrzymała od Miłosza, brata jej nauczycielki, porusza się i wypręża. Zrobiła parę kroków w tył i mandragora się uspokoiła. Wiedma postanowiła omijać to miejsce z daleka.

Bolebor czekał na nią. Wyjaśnił strażnikom przy kolejnej bramie, kogo prowadzi. Trzeci wał był jeszcze wyższy, po lewej stronie rozwidła się na kształt wrzeciona. Weszli na kolejne podgrodzie i dopiero ujrzała właściwe grodzisko, okolone dodatkowo drewnianym częstokołem. Bramy jednak nigdzie nie zauważyła. Zobaczyła ją, gdy skręcili w lewo. Nigdy nie widziała tak potężnej obronnej twierdzy. Przemyśl w obliczu obronnych fortyfikacji Borusza wydawał się niczym komar przy nietoperzu.

Przerażająca była cisza, która panowała w grodzie i na podgrodziu. Bolebor zaprowadził Wiedmę do dość obszernej chaty. U wejścia uderzył ją odór zgnilizny i wymiocin. W świetle domowego ogniska zobaczyła dwie leżące osoby. Jedna po uszy przykryta baraniami futrami, druga w samym gnieźle. Obok nich siedział na zydlu zgarbiony mężczyzna. Nie wstał, nie przywitał się. Tylko podniósł głowę i znów ją opuścił. W ciemnym kącie zaszemrało.

– Bolebor! Wróciłeś! – zapięły dziewczęce głosy i z ciemności wyłoniły się dwie małe dziewczynki. Wtuliły się w ramiona starszego brata.

– Borzuja spalili! – zawołała z przejęciem jedna.

– Przestał się ruszać. Powiedz, że z mamą tak nie będzie. Ona też ma takie grudki jak on. Tu, tu i tu. – Pokazywały różne miejsca na twarzy, rękach, klatce piersiowej. – Boleborze, powiedz.

Młodzieniec nic nie odrzekł. Podszedł do matki. Leżała półprzytomna. Przykrył ją pledem. Nawet nie otworzyła oczu, tylko zdarła z siebie nakrycie.

– Przyprowadziłeś wiedzącą? – zapiszczał chłopięcy głosik spod baranicy.

– Tako – odezwała się Wiedma. – Bogowie, pomóżcie.

Wieczór był bardzo długi. Zanim przygotowała napary oraz mieszanek octową z morownikiem, zanim posmarowała utartą wcześniej maścią pęcherze na ciele chorych, i to nie tylko w chacie Bolebora, ale i w innych, bo zaraz zeszli się potrzebujący z całego podgrodzia i grodu, był środek nocy. Odmówiła

noclegu w chacie z chorymi. Wzięła swoje rzeczy, rozłożyła pled i położyła się pod dachem wieży wartowniczej oddzielającej dwa podgrodzia. Usnęła natychmiast. Sen nie trwał długo. Obudziły ją dźwięki jakby z kuźni oraz zawodzenie. Co za szalony kowal kuje nocą? I ten płacz. Skargi. Czy to chorzy tak zawodzą? Wstała zdziwiona. Dwaj wartownicy spokojnie spacerowali wzdłuż wałów, nie rozglądali się, nie komentowali tych odgłosów, jakby ich w ogóle nie słyszeli. Nikogo więcej nie zauważyła. Skąd zatem dochodziły te lamenty? Skupiła się, nasłuchując.

– Jeziorko? – mruknęła do siebie zdziwiona.

Ruszyła w jego stronę. Mgła przypominająca ubitą pianę uniemożliwiała jej zobaczenie czegokolwiek. Za to wilgotne powietrze niesło i wręcz wzmacało niepokojące dźwięki oraz narzekania. To nie były tylko jakieś lamenty. Coraz wyraźniej słyszała, że ją wołają.

– Idę – odpowiedziała, wchodząc w mgłę.

Nagle rozległ się trzepot skrzydeł i coś uderzyło ją w twarz. Puchacz? Otworzyła oczy. Tuż obok składał swe skrzydła kruk. Miał przypalone pióra.

10 Śląwa – mgliste, wilgotne powietrze.

Czarne Jezioro



Szlachetny Borzymir, jako najstarszy z rodu, zajmował obszerną, prostokątną chatę. Małżonkę utracił, zanim czarna śmierć wdarła się przez liczne półkoliste i pierścieniowe wały do dobrze strzeżonego grodu. Żona, wydawszy na świat dwunaste dziecię, zmarła w położu.

Wiedma skończyła zamawianie choroby i smarowała maścią z czarnego ziela czworo chorych dzieci Borzymira. Chętnie przy tym słuchała opowieści seniora rodu.

– Pierworodna Bogdanka lubiła kwiaty. Znosiła je do domu i poila nas rozmaitymi naparami. Świeść¹¹ się znała na ziołach i ją przyuczała. Córka miała dar i niebawem to do niej po rady przychodzili.

– Nie zdołały ocalić przed Nyją twjej żeny?

Starzec tylko machnął ręką.

– Już ich nie było, gdy ostatni syn na świat przychodził. Zniknęły jak mgła o świcie nad jeziorem.

– Zniknęły?

– Wymykała się Bogda nocami. Młoda była, do swańcy gotowa. Myśleliśmy z żeną, iż z jakim lubym się spotyka. Ongiś, pamiętam, że Miesiąc był w pełni, wyszła i nie wróciła. Szukaliśmy po lesie, po jarugach, nawet w jeziorze. Nic. Jak kamień w wodę. Świeść też przepadła.

– Nikomu nic nie rzekły?

– Bogda mówiła... – Usłyszała cichy głosik dziewczynki.

Córka Borzymira, wyglądająca na czternaście lub piętnaście lat, osłabiona gorączką i dręczącym kaszlem leżała na wyścielonej miękką ławie. Miała zaczerwienioną skórę i szpecące pęcherze.

– Mówiła, że ją woda woła.

Wiedma zadrżała. Nikomu się nie przyznawała do snów, które miała, odkąd tu przybyła. Każdej nocy przywoływały ją głosy z jeziora. Miejsce to przyciągało magiczną siłą. Gdyby nie mandragora, kaptorga ochronna, no i kruk pilnujący jej snów, kto wie, czy oparłaby się mocy czarnej wody.

Nagle poczuła, że ktoś jej potrzebuje. Spakowała maści i zioła. Była już w drzwiach, gdy stanął naprzeciw chudy wyrostek.

– O! Bratumił? Co się dzieje? – spytał gospodarz domu.

– Wyście Wiedma? – Chłopiec nawet nie odpowiedział, przejęty zadaniem, które mu powierzono.

– Tako.

– Matka mnie przysłała. Z ojcem źle.

– Prowadź – powiedziała, choć czuła, że już za późno. Mogła tylko pomóc duszy zmarłego dotrzeć do Wyraju.

Mężczyzna leżał z wytrzeszczonym okiem, na powiece drugiego pęcherz był tak duży, że kompletnie zakrywał gałkę oczną. Podobne brunatne bąble kaziły całe trupioblade ciało zmarłego.

– Poproście sąsiadów, by ułożyli stos pogrzebowy – wysłała przerażone, zapłakane dzieci, spoglądające z niedowierzaniem na martwego ojca.

Pomogła żonie zmarłego zdjąć jego odzienie i wrzuciła je do ognia. Obmyły martwe ciało, potem szmatkę służącą jako myjkę Wiedma też wrzuciła do ogniska, a wodę wylały daleko poza chatą pod wałem grodu. Wszystko w izbie pootwierały: drzwi, skrzynie, garnce, porozwizywały chusty, krajki, zapaski. W końcu zmarły, okryty cienkim pledem, był gotów na spotkanie ze Swaróżycem na ciałopalnym stosie.

Niewiasta raz po raz zanosila się szlochem. Tarła spuchnięte oczy zaczerwienione jak cała twarz. Co rusz chwyciła ją zadyszka, więc siadała, by uspokoić oddech. Ale ten wcale się nie uspokajał. Zginała się wpół z bolesnym skurczem na twarzy, a potem zatykała usta, jakby chciała powstrzymać wymioty. Wiedma dotknęła jej czoła. Było jak ogień. Niewiasta pochyliła głowę.

– Tako. I mnie morowe powietrze skaziło. Pójdę na stos z mym mężem.

– Dzatki masz nieodchowane. Jakże to tak? Ostawisz je?

– I tak mnie czarna śmierć zabierze. Gdzie ja, nieboga, będę go potem szukać w Nawii?

– Dam ci octu morowego, driakwi i coś na poty. Chodź, będziemy chorobę zamawiać. – Pociągnęła kobietę w stronę paleniska.

Ta nie wstała. Łzy popłynęły jej po policzkach. Uniosła suknię, obnażając gołe uda. Na ich wewnętrznej stronie widoczne były liczne czerwone wypryski.

– Mojemu też pierwiej tu się pokazało, a potem sama już widziałaś.

Spuściła suknię. Do chaty zaczęli się schodzić rodzina i sąsiedzi. Każdy niósł jakiś poczęstunek. Weszła też młoda niewiasta o delikatnych, prawie dziecięcych rysach twarzy. Spod jej czepca wymykały się złociste, przydługie jak na mężatkę włosy. Podeszła do zmarłego, by go pożegnać, a jego żonie wręczyła w darze zawiniątko. Przez cały czas bacznie obserwowała wiedźmę, o której już cała okolica opowiadała. W końcu zdecydowała się podejść.

– Wiedmo, jam jest Bożena. Mój mąż dowodzi strażą. Zaległ w łożu od kilku dni. Jego ciało drży, a on wciąż woła pić. Żadna woda nie może ugasić jego pragnienia.

Biwia z ulgą podjęła się kolejnego zadania.

– Gdzie wasza chata?

– Opodal jeziora.

Wiedźma drgnęła. Przerażało ją to miejsce. W dzień omijała je z daleka, a nocą walczyła z podświadomą potrzebą wejścia w jego toń.

– Bierzecie z niego wodę? – spytała podejrzliwie.

– Nie. – Niewiasta w czepcu spojrzała zdziwiona, jakby pytanie było niedorzeczne. – Ani konie, ani kozy, ani ptaki nie chcą pić z niego wody, to i nam strach. W zachodniej części podgrodzia bije źródło. Tam czerpiemy.

Wdowa przy zebranych wyraziła wolę podzielenia stosu z mężem. Dzieci, słysząc te słowa, uczepliły się matki i zaczęły głośno zawodzić. Nie zdążyły się pogodzić ze śmiercią ojca, a tu jeszcze matka postanowiła je opuścić. Wśród rozdzierającego szlochu, protestów, zawodzeń Wiedma skwapliwie opuściła chatę, ruszając do domostwa Bożeny.

Pochmurne niebo sprawiło, że zmierzch zapadał wcześniej niż zwykle. Deszcz uderzał w taflę

jeziora, tworząc na jego powierzchni pęcherze. Przypominały narośla na skórze chorych, których dotknęła czarna śmierć. Woda nie przywoływała dobrych skojarzeń. Wiedma odwróciła głowę. Postanowiła się skupić na zadaniu, którego się podjęła. W końcu przybyła tu, by pomóc chorym i ratować zdrowych przed morowym powietrzem.

Dowódca straży Borysław wyglądał, jakby całe życie spędził na zaprawianiu się w walce. Jego potężne ciało zajmowało całe legowisko. Cóż jednak mogły mu pomóc szerokie ramiona i twarde niczym kamień muskuły w zmaganiach z niewidocznym przeciwnikiem, który niszczył go od środka? Teraz jego tors unosił się w szybkich, płytkich oddechach, a spieczone usta domagały się wody.

Wiedma ruszyła ku choremu, jednak zatrzymała się w połowie izby i rozejrzała zdumiona. Nigdy dotąd nie widziała tak pięknego wnętrza chaty. Każda belka, łątko, skrzynia, każdy zydeł – wszystko wyglądało, jakby pochodziło z pięknego snu. Na drewnianych ścianach i meblach wyczarowane były kwiaty, zwierzęta, ludzkie twarze oraz postacie, jakich żadna wiedźma nie widziała.

Rosły mężczyzna poruszył się niespokojnie na okolonym rzeźbionymi ramami legowisku. Błyszczące od gorączki oczy spoglądały nieprzytomnie na przybyłe niewiasty. Wiedma postanowiła najpierw schłodzić jego rozpalone ciało. Użyła więc niezawodnego sposobu, który znała jeszcze z dzieciństwa. Zawartość surowych jajek wyciągała gorączkę, niemal się ścinając na rozpalonym tułowiu chorego.

– Taki wielki woj, a nie radzi sobie z takim małym wrogiem – mruknęła i zabrała się za zakreślanie kręgu oraz zamawianie choroby. Gdy skończyła, była późna noc.

Chłód i wilgoć od nieustannie padającego deszczu nie zachęcały do nocowania pod wieżą strażniczą. Zapraszana przez małżonków została w ich domostwie, wierząc, że amulet i zażywany ocet morowy nie pozwolą, by choroba w nią weszła. I tak nieustannie przebywała w pobliżu zarażonych, dotykała ich ospowatych ciał, więc doszła do wniosku, że jeśli morowe powietrze ma nią zawładnąć, to i tak się stanie.

Wdrapała się na legowisko pod dachem i umościła w świeżej, przyniesionej z owinu słomie. Zasnęła, wpatrując się w pieczolowicie wyrzeźbioną na belce gwiazdę heksapentalną. Obudził ją dźwięk młota uderzającego o kowadło. Czyjeś głosy. Jakaś kobieta stała pod drzwiami chaty i wołała:

– Wiedmo, potrzebujemy cię! Pomóż nam! Wyjdź do nas! Prosimy!

Wychyliła się i spojrzała na domowników śpiących poniżej. Widziała ich dobrze w świetle płonącego na palenisku ognia. Młoda niewiasta spała skulona z kolanami przy piersiach. Mężczyzna leżał na wznak, miał zamknięte oczy. Uwolniony od dręczącej gorączki spokojnie, głęboko oddychał.

– Wiedmo, chodź do nas. Potrzebujemy twojej pomocy – powtarzały się usilne prośby dochodzące z zewnątrz.

Zeszła po drabinie, odsunęła skobel, pchnęła drzwi.

Na zewnątrz rozległo się głośnie krakanie.

– Kruk nocą kracze? – padło pytanie z przeciwległego końca chaty. Borysław już nie spał. Spoglądał zdziwiony na wiedźmę.

Wiedma wyjrzała na zewnątrz. Było ciemno. Nie zobaczyła nikogo, nawet zarysu sylwetki. Nie słychać było już nic poza krakaniem kruka.

¹¹ Świeść – siostra żony..

Kamienna baba



Było duszno. Powietrze się nie poruszało, jakby zostało przygniecione do ziemi przez grubą warstwę chmur. Wiedma stała przed wejściem do zamku. Strażnicy otworzyli jej drzwi. Minęła salę, gdzie zwykle się naradzano, i weszła do mniejszego pomieszczenia. Na szerokim łóżu leżał kneź Lestek. Jego skóra była zaczerwieniona. Na twarzy i rękach widniały wypryski, które nie zapowiadały niczego dobrego. Silny kaszel wstrząsnął jego ciałem. Zdusił go, zatykając usta wzorzystym pledem. Spojrzał na nią błagalnie błyszczącymi od gorączki oczyma.

Obudziła się. Jak zwykle od kilkunastu już dni, gdy otwierała oczy, najpierw widziała kruka. Pilnował jej. Mieszkała ostatnio w opuszczonej boruszańskiej chacie daleko od majdanu, a także jeziora. Domek miał wąski prostokątny otwór okienny, którego Wiedma nie zamykała, mimo iż przez te wszystkie dni i noce padał deszcz. W okienku przesiadywał Krako. Wielokrotnie ją budził swym wrzaskiem, gdy lunatykowała zwabiana głosami z Czarnego Jeziora. Tym razem obudziła się sama. To było widzenie. Zrozumiała, że przemyskiemu władcy zagraża niebezpieczeństwo. Jeśli go zabraknie, gród się nie obroni przed najazdem wroga. Musiała zrobić wszystko, by go ratować.

Udała się do chaty dowódcy straży. Przy chorym siedziała Bożena i schładzała jego ciało wodą, wyciskając ją ze zmoczonej szmatki.

– Bożeno, na mnie już czas. Potrzebują mnie w Przemyślu. Poradzisz sobie?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie i otworzył oczy. Poszukał dłoni żony i skwapliwie chwycił. Niewiasta pogładziła go, jakby chciała uspokoić małe dziecko, które obudziło się przerażone koszmarem.

– Rzeknij jej, by nas nie ostawiała – poprosił Bożenę.

– Nie śmiem – odparła szczerze. – Wiedmo – zwróciła się do przybyłej – Borysławowi ku dobremu idzie. Spał niemal całą noc, bóle już po nim nie chodzą, a grudy usychają od twojej maści.

– Oby tak wszystkim się polepszyło – westchnęła wiedźma. – Onegdaj dwóch kolejnych wojów odeszło do Nawii.

Twarz dowódcy wykrzywiła się w skurczu.

– Kto? – zapytał słabym głosem.

– Boguś i Bojko.

Borysław dłońmi zasłonił twarz. To byli młodzi wojowie, ledwie wyszli z wieku dziecięcego. Lubili robić ludziom różne psikusy, ale w trudnych sytuacjach można było na nich polegać.

- Nawet nie mogę ich godnie pożegnać – poskarżył się.
- Taka dola – westchnęła Wiedma. – Każdy tu kogoś bliskiego utracił. Bolebor brata Borzuja i matkę. Dobrze, że choć Bogwiedza zdołałam odratować.
- Wszystkie chore dzieci Borzymira uleczyłaś. – Uśmiechnęła się Bożena.
- Żona dowódcy straży zawsze patrzyła na świat z optymizmem, nawet w najtrudniejszych chwilach.
- Dzięki bogom wyszły już z choroby, ale jeszcze trza je doglądać. Wiesz, Bożeno, co czynić. Ostawiam ci moje zioła, maści i magiczne napitki. Pomnij, by ocet morowy pić po obudzeniu i przed nocą.
- Tako przecie czynię – uspokoiła ją żona Borysława. – Kiegdys ruszasz?
- Przed zachodem Dadźboga chcę być u siebie.
- Proszę, śniadaj z nami. Wszytscy będą chcieli ci złożyć dzięki i się pożegnać.

Droga powrotna prowadziła z górki, więc nie powinna być uciążliwa. Jednak deszcze, które padały od wielu dni, rozmyły drogi i Wiedma musiała zejść z traktu na leśną ściółkę. Ale i tam ziemia była rozmokła, więc niewiasta wielokrotnie ześlizgiwała się, padając w grząski grunt. Była ubłocona i w dodatku przemoczona, bo deszcz nie ustawał ani na chwilę. Nie dotarła do miejsca, gdzie Łętowianka zwykle uchodzi do Sanu. Niespokojne i wyjątkowo wartkie wody potoku łączyły się z rzeką na obszarze, gdzie wcześniej była droga. Musiała obejść niebezpiecznie poszerzające się rozlewisko. Wody w rzece, a już właściwie poza nią, przybyszało. Była brunatna, zabrudzona ziemią, którą wymywała z pól. W niczym nie przypominała przyjaznej, błękitnej górskiej rzeki. Teraz stawała się rozjuszonym, wzburzonym potworem taranującym wszystko, co napotka na swej drodze. Z furią pokonywała przeszkody, roztrzaskiwała i spychała zapory. Szumiała żądzą zdobywania i niszczenia, a wciąż padający deszcz podsyczał w niej te destrukcyjne zapędy.

Wiedma wreszcie dotarła do Łęda. Rzeka na szczęście nie dosięgła jeziora, choć jego wody były niepokojąco wysokie. Kobieta nie znalazła łódki nawet w ukrytym, tylko jej i Damroce znanym, miejscu. Widocznie Gościwit bardzo poważnie potraktował jej prośbę i postanowił uniemożliwić komukolwiek dostanie się na Ostrowie. Niewiasta postanowiła nie zdejmować ubłoconej odzieży. Weszła do wody i zaczęła się przeprawiać wplaw. Wyspa, która zazwyczaj straszyla stromymi brzegami, teraz ukryła je w zmaconej deszczem wodzie. Wiedma jednak dobrze wiedziała, w którą stronę się kierować.

Musiała się spieszyć. Kneziowi groziło niebezpieczeństwo, a w obliczu wojny także Przemyślowi oraz innym grodom i osadom. Kto ich obroni przed Pieczyngami, gdy zabraknie gospodarza zamczyska? Nie wiedziała, czy już go dotknęło morowe powietrze, czy to dopiero nastąpi.

Wąska smużka dymu, snująca się nisko, prawie przy ziemi, sugerowała, że albo Damroka, albo domowik pilnuje w chacie ognia. Od czasu wizyty Lubomiry Wiedma nie rozmawiała z duchem opiekuńczym domu. Gdy otworzyła drzwi, zaskoczony jej przybyciem zerwał się z zydelka i bez słowa wdrapał na legowisko pod dachem. Chciała go przeprosić, załagodzić napiętą sytuację, ale teraz nie miała czasu. Postanowiła, że odłoży to na później. Z ulgą zdjęła mokre odzienie i zawiesiła na sznurze. Otuliła się pledem i pobiegła do owinu po zioła. Zabrała się za ucieranie maści na krosty i pęcherze, do bukłaczków wlała octy nastawione przez Damrokę, uzupełniła zapasy ziół. Wreszcie mogła usiąść, żeby coś zjeść. Czekala, aż nadejdzie noc i przestanie choć na chwilę padać. Musiała pokonać drogę wiedźmim sposobem, bo zwyczajna przeprawa przez wzburzony San była niemożliwa. Spakowała medykamenty oraz ubranie, wtarła w skórę magiczną maść i była gotowa do podróży. W okamgnieniu pokonała drogę do przemyskiego grodu.

Mieszkańcy Przemysła położonego na wysokiej górze nie musieli się obawiać powodzi. Wprawdzie przybierająca rzeka czyniła wielkie szkody, jednak nie obawiano się, że woda zabierze ich chaty lub inne budynki. Oberża na podgrodzium była zatem otwarta dla gości jak zawsze o każdej porze dnia i nocy. Wiedma mogła więc spokojnie w niej odpoczywać do rana. Pobudzona jednak maścią nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Zostawiła swoje rzeczy i kierując się nieracjonalną potrzebą, poleciała nad domostwo Siemowita. Zajrzała do wnętrza chaty, uchylając lekko drzwi. Leżał, obejmując ręką kibić żony. Obudził się i podniósł głowę. Zobaczył ją, ale nie zareagował. A właściwie zareagował, kładąc głowę z powrotem na posłaniu. Zagrzmiało w oddali. Wiedma się wycofała i długo latała wśród deszczowych i burzowych chmur. Poddawała się podmuchom Strzyboga, piorunowy ogień, który w niej płonął, chłodziła w strugach wody. Nie zastanawiała się, czy grzmoty rozbrzmiewają w niej czy poza nią. Błyskawice rozdzierały niebo, a może tylko jej serce. Czowała w sobie burzę. Była nią.

Przed świtem wróciła zmęczona do oberży i runęła na legowisko. Kiedy otworzyła oczy, zbliżało się południe.

Doprowadziła się do porządku, zmyła maść, schludnie ubrała i mimo mżawki ruszyła w stronę zamczyska. Nie zastała jednak knezia. Powiedzieli jej, że udał się na Nesnik w miejsce, gdzie znajdują się kurhany przodków. Miał przeprowadzić ciałopalenie, które odkładano już od trzech dni ze względu na nieprzerwany deszcz.

Zobaczyła go na kurhanisku. Obok niego stali wojowie oraz mieszkańcy podgrodzia. Nie wyglądał na chorego. Był skupiony i poważny.

Pośrodku niewielkich kopców żarzył się stos. Powinien się palić, ale drewno zaledwie się tliło. Powietrze było tak wilgotne, że ogień nie chciał się wzniecić. Nie pomogło zadaszenie ani przyniesienie suchej podpałki. Ludzie nie mogli jednak odkładać ciałopalenia. Wprawdzie zmarły otulony żalnym całunem nigdzie się nie spieszył, jednak trupi zapach ciała sugerował, że najwyższy czas je oczyścić ogniem.

Ludzie przybyli na obrzęd stali w błocie. Dżdżysta pogoda współgrała z ich nastrojami. Ponure twarze wyrażały nie tylko smutek po odejściu członka wspólnoty. W ich oczach czaił się strach. Zaczynali rozumieć, że takich stosów zapłonie więcej. Nieufnie przypatrywali się, czy stojący obok nie mają na twarzy lub na rękach znaków strasznej choroby.

Wiedma podeszła do knezia. Skłonił lekko głowę na powitanie.

– Żmij odmówił pomocy – poinformowała władcę.

Lestek zagryzł wargi. Żerca, widząc ich miny, podszedł.

– Wyprawa się nie powiodła? – upewnił się.

Wiedma potwierdziła ruchem głowy. Kapłan westchnął ciężko.

– Zaczęto się – powiedział, wskazując na stopy. – Cicha zbiera żniwo.

Byli przejęci tak jak pozostali zebrani. Czuli, że wszystko sprzysięga się przeciwko nim. Nawet ciało zmarłego nie płonęło jak należy, jakby bogowie nie chcieli przyjąć jego duszy w Wyraju.

– Swarozyc nieskory do przyjęcia ofiary – westchnął Lestek.

– Bogowie się rozgniewali – orzekł żerca. – Pozwolili, by wody Sanu wystąpiły z koryta.

Lestek, słysząc te słowa, opuścił kurhanisko, obszedł kopiec i stanął na zboczach, bacznie obserwując wzburzoną rzekę. Nawet z tak dużej odległości widać było, że wartkie, rozlewające się na zasańską stronę wody niosą konary, pnie, a nawet bale chat.

Wiedzimir i Wiedma pospieszyli za władcą. Rozumieli jego niepokój. Niewiasta miała jeszcze przekazać wieści o pomorze w Boruszu i przyszłej chorobie knezia. Nie śmiała jednak zapowiadać samych nieszczęść. Przynajmniej nie od razu.

– Trza posłać kogo na Babiniec – odezwał się Lestek. – Niechaj przewrócą babę.

Po drugiej stronie rzeki wznosił się kopiec. Był nieco mniejszy niż ten poświęcony Swarogowi. Nazywano go powszechnie Mogiłą albo Babińcem. Na jego szczycie stała kamienna baba, topornie ociosana rzeźba przypominająca ludzką postać. Nikt nie pamiętał, skąd się tam wzięła i czyjej mogiły pilnowała. Takich bab na brzegu rzeki było kilka: nieopodal w siole Babcicze pod grodziskiem czy w osadzie, gdzie żyli niegdyś Radymiczanie. Była też taka nad Babią Rzeką. Nikt nie wiedział, kto je tam postawił i kto nadał im humanoidalny kształt. Mimo to jednego byli Łędzianie pewni – kamienne baby mogły wpływać na zmianę pogody, o czym ludzie przekonali się wielokrotnie. Trzeba było je tylko przewrócić i tak długo karać tą haniebną pozycją, aż zmiękną im zastygłe serca.

– Osadę garmarzy już zalewa. To mądrzy ludzie. Będą wiedzieli, co zrobić – pocieszył władcę żerca.

– Trza wstrzymać starania o swaćbę – orzekł kneź.

Wiedzimir fuknął niezadowolony. Nie znosił, gdy ktoś psuł jego plany. A Lestek najwyraźniej próbował uniknąć małżeństwa z młodziutką Madjarką.

– Nie jest to konieczne – odparł z wymuszonym spokojem.

– Jakże mamy się przeprawić na drugą stronę? San wzburzony. Łódką nie przepłynię – argumentował kneź.

Wiedzimir westchnął. Zasepiony spoglądał na dolinę Sanu. Nie zwracał uwagi na mżawkę przesiąkającą przez jego odświętną tunikę oraz przez płaszcz. W zamyśleniu targał brodę albo gładził wilgotne, siwe włosy wyglądające jak strugi deszczu. Nie wiedział, co doradzić władcy.

Stos w końcu spłonął, a popiół i kości zebrano do popielnicy. Potem uroczyste umieszczono ją w ziemi i usypano, a raczej ulepiono z błota kopiec sięgający dorosłemu człowiekowi nieco powyżej pasa.

Kiedy obrzęd dobiegł końca, Wiedma przystąpiła do knezia.

– Borusz niezdolny do obrony przed Pieczyngami. Pomór ich pokonał. – Kontynuowała dawkowanie tragicznych wieści.

Lestek poprosił, by ona oraz Wiedzimir udali się do zamczyska. Wolał rozmawiać o szczegółach w suchym odzieniu i przy rozgrzewającym miodzie. Zaprosił również witezi, którzy uczestniczyli w ceremonii. Podczas drogi do siedziby zdążył Wiedmę o wszystko wypytać. Bezbronność mieszkańców o wiele potężniejszego od Przemyśla grodu zaniepokoiła go i to bardzo.

Żerca, wiedźma oraz przedstawiciele rodów usiedli przy ogniu, żeby choć trochę wysuszyć przyklejające się do ciał ubrania. Niektórzy już od dawna na nich czekali, darując sobie moknięcie podczas uroczystości pogrzebowych. Lestek po chwili wszedł przebrany i usiadł na swym ulubionym krześle. Jeden z wojów wniósł dzban pełen miodu.

– Boruszanie wytrzebieni, to i posiłków nie przyprowadzą, by nas wesprzeć. Swaćba z córką Zoltana niemożliwa, bo jak się przeprawić przez wzburzony San? Woda zalewa pola, niszczy wszystko, co napotka. Morowe powietrze zbiera pierwsze ofiary. Co jeszcze nas czeka? – żalił się kneź.

W tym momencie zgodnie z zasadą, że gdy się wywołuje wilka z lasu, on przybywa, tak i tu wszedł woj z Lestkowej drużyny. Był mokry i ubłocony.

– Kneziu, starszozno, Pieczyngowie podchodzą pod Osko i Paclaw. Solarze¹² z okolic chronią się w grodach, zwłaszcza koło Paclawia, no i w Aksmanicach.

– A na Grabniku koło Kopsyna?

– Tam też już zapalili ognie i dają znaki.

– Gorze! – Lestek uderzył pięścią w stół. – Wykrakałem. A raczej kruki nam to wykrakały ongiś. Nieprawdaż, żerczo?

Wiedzimir skłonił lekko głowę, przyznając tym samym rację władcyce.

– Ale nie wykrakały, jak temu zaradzić?

Żerca odchrząknął, pogłaskał długą brodę.

– Jakby miały taką władzę, toby ciebie mogły zastąpić, kneziu.

Wiedma czuła, że dyskusja zaczyna zmierzać w niewłaściwym kierunku. Zamiast szukać rozwiązań, żerca i kniaź chcą się nawzajem obarczyć odpowiedzialnością.

– Znaki trza przekazać dalej. Do Chodakówki, Borusza, ale i do Śliwnicy, Ruskiej Wsi – wtrącił się siwowłoso witeź. Najwyraźniej też chciał, by przejść do działania.

– Ze Śliwnicy już uciekają na wzgórze. Ruska Wieś też już posyła znaki – odparł woj.

– Trza wyznaczyć miejsce chroniącym się u nas. Dajcie broń tym, co się nadają do walki. Jak kto chory, nie wpuszczać. Ratomirze, ty się dobrze w tym sprawisz. – Kneź wskazał jasnowłosego woja.

– Stanisławie – Lestek zwrócił się do jednego z witezów – jak się ma nasze uzbrojenie?

– Odkąd żerca i wiedźma nas ostrzegli, kowal dobrał pomocników. Kuli dzień i noc.

– Aczkoli – przerwał witeź, najstarszy z zebranych – kowal onegdaj zaniemógł. Cicha go zmorzyła.

Wiedma poczuła skurcz w żołądku. Znała kowala i jego rodzinę. Kneź, słysząc tę wieść, poderwał się z krzesła. Podeszedł do żercy. Jego blada twarz znalazła się na wprost pomarszczonego oblicza starca.

– Wiedzimirze, morowe powietrze to twoja rzecz. Ja się zajmę obroną grodu przed Pieczyngami. Spraw się dobrze, bo ludno się tu niebawem zrobi. Aczli cicha się rozhasa, to Pieczyngowie nas zdobędą bez wyciągania szabli i rozdepcą końskimi kopytami.

Wiedzimir wstał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Lestek w końcu odwrócił się na pięcie i zaczął wydawać rozkazy.

– Umyślonych trza posłać pod Osko i Paclaw. Straże, co pilnują brodu, przenieść na wschodnią stronę. Ostawić nad Sanem tylu wojów, ilu jest konieczne. Duszani i Bojko, do Madjarów się przeprawicie. Nie wiem, jak to uczynicie, ale musicie się dostać do Zoltana.

– Pozwól, kneziu – przerwał mu Wiedzimir – że udam się wykonywać swoją robotę.

Tu położył nacisk na słowo swoją. Mówił spokojnie, wydawał się opanowany. Tylko bardziej piskliwy głos zdradzał, że targają nim silne emocje.

– Zanim jednak się oddalę, zwracam się do sławetnej starszyny. – Lekko, prawie niezauważalnie skłonił się zebrany. – Chcecie, by wam Swaróg sprzyjał, złożcie mu ofiarę prześlągalną. I to nie marnego szaraka czy gołębia. Morowe powietrze to nie byle boleść w plecach czy kichanie. To czarna śmierć. Złożymy Jasnemu Panu godną zertwę. Nazajutrz, gdy Dadźbóg ukaże swe oblicze, czekam na was pod chramem. Sprowadźcie konia dorodnego, pierworodnego. Złożymy go w ofierze wielkiemu Swarogowi.

Wiedzimir skłonił się ostentacyjnie i wyszedł z dumnie podniesioną głową. Zapanowała taka cisza, że słyhać było, jak kostur żercy uderza o dranki podłogi.

– Dadźbóg od wielu dni nie chce pokazywać swego oblicza. Kryje się za deszczowymi chmurami. – Uwaga Lestka przerwała ciszę.

– Jutro pokaże – wtrąciła się Wiedma.

Tłumiony gniew żercy, konieczność poświęcenia niezwykle kosztownej ofiary spotęgowały i tak pesymistyczne nastroje.

– Gorzej być nie może – westchnął Lestek.

– Mylisz się – znów odezwała się Wiedma. – Będę czekała w oberży, kneziu. Niebawem mnie wezwiesz.

Wyszła za Wiedzimirem. Spieszno jej było zobaczyć, jak się czuje kowal.

12 Solarz – człowiek zajmujący się wydobywaniem i warzeniem soli.

Żertwa



Wiedma miała rację. Dzień od rana był słoneczny. U stóp kopca oraz na jego zboczach zebrał się tłum. Twarze wszystkich zebranych zwrócone były w górę. Na szczycie przed świątynią stała w kręgu grupka mężczyzn. Dwóch, stojących na wprost wejścia, trzymało za uprząż konia o myszaty umaszczeniu. Zwierzę niespokojnie przebierało kopytami, podrzucało łeb, potrząsając ciemną grzywą. Wiedma szybko wspięła się na szczyt kopca i stanęła przed świątynią. Drzwi były otwarte. Nie śmiała zaglądać do wnętrza. Wkrótce z ciemności chramu wyłoniła się postać Wiedzimira. Siwe włosy spływające na czerwoną tunikę wydawały się bielsze niż zwykle, a zmarszczki wokół ust głębsze. Nie rozglądał się, był skupiony na obrzędzie. Ze srebrnej misy, którą trzymał w dłoniach, unosił się aromatyczny dym. Powolnym krokiem obszedł zebranych, po czym wszedł w środek okręgu i okadził konia. Zwierzę nagle się uspokoiło, jakby ktoś rzucił na nie zaklęcie. Wiedzimir uniósł wysoko nad głowę misę z magicznym kadzidłem.

– Chwała Swarogowi! – Jego głos brzmiał donośnie.

– Chwała! Chwała! Chwała! – odrzyknęli zebrani.

Wszedł z powrotem do świątyni. Po chwili znów stanął w drzwiach chramu. W jednej ręce trzymał za uchwyt misternie zdobiony, drewniany ceber, w drugiej gałązki lipy. Podszedł do składanego w ofierze zwierzęcia, naczynie przekazał stojącemu obok mężczyźnie, wyjął z cebra rzeźbiony czerpak i nabrał nim wody. Liściaste lipowe gałązki znalazły się nad grzbietem konia. Żerca chlusnęła na nie wodą, która ochlapała zwierzę tam, gdzie przebiegała grzbietowa pręga. Koń nawet nie drgnął. Zebrani spojrzeli na siebie znacząco. Wiedzimir ponownie nabrał cieczy i znów przelał przez lipowe gałęzie. Nic. Zwierzę stało jak zakłęte, a ludzie zaczęli się niepokoić. Trzecie chluśnięcie na koński grzbiet i brak reakcji ofiary wywołały niezadowolone pomruki.

Wiedma wraz z innymi czekała, aż zwierzę się otrząśnie. Ciemnopopielaty koń jednak wciąż stał wyjątkowo spokojnie. Tym bardziej było to zadziwiające, że przed okadzaniem trudno go było utrzymać.

Wiedzimir odwrócił się plecami do świątyni i stojącego przed nią zwierzęcia.

– Koń nie otrząsnął się ze świętej wody, co oznacza, że Swaróg nie przyjął żertwy. – Jego głos przypominał dźwięk topora przeslizgującego się po metalowym umbie. Jak to przy takim dźwięku bywa, wywołał powszechny dreszcz.

– Jak to nie przyjął?! Bóg już nam wszystkim śmierć przeznaczył? – Podeszła jedna ze

zgrupowanych kobiet.

- Śmierć każdemu przeznaczona, niewiasto – zimno odparł żerca.
- Co ninie trzeba uczynić?
- Jakiej żertwy czeka od nas jasny Swaróg?
- Morowe powietrze jak nic nas zdusi.
- Czym okupić mamy nasz żywot?
- Może koń nie taki? Skąd on?

Wokół podnosiły się coraz głośniejsze protesty zebranej gawiedzi. Jedni nie dowierzali, inni szukali winnych, pozostali zastanawiali się, jak zaradzić niełasce boga.

– Koń dobry, wybrany, pierworodny – zazgrzytał piskliwie Wiedzimir. – Znać Pan Dni i Nocy chce ofiary godniejszej!

- Żercu najwyższego Swaroga! Chceszli rzec, iż człowieczej krwi żąda nasz bóg?

Wiedma rozpoznała w pytającym żylastego witezia, który obradował ze starszyzną w zamczysku Lestka.

- A znacie szlachetniejszą ofiarę nad ludzki żywot?

Gwar ucichł, jakby zebrani się przestraszyli, że zwrócą czyjąś uwagę i ktoś na nich wskaże. Większość spoglądała w ziemię, bojąc się podnieść wzrok, by nie skrzyżował się ze spojrzeniem żercy.

– Jakeśmy się już ninie zebrali, udajmy się na naradę do zamczyska. Obaczymy, jak zaradzić niełasce bożej! – zawołał najstarszy z rodów.

– A kneź czemu nie przybył? Może przez to żertwa niemiła Boskiemu Panu? – zauważyła głośniejsz jedna z niewiast.

Stojący obok bladej mężczyzna szarpnął ją za rękaw, próbując uciszyć.

- Ofiarę składa żerca, a nie kneź – odparował starzec.
- Po co do zamczyska? Udajmy się na narady pod święty dąb. On ma moc. Wesprze nas – zaproponował witeź, który jako pierwszy się odezwał po smutnej nowinie Wiedzimira. – Wiedmo, żercu – bez was nic nie uradzimy. Przybądźcie, prosimy, na wiec.

Wiedźma odskłoniła się na znak zgody. Wiedzimir westchnął ze zboląłą miną.

Żerca z trudem zasuwał skobel na drzwiach chramu. Wiedma czekała. Mimo że kapłan często ją irtował, czuła się z nim związana. Czy to przez podobieństwo losu? Czy mistyczny kontakt z bogami? A może dlatego, że uratował ją przed upirem?

- Wiedzimirze, a jakby ptaka jakiego złożyć świetlistemu Swarogowi? – zagała.
- Koń to godniejszy dar. Jest wiele wart. Cały gród się na niego składał. A bóg go nie przyjął.
- To kto go ninie weźmie, skoro Swaróg nie przyjął żertwy?
- Jasny Pan nie chciał jego krwi i śmierci, ale koń przeznaczony bogu ludziom służyć nie może.
- Zatem co z nim uczynisz?
- Żywy będzie służył Swarogowi. Ninie przywiązałem go przy mej chacie.

Ruszyli najpierw w stronę domostwa Wiedzimira. Rozległo się krakanie. Chmara kruków zaczęła nad nimi krążyć.

– Widzisz? Na czas żertwy nie przyleciały. Wiedziały, że krew się nie poleje. Za to ludzka ciżba miała dziś zakusy na koninę podczas wieczerzy.

- Ty też wiedziałeś, że Swaróg nie przyjmie żertwy?
- Schlebiasz mi, wiedźmo – odparł lakonicznie.

Pod starym dębem siedziała o wiele liczniejsza gromada niż ostatnio w zamczysku. Młodzi usługiwali starszym, znosili pieńki, składali prowizoryczne ławy, dokładali do ognia. Na wyścielonej baranicką ławeczce zasiadał kneź. Był skulony i blade. Gdy ujrzał nadchodzących, skinął w ich stronę.

– Proszę, zasiądźcie tutaj. – Wskazał na wolne miejsca obok siebie. – Wiedzimirze, żerco ognistego Swaroga, rozprawialiśmy właśnie o tym, czyja ofiara życia zadowoliliby boga. I podjęliśmy decyzję.

Wiedzimir rzucił szybkie, niespokojne spojrzenie i, jak to miał w zwyczaju, potarł swoją brodę.

– Beze mnie urządziliście? To już słowa opiekuna chramu i wróża nic nie znaczą? A jasnowidzącej?

Niepokój, który nim początkowo zawładnął, szybko przekuł we wzburzenie. Ton jego głosu stawał się coraz pewniejszy.

– Lepiej znacie boskie upodobania? Czyńcie tak dalej, to nie tylko cicha i Pieczyngowie was skoszą jak znajdujący się na robocie żeńcy¹³! Może sami jeszcze żertwę złożycie, co?

– Nie sierdź się tak, żerco – przerwał mu Lestek.

Suchy kaszel przez chwilę nie pozwalał mu kontynuować.

– Naszą wolą jest – odchrząknął z trudem – byś ty wskazał na życie, które trza poświęcić Swarogowi, Panu Dnia i Nocy. To urządziliśmy.

Wiedma zauważyła, że Wiedzimir odetchnął z ulgą.

– Nie ja wskażę, ale sam bóg, któremu służę. A po prawdzie już mi wskazał, dlatego tak zamarudził, bom się długo jeszcze modlił w chramie i rzucał patyki wróżebne. I wielki Swaróg wskazał miłą sobie ofiarę.

Wiedźma spojrzała zdziwiona na żercę. Rozmowa z bogiem w głębi chramu była szybka niczym nurt w górskim strumieniu. Wiedzimira długo nie było, bo doglądał nowy świątynny nabytek, poił go i cesał lśniącą, ciemną grzywę.

– Masz, kneziu, przy zamczysku kilku młodych niewolnych – kontynuował kapłan.

– Mam.

– Jest tam jeden taki o kruczych włosach i oczach jak grotty strzał, co to naszej mowy nie znał.

– Jest. Pieczyńskie pewno nasienie.

– Jego wskazał świetlisty Swaróg.

Napięcie zelzało, o czym świadczył wzmagający się gwar. Zebrani poczuli się bezpieczni. Wybór obcego był najlepszym z możliwych. Gdyby żerca wskazał na kogoś z gromady, nikt by nie śmiał się przeciwstawić, jeśli nie Wiedzimirowi, to presji otoczenia.

– Kiegdys, żerco, będziesz gotów złożyć żertwę? – spytał najstarszy z witezi.

– Nazajutrz o świcie. Wiedmo, naparzysz jakowychś ziół na spokojność i napoisz ofiarę, by się godnie zachowywała na czas obrzędu?

Wstała blada.

– Z koniem sobie poradziłeś, szlachetny żerco. – Sarkastycznie podkreśliła przedostatnie słowo.

– Zachowaj staranie, by być przydatną, wiedźmo, bo za dużo gadasz, a za mało robisz – Wiedzimir syknął ostrzegawczo. – Nie ma ludzi niezastąpionych, szlachetna wiedźmo – dodał, przyjmując ten sam ton, co ona przed chwilą.

Wytrzymała jego spojrzenie. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Dreszcz, o którym babka zawsze mówiła, że to śmierć.

– Napoję młodziana, aczli taka wasza wola.

Wyszła z obozu, gdy mrok zniknął rozpraszany przez blade światło rozjaśniające wschodni horyzont.

W porannej mgle przemykały ciemne postacie. Mieszkańcy podgrodzia zdążyli na krwawy obrzęd. Wiedma także ruszyła w kierunku kopca.

Była już przed chramem, gdy na wschodzie ukazała się cała tarcza słoneczna. Wszyscy w nabożnej ciszy witali ją, mężczyźni miętosili w dłoniach czapki.

– Zatoczcie krąg! – usłyszała głos Wiedzimira.

Stał w drzwiach chramu. Trzymał oburącz drewnianą rynnę, gładko wypolerowaną. Dwaj mężczyźni pospiesznie podeszli i przejęli od żery ciężki przedmiot. Ułożyli go na półkolistcie wyprofilowanych pieńkach: wyższym i niższym. Wiedzimir znów zniknął w świątyni. Po chwili wrócił z glinianym naczyniem wyglądającym jak popielnica przeznaczona na ludzkie prochy. Ustawił ją na ziemi przy końcu gładkiego koryta. Wrócił po srebrzystą misę, z której wydobywał się siwy, wonny dym. Czekał.

Krąg wciąż zacieśniany przez kolejnych przybywających na obrzęd nagle się przerwał, wprowadzono młodego niewolnika i koło na powrót się zamknęło.

Miał na sobie tylko białe płócienne spodnie. Ręce związane z tyłu sprawiały, że tors wypinał się nieznacznie. Przez to wydawało się z daleka, że kroczy dumnie, gotowy na śmierć. Jednak jego twarz wyrażała zgoła co innego. Zaciśnięte usta, rozbiegany wzrok, szkliste oczy, liczne świeże otarcia na rękach i szyi. Wiedma czuła jego strach, jakby był jej strachem. I czuła bezradność, którą i on czuł. Nie chciała go dotykać, nie chciała wchodzić w jego aurę. Wyciągnęła dłoń z odkorkowanym bukłakiem.

– Napij się. Odczuli cię.

Młodzieniec chciał się cofnąć, ale trzymający go po obu stronach mężczyźni nie pozwolili na to. Wiedma musiała podejść bliżej. Zbyt blisko. Jego usta były wciąż zaciśnięte. Pogłaskała go po czarnych włosach i niezarośniętym jeszcze policzku. Zabrała jego strach. Przyłożyła bukłak do drżących ust. Pił niczym dziecię karmione przez matkę. Gdy się odsunęła, był już spokojnym, pewnym siebie mężczyzną.

Stanął przy górnym końcu pochylej rynny, na wprost krwawo wschodzącego Słońca. Wiedzimir okadził go, okadził również wszystkich zebranych. Potem polał go wodą z ozdobnego cebra. W tym wypadku nikt nie wyczekiwał, aż ofiara się otrząśnie. To był przecież człowiek, a nie zwierzę.

Mężczyźni trzymający nad nim straż obrócili go i zmusili, by uklęknął. Żerca wy dobył z inkrustowanej pochwy sztylet z wolutową rękojeścią¹⁴. Chwycił młodzieńca za włosy, pochylił i przeciągnął ostrzem po szyi. Trysnęła ciemnopurpurowa krew i popłynęła niespokojną strugą wzdłuż rynny, powoli wypełniając pękate naczynie.

Wiedzimir dał znak pomocnikom, by przejęli od niego ciało ofiary, które drgało w agonalnych konwulsjach. Gdy pojemnik był już pełen, żerca podniósł go. Obryzganę krwią ścianki płamity jego dłonie. Posoka ściekała pod rękawy czerwonej tuniki. Żerca stanął naprzeciw świątyni i uniosł wysoko naczynie.

– Swarogu, który posyłasz Dadźboga, by o świcie i o zmierzchu kąpał się w podniebnej posoce, przyjmij tę krew jako dar. Niech cicha omija ślady posoki przelanej dla ciebie.

Wiedmę wypełniały myśli i uczucia umierającego. Przejęła jego emocje, czuła, jak rozpryskują w jej głowie, piersiach. Osunęła się na ziemię. Nie widziała już, jak żerca podnosi pełne krwi naczynie, jak namaszcza nią czoła i policzki zebranych, jak każe im ją zabrać i naznaczyć drzwi domostw, by cicha je ominęła. Nie słyszała okrzyków ulgi wydawanych przez tłum.

¹³ Żeńcy – żniwiarze.

¹⁴ Nóż wolutowy – nóż, którego rękojeść zakończona jest wolutami, czyli spiralami.

Cicha



D rzwi chat na terenie grodu i podgrodzia umazane były zaschniętą krwią. Nawet bramy wałów obronnych wyglądały jak po jatce. Wiedma nie miała za bardzo kogo odwiedzać, bo wszystkich chorych straża wypędziły daleko poza podgrodzie. Wyjątek stanowił kowal, którego nikt nie śmiał usunąć z chaty, bo tak zdolnego rzemieślnika dawno w okolicy nie było. Jego czeladnicy trudzili się w kuźni, kontynuując prace przy wykuwaniu broni, a on pod troskliwą opieką żony i córki walczył z chorobą. Wiedma doglądała go, przynosiła zioła, maści, instruowała niewiasty, jak mają się o niego troszczyć, i wszystko wskazywało, że uda mu się pokonać cichą, a jego opiekunkom uniknąć czarnej śmierci. Pozostali chorzy nie dostąpili takiego zaszczytu i musieli opuścić miejsca zamieszkania. Dlatego nikt już nie przychodził do Wiedmy z prośbą o zamawianie choroby i uzdrawianie ziołami. Możliwe, że byli i tacy, którzy bali się przyznać, iż dopadło ich morowe powietrze. Panowało jednak powszechne przekonanie o magicznej mocy krwi przelanej w ofierze Swarogowi. Chroniła mieszkańców Przemyśla przed zarazą. Oczywiście pod warunkiem, że choroba nie przywarła do kogoś wcześniej. Jeśli tak się zdarzyło, to cicha wychodziła z człowieka dopiero z ostatnim oddechem, a odbywało się to już poza wałami podgrodzia.

Przemyśl był wręcz zatłoczony, bo coraz więcej osób przybywało na teren grodziska, by schronić się przed koczownikami i skutkami powodzi. Wielu przybyszy utraciło swoje domy i gospodarstwa, uprowadzone przez rozszalałą wodę. Nie mieścili się już w chatach i oberży, tworzyli więc coś w rodzaju obozowiska. Rozkładali swoje rzeczy, rozpalali ogniska, sklecali prowizoryczne ławy, szałas. Wiedma krążyła między nimi. Jej zadaniem było zorientowanie się, czy nie ma pośród wojennych uchodźców oraz powodzian ludzi skażonych morowym powietrzem. Wykonywała to niewdzięczne zadanie z niechęcią, bo zamiast leczyć chorych, doprowadzała do usunięcia ich poza obręb grodziska. Rozumiała konieczność takiej decyzji w obliczu zbliżającego się oblężenia, ale jednocześnie czuła bunt. Wewnętrzny sprzeciw wywoływała też świadomość, że nie wszyscy podlegają temu prawu. I nie chodziło tylko o kowala. Niedługo będzie pielęgnować kolejnego chorego, którego cicha dopadła, zanim złożono krwawą żertwę. Samego knezia. A jego przecież nikt nie wyrzuci poza wały grodu.

Opuściła obozowisko i ruszyła między chaty. Nagle uświadomiła sobie, że wokół panuje cisza. Ptaki zamilkły, psy przestały szczekać, gęsi gęgać, ustał wiatr. Wiedma zobaczyła kobietę w czarnym płaszczu. Jej głowa skryta była w głębi ciemnego kaptura. Gdy podchodziła do którejś chaty, psy

uciekały z podkulonymi ogonami, koty łukowato wyprężyły grzbiety, a kury zamierały w bezruchu. Niewiasta próbowała wejść, lecz powstrzymywały ją krwawe znaki. Krążyła więc od chaty do chaty. Czasem znikala za czymiś plecami, lecz gdy ta osoba przekraczała próg domu, ona pozostawała na zewnątrz.

Wiedma przejęta pobiegła po strażników. Wskazała im niewiastę w czarnym płaszczu. Spojrzeli zdziwieni na siebie i na przerażoną wiedźmę. Jakże mieli pojmać kogoś, kogo nie widzieli. Zakapturzona kobieta, widząc poruszenie, skierowała się na miejsce targowe i wmixszała w tłum. Wiedma straciła ją z oczu. Potem czarny płaszcz mignął między szałasami i naprędce skleconymi ze skór namiotami uchodźców z okolicznych miejscowości. Wiedźma próbowała ją dogonić. Zaniepokojona przechodziła między ogniskami, na których przyrządzano posiłki, rozłożonymi pledami, skórami i śpiącymi na nich ludźmi. Nagle zderzyła się z niewiastą wychodzącą z niskiego szałasu. Czarny kaptur zsunął się jej z głowy. Poznała ją po niezdrowo błyszczących oczach i skórze, która żyła własnym życiem. Widziała ją owej pamiętnej nocy u boku Bolebora przed wyprawą do Borsusa.

Dziewczyna wyciągnęła w jej kierunku dłoni i cofnęła, jakby się oparzyła. Spojrzała z nienawiścią na amulet przedstawiający hystere¹⁵ z węzowymi włosami. Skrzywiła się z obrzydzeniem, odwróciła i zaczęła biec, objając się o ludzi. Ci, nie widząc jej, rozglądali się zdezorientowani. Wiedma ruszyła za nią. Na próżno. Dziewczyna była szybka niczym wiatr.

Przed zmierzchem zawołano Wiedmę do chorego niemowlęcia. Człowiek, który po nią przyszedł, prowadził ją między szałasami i ogniskami, przy których ludzie układali się do snu. Mężczyzna wyglądał niechlujnie. Co chwila podciągał opadające spodnie albo przyglądał tłuste włosy, przyklejając je do łysiny na czubku głowy. Wreszcie zatrzymał się i uniósł skórę dzika służącą jako wejście. Poznała ten szałas. W środku w drewnianej kołysce kwiliło czerwone od płaczu i gorączki dziecko.

– Wyście jego rodzic? – spytała.

Przyklepał rzadkie włosy i westchnął.

– Dziad. Ojca dziecięcia nie wpuścili. Wiadomo, z jakiej przyczyny.

Dziecko nie przestawało płakać. Było tylko coraz bardziej czerwone. Wiedma dotknęła go. Jego skóra aż parzyła.

– Dajcie ceber chłodnej wody, a chyżo! – rozkazała.

Zanim dziad wrócił z wodą, zaklinała chorobę, ale nie spodziewała się, że zaklęcia okażą się skuteczne. Dziecko było malutkie, osłabione, głodne i trawiła je wysoka gorączka. Praktycznie nie widziała jego aury. Zdjęła żmijownik i położyła na piersiach maluszka. Wsypała maku do pieluszki, zwinęła w kukielkę i włożyła dziecku do ust. Ucichło.

– A matka? On jest pewnikiem głodny – dopytywała, zanurzając chłopca w cebrze wody.

Wypluł gałganek i znów dawał znać wniebogłosy swoje niezadowolenie.

Mężczyzna podrapał się po łysinie, znów westchnął, zrobił krok w stronę ściany szałasu i sięgnął po leżące na ziemi futrzane nakrycie. Zdecydowanym ruchem je podniósł. Na gołej ziemi leżała martwa niewiasta. Miała otwarte, zmętniałe oczy i wykrzywione usta, jakby płakała w momencie śmierci. Jej ciało pokryte było ciemnymi grudkami.

– Ukrywaliśmy ją.

– Sprawcie jej godny pochówek ciepłalny na kurhanisku. To nie szczur, którego można rzucić gdzie bądź. I spalcie te wszystkie rzeczy z szałasu.

Otuliła chłopca płótnem i futerkiem, którym wyścielona była kołyska.

– Zajmę się małym, aczli rodzanice pozwolą mu żyć, oddam z powrotem. Skąd jesteście i jak was

wołają?

– Przywit z Przekopanej.

– Przywicie, masz każdego dnia o jutrzni przynosić kozie mleko dla wnąka. Będziesz podawał strażnikowi na zamczysku.

Nie mogła zostawić tu tego chłopca, musiała go ratować, ale też nie miała pomysłu, jak to zrobić. Oserek pił dotąd jedynie mleko z piersi matki. Jego ciało było jeszcze zbyt wątłe, aby walczyć z tak potężną chorobą. Pomyślała o swoich rodzicach. Mieszkali po drugiej stronie Sanu, mogłaby tam polecieć za pomocą maści czarownicy i wziąć z sobą chłopca. Jednak szybko odrzuciła tę myśl. Dziecko było chore. Nie mogła narażać rodziców i młodszych sióstr. Pamiętała, co jej Caryczka powiedziała o uzdrawiającym oddechu żmija, i zastanawiała się, czy nie polecieć do Żmigrodu i poprosić Czarnego Żmija o pomoc. Ten jednak miał się udać z Jaropełkiem do Żmijowego Siedliszcza, zatem podróż byłaby bezowocna, a i niebezpieczna dla malucha. Rozważyła też wezwanie Loty, ale ptasia wiedźma obawiała się cichej i sama mówiła, że nie umie sobie radzić z tą chorobą. Najlepiej byłoby poprosić o pomoc Dobromiłkę. Nie miała jednak przy sobie gołębi, by je posłać. Tak mocując się z myślami, dotarła do zamczyska. Wszyscy ją znali, nikt nie zatrzymywał, o nic nie pytał.

– Wiedmo! – zawołał jeden z przybocznych przemyskiego władcy. – Kneź kazał cię szukać. Zaniemógł.

¹⁵ Hystera – macica; głowa z węzami zamiast włosów symbolizuje macicę, którą według dawnych wierzeń miał każdy człowiek i w dużej mierze od niej zależał jego stan zdrowia.

Wyrządzone zło powraca



Kneź zmorzony gorączką i bólem głowy oraz całego ciała leżał otulony wzorzystym pledem. Patrzył na Wiedmę, jak się krząta, coś przelewa, mamrocze pod nosem.

– Wiedziałaś. Prawiłaś, że będzie gorzej, a jam ci nie wierzył. – Rozkaszał się na dobre i obudził śpiące nieopodal dziecko.

Do małego podeszła Dobromiłka i wzięła go na ręce. Dziecko uspokoiło się od razu, jakby je napoił sokiem z maku.

– Twoje dłonie, wiedźmo – tym razem zwrócił się do jasnowłosej. – Od nich lepiej się oddycha.

Niewiasty nie były skore do rozmów. Nieprzespana noc dawała się teraz o poranku we znaki. Wiedma dzięki maści czarownic sprowadziła Dobromiłkę i przez resztę nocy wspólnie ratowały życie niemowlęciu. Teraz musiały jeszcze się zająć kneziem.

Oprócz ziół, których Wiedma używała w Boruszu, miały przygotowany odwar z korzeni strzygoniowego ziela. Dobromiłka twierdziła, że jego siła nie jest podwójna czy potrójna, lecz dziewięciokrotna.

Wiedma nie chciała niczego zaniedbać. Troszczyła się o knezia, jakby był jej ojcem, i o chłopca, jakby był jej synem. Pomogła choremu usiąść i podała odwar.

– Zabierze mnie czarna śmierć? – zapytał, odrywając usta od kubka.

Patrzył błagalnie na jasnowidzącą. Bał się. Wiele razy narażał życie w walce, ale nigdy nie odczuwał strachu tak mocno jak teraz.

– Nie wiem. Kiedy Perun rozświetlił swym światłem mroki przyszłych losów, powiem ci.

Ostatnio w swych wizjach widziała Borysława z Borusza, a nawet madjarskiego wodza Zoltana. Knezia Lestka nie. Mógł to być powód do zmartwienia, ale też nie odbierał nadziei.

Kubek z resztką odwaru wysunął jej się z ręki i upadł na ziemię. Zakłęła cicho. Zmęczenie dawało jej się we znaki. Nie wynikało ono tylko z nieprzespanej nocy. Przywit, nie wiadomo z jakiej przyczyny, nie przyniósł rano mleka, a dziecko było wygłodzone. Zawiesiła więc na powrót żmijownik na szyi i udała się na podgrodzie do tych, którzy hodują kozy. I wtedy ich zobaczyła. Siemowita i Lubomirę. Podobnie jak inni opuścili swoje nowe domostwo i szukali schronienia w przemyskim grodzie. Będzie ich teraz spotykać. Ta świadomość ją rozstrajała, nie pozwalała w pełni się skupić na wytyczonych działaniach.

– Należy mi się – szepnęła mimowolnie.

– Wynagrodzę cię – odparł zdziwiony Lestek.

Zamrugła zdezorientowana. Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, o czym mówi do niej kneź. Machnęła ręką.

– Ja nie o tym. Należy mi się... posłuch. Ninie będziesz robił wszystko, co ci powiem, byśmy cichą precz przepędzili.

Wspólnie z Dobromiłą skupiły się na zaklananiu choroby. Tymczasem strażnicy i przybocznicy z drużyny co rusz przerywali im, przynosząc przełożonemu nowe wieści. Wiedma w końcu zamknęła niewielką izbę od środka i zabroniła Lestkowi uczestniczyć w obradach, aż wszystkie magiczne działania zostaną należycie przeprowadzone.

Gdy skończyły, narada trwała na dobre. Witezie oraz drużynnicy byli zaaferowani. Władca otulony płedem wszedł do sali i zasiadł w pewnej odległości od pozostałych.

– Kneziu – odezwał się siwy witeź – mamy wieści. Pieczyngowie złupili siola wokół Oska i Paławia. Przejęli uwarzoną sól i cały pozostawiony przez solarzy dobytek. Mieszkańcy bronili się, robiąc krótkie wypadki z grodzisk, ale na próżno. Wały Oska od południa zdobyte. Płonące strzały niestrudzenie lecą na częstokół okalający główne grodzisko. Lada chwila upadnie.

– A Paław?

– Wspierają Osko, ale Pieczyngów jest siła.

– Ile?

– Kilka setek konnych, a jeszcze ciągną następni z Lasu Pieczyńskiego.

– Są szybcy jak wichur – dodał drugi witeź.

– Może Aksmanice dadzą im opór – łudził się kneź.

– Mamy tam niewielu zbrojnych, reszta to ino gospodarz i solarz.

– Poślemy wsparcie do Aksmanic. Pancernych i tarczowników. Co wy na to, witezie?

– Nie wiadomo, jak to przyjmą. Wiedzą, iż u nas cicha grasuje.

– Niech nasi nie wchodzą do grodu, tylko uderzą z boku, gdy Pieczyngowie będą łupić pobliskie siola. Bogate są osady solarzy, pewnikiem najeźdźcy będą chcieli się obłowić. Lepiej tam ich zatrzymać niż czekać, aż wypalą gród po grodzie, po każdym rosnąc w siłę dzięki zdobyciom. – Rozkasał się kneź na dobre i ucichł.

– A i z większą chęcią solarze i okoliczni osadnicy będą daniny składać na utrzymanie drużyny – dodał jeden z doradców.

Zebrani byli poruszeni propozycją. Jedni widzieli w niej szansę na zwycięstwo bez wielkich ofiar, inni powątpiewali.

– A jak odbiją na Kopyšno? – spytał krępy witeź ze szramą na podbródku.

– Tam też pilnują nasi – wtrącił jeden z drużynników, zwany Gniewomirem.

– Mnie się widzi, iż Sólcy nie pominą. Toż tam osada zacna, dobrze im się wiedzie. Mają swój kopiec i chram – wyraził swoje zdanie inny ze starszyzny.

– Kneź słusznie prawi. Trza zbrojnych posłać i zatrzymać atak – ocenił jeden z dowódców drużyny.

– A jak nie poradzą zbrojni pod Aksmanicami, to kto nas tu będzie bronił? – spytał żylasty, długowłósy witeź.

– Swaróg – wtrąciła się Wiedma.

– Wiedzimira nie ma pośród nas. Mądry z niego żerca, radzi byśmy posłuchać, co on ma do powiedzenia – dodał najstarszy z witezi.

– Kneź go uraził, kto wie, czy zechce radzić z nami – fuknął któryś z zebranych.

– Pójdę nazajutrz pod chram i poproszę go o przybycie – zaofiarowała się Wiedma.

Kneź, wciąż zasłaniając twarz pledem, dodał:

- Rzeknij mu, iż go o wybaczenie proszę. Niepotrzebniem się uniósł.
- Ninie trza uradzić, co czynić, bo czas chyżo umyka – zauważył najstarszy mężczyzna. – Pieczyngowie są jak bystra woda Sanu. Pędzą i wszystko, co na ich drodze, zabierają.
- Poślijmy zbrojnych! – zawołało kilku.
- Niech tak będzie – przytaknął kneź. – Trza pierwiej wysłać umyślnych do Aksmanic i Sólcy, a ciężkobrojni niech się szykują do drogi. Swarogu, miej nas w swej opiece – dodał z westchnieniem.

Wiedzmy wraz z niemowlęciem zajęły chatę na terenie zamczyska. Kneź chciał je mieć blisko. Dziecko w troskliwych ramionach Dobromiłki było spokojniejsze. Pozwalało się poić wszystkimi gorzkimi specyfikami oraz smarować maściami. Kneź, podobnie jak malec, miał już pierwsze ciemnoczerwone krostki na ciele i równie pokornie poddawał się wszystkim wiedźmowym zabiegom. Jego organizm walczył. Może sił mu dodawało poczucie odpowiedzialności za ludzi, którzy tłumnie napływali do grodu? Może tak zadziałało strzygoniowe ziele, które latem wygląda jak słońce? A może wyjątkowa troska wiedźm?

Wiedma przed wyruszeniem do żery udała się jak co dzień na teren grodziska i podgrodzia. Miała sprawdzić, czy cicha do kogoś nie przywarła na dobre. Szła przez majdan i rozglądała się zaciekawiona, bo dużo się na nim działo. Każdy mężczyzna, który przybył za przemyskie obwarowania, był zobowiązany do porannej zaprawy. Teraz Wiedma mogła ich zobaczyć, jak trenują. Wokół stały niewiasty i podobnie jak ona spoglądały na swych przyszłych obrońców z niekłamanym zainteresowaniem. Wśród trenujących był też Siemowit. Mimo że jego główne zajęcie stanowiła uprawa roli, potrafił równie zwinnie władać włócznią jak cepem. Jego żyłaste na wpół obnażone ciało wzbudzało zachwyt młodych dziewcząt szepczących i chichoczących nieopodal. Widział to i starał się zwinnymi ruchami wywołać jeszcze większe wrażenie. Co rusz zerkał na młódki i sprawdzał efekt swych popisów. Wiedma spojrzała na niego z ukosa. Włócznia podczas wymachu wbiła się grotem w ziemię, a Siemowit stracił równowagę. Dźwięczny śmiech dziewcząt zabrzmiał jak szyderstwo. Wiedźma po cichu się oddaliła.

Przed wyruszeniem do Wiedzimira chciała wziąć z oberży jakiś poczęstunek dla żery, znając jego słabość do dobrego jedzenia. By tam dotrzeć, musiała przejść przez obozowisko, gdzie przebywali uchodźcy z okolicznych osad. Postanowiła też się rozmówić z Przywitem.

Obóz uciekinierów powiększał się z dnia na dzień. Wiedma weszła między niewiasty. Gotowały posiłki na ogniskach, przy skleconych ławach mięsiły ciasto na podpłomyki, gwarzyły, trochę żartowały, choć wcale nie było im do śmiechu. Dotarła do miejsca, gdzie stał szałas, z którego zabrała nocą dziecko. Została po nim tylko zmięta trawa.

– Przywit na kurhanisku żegna córkę – wyjaśniła niewiasta z sąsiedniego szałas. – Zabroniliśmy mu tu wracać. On przecie będzie następny.

Wokół były prawie same niewiasty, bo mężczyźni szkolili się do obrony grodu. Zobaczyła Lubomirę. Właściwie to żona Siemowita ujrzała ją wcześniej i właśnie szła ku niej. Patrzyła na nią jakoś dziwnie, z żalem, pretensją.

– Siemowit miał tyle odwagi, że wyznał mi, iż się z tobą spotykał – powiedziała, gdy stały już bardzo blisko siebie.

Lubomira patrzyła na nią oskarżycielsko, wręcz z nienawiścią. Wiedma czuła się niezręcznie. Nie rozumiała, dlaczego były kochanek powiedział o nich żonie. Co go skłoniło, by wyznawać takie rzeczy, gdy już dawno nic ich nie łączy? Nie starczyło jej odwagi, by o to zapytać.

– Dawno to było. Nic dla niego nie znaczę.

– A ja do ciebie, głupia, przyszedłam pomocy szukać. Wiedźma to wiedźma. Nie można takiej dawać wiary.

Pomyślała, że może Siemowit się domyślił, co zrobiła jego żonie, i nie radził sobie z wyrzutami sumienia. Dlatego wyznał jej wszystko. Speszona chwyciła mimowolnie za gemmę wiszącą na szyi. I wtedy przysła jej do głowy pewna myśl. Zdjęła piękny wisior z heliotropu i podała Lubomirze.

– Nie chcę twego nieszczęścia. Zaklinam się na Kościeja. Weź tę gemmę. To żmijownik. Chroni przed morowym powietrzem. Daje też płodność. Mnie on na nic.

Lubomira była zaskoczona. Nie spodziewała się takiego obrotu sytuacji.

– Nie chcę! Boję się ciebie i wszystkiego, co od ciebie pochodzi. Bądź przekłeta! – Odwróciła się i odeszła, zostawiając Wiedmę z wyciągniętą ręką i niechcianym podarkiem. Na wypukłej stronie gemmy głowa okolona wężami poruszyła się niespokojnie.

Niewiasty obserwujące całe zajście pokazywały na nią, szepcząc coś do siebie. Speszona zawiesiła na powrót swój cenny amulet i ruszyła w stronę Kopca Swaroga. Zapomniała nawet zabrać posiłek dla żercy.

Kruki jak zwykle krążyły nad wzniesieniem. Nie zwracała jednak na nie uwagi. Nad kurhaniskiem unosił się dym ze stosów ciałopalnych. Tam też nie skierowała kroków. Uznała, że Przywit sam ją znajdzie, gdy będzie chciał. Szła, nie zatrzymując się. Wreszcie zmęczona i zasapana usiadła na niewielkim placyku przed chramem. Zaczęła się zastanawiać, czy widać jeszcze na ziemi ślady krwi chłopca, i to ją skutecznie poderwało na nogi. Chram był zamknięty. Przeszła więc wzdłuż świątyni i zbiegła w stronę chaty Wiedzimira. Nieopodal paś się koń Swaroga.

Wiedzimir spożywał posiłek. Nie wyglądał na zachwyconego widokiem gościa.

– Co szlachetna wiedźma szuka u tak okrutnego oprawcy? Czyżby kneziowi się pogorszyło, bom zaniechał czego jako żerca?

– Daj pokój, Wiedzimirze. Nie sierz się na mnie. Uczyniłam wszystko, co chciałam.

– Ale z jaką łaską. A owo omdlenie zaiste było wruszające.

Od czasu złożenia w ofierze pieczyńskiego niewolnika nie rozmawiali z sobą. Miała wrażenie, jakby jakiś niewidzialny mur wyrósł między nimi. Kapłan odczuwał jej niechęć, ale nie zabiegał o przychyłność. Czuł się wręcz rozczarowany brakiem zrozumienia.

– Moje ręce ścierały pot tego człeka, a serce przejęło jego strach. Tam nie sam strach był, żerco. Tam była i nienawiść. Ciemna jak noc w nowiu. – Próbowała wyjaśnić, co się z nią działo owego poranka.

– Niemiła ci nienawiść – mruknął, przełykając kolejną łyżkę soczewicy.

– Tako i z tej przyczyny przyszedłam cię prosić o wybaczenie.

Spojrzał na nią zaskoczony. Wahał się. Nie był pewien, jaką przyjąć teraz strategię. Nie spodziewał się, że przyjdzie się kajać.

– Wiedzimirze, kneź bez sił jest, morowe powietrze go skaziło, odpoczynku mu dużo trzeba.

Żerca przerwał posiłek. Odstawił naczynie i rzucił łyżką. Najwyraźniej stracił apetyt.

– No tom się nie sprawdził – wycedził.

Usiadła obok starca. Chciała go uspokoić i zjednać.

– Nikt tak nie rzekł. Ludzie są ci wdzięczni. Do chat naznaczonych krwią ofiarną cicha nie wchodzi. Wiedziałam to. Krwawe znaki ją odstraszą. Knezia powietrze dopadło, zanim złożyłeś żertwę.

Wiedzimir spojrzał na nią zagadkowo, ale nic nie powiedział. Tylko otarł usta i strzepnął z brody resztki jedzenia.

– Tyś człek mądry i przemyślny – kontynuowała Wiedma – witezie cię proszą o przybycie do grodu,

bo twe rady więcej warte niż cały skarbiec Lestka.

- Miałem się zająć swoimi sprawami, a nie mieszać do obrony grodu.
- Kneź kazał ci rzec, iż szczerze żałuje tych słów i prosi o twe cenne rady.
- Dzień przepraszania – mruknął.

Wiedma przyznała mu rację, choć miała świadomość, że przepraszanie z wybaczeniem niekoniecznie chodzą w parze.

- Jak się ma kneź?
 - Nie jest dobrze, ale całkiem źle też nie. Z Dobromiłką roztoczyłyśmy nad nim opiekę. Ugodowy się bardzo zrobił. Jak nie on.
 - Tak bywa, kiedy człek doświadczy dużo złego.
 - Życie pokory uczy. Żerco, nie sierz się już na niego ani na mnie. Gdy człek co złego uczyni, potem żałuje.
 - Uczynione zło zawsze powraca – skomentował enigmatycznie.
- Poczuła się nieswojo. Pomyślała o Lubomirze. Miała nadzieję, że z dobrem też tak jest.

Dary



Nie może być! Dalemir?! Nikt z nim nie mógł się równać w walce! – perorował wzburzony Lestek. Opadł na ławę i z wysiłkiem oddychał. Wiedma miała przygotowany uspokajający napar z dziurawca i chmielu, więc podała kneziowi.

– Nawet najlepszy nie uchylił się od gradu strzał – odparł ze smutkiem młody woj, który przybył z najnowszymi wieściami.

Był wysoki, chudy. Miał pociągłą twarz, a długa broda czyniła ją wręcz nienaturalnie podłużną. Nie zdążył zmienić stroju po podróży, więc po sali rozchodziła się woń potu i krwi.

– Opowiadaj po kolei – sapnął Lestek.

– Pieczyngowie rabowali i palili Uhelniki w dolinie Wiaru. Skryci w borze nieopodal Sólcy zjechaliśmy na nich ze wzgórza i zepchnęliśmy w rzekę. Gdyśmy uderzali z prawej, od góry ruszył atak z Aksmanic. Rabusie nie spodziewali się tyłu zbrojnych. Ich głowy wpadały w nurt Wiaru, martwe ciała były niczym pomost dla napierających. Jużeśmy myśleli, iż Paclaw odbijemy. Weszliśmy w rzekę. Aż nagle ze wzgórza naprzeciw posypały się strzały. Jakby grad w duszny dzień. Dalemir był jednym z pierwszych, nie zdążył się osłonić.

Kneź kręcił głową z niedowierzaniem. Trudno mu było się pogodzić z porażką i ze stratą jednego z najlepszych wojów.

Posłaniec starał się zachowywać spokój, choć głos mu drżał. I nie tylko głos. Zaciskał dłoń na obuchu topora zawieszzonego przy pasie, aż zbieleły mu palce. Drugą trzymał połą przeszywanicy. Gdy puścił, nie mógł powstrzymać drżenia ręki.

– Byliśmy jak na tarczy, a oni ukryci za drzewami. My trafialiśmy w konary, oni w nas. Musieliśmy się wycofać.

– Kto przejął dowodzenie?

– Mściwój.

– Mściwój nie poradzi. Muszę tam jechać. – Kneź podniósł się z trudem, zatoczył, jakby był pijany, i podparł rękami.

– Chyba straszyc czarną śmiercią – wtrąciła się Wiedma. – Ostaniecie na zamczysku, póki nie wydobrzejecie.

Kneź się nawet nie oburzył, mimo że niewiasta w obecności podwładnego woja ośmieliła się nim

komenderować. Jego kostropata twarz i kostropate dłonie wyglądały, jakby ktoś je skropił dziegciem. Wyszuszone maścią krosty szpeciły piękne niegdyś oblicze przemyskiego władcy.

- Gdzie stacjonujecie?
- W Gruszowej pod grodziskiem.
- Wezwij Duszana. Pojedziecie razem z rozkazami.

Wiedma udała się po zapasy mleka dla dziecka. Malcem z ogromnym poświęceniem zajmowała się Dobromiłka, ona jej jedynie pomagała. Wróciła późnym popołudniem.

Widok, który ujrzała po powrocie na zamczysko, był skuteczniejszy niż nalewka z dziurawca zbieranego o pełni. Od razu poprawił jej humor. Wiedzimir z kneziem pochylali się nad drewnianym stołem. Lestek nożem wskazywał rozmieszczenie wojsk, grodzisk, pagórki i cieki wodne na mapie, którą wyrzył w deskach służących jako blat. Władca znał doskonale okoliczne tereny. Jeździł tam nie tylko na polowania, ale i po daniny, za które ręczył mieszkańcom osad opieką. Jego ludzie budowali umocnienia tamtejszych grodzisk.

– My po jednej stronie wzgórz, oni po drugiej. Dolina Wiaru jest wąska. Nie ośmielią się ruszyć w górę rzeki łupić solarzy, bo ich zgnieciemy w jarze. Ale jak pójdą z nurtem rzeki, to od Sólcy na wschód szeroka łacha, rozciągną jazdę i nic ich nie zatrzyma do samego Przemysła.

- Wtedy ino Swaróg może nas ochronić – westchnął Wiedzimir.
- Mściwój i Świątosław, co dowodzi grodem w Aksmanicach, nie mogą ich wypuścić. Kopiec na Sólcy i pobliskie wzgórze muszą być mocno obsadzone.

Wiedzimir podniósł się ciężko z ławy i zaczął spacerować, jak zwykle tarosząc długą brodę. Wiedma przyglądała mu się. Ze zdziwieniem skonstatowała, że schudł.

– Aczli będą szli na północ, to wejdą prosto na chram Swaroga. Nie można dopuścić, by zbezczeszili święte miejsce – wyraził swe obawy.

– Piesi mogliby tamtędy się przedzierać, ale nie konnica. Nie obawiaj się, zercu, moją powinnością jest roztoczyć opiekę nad miejscem świętym. Niechaj Swaróg nam sprzyja.

Wiedma widziała w swej ostatniej wizji wrogi oddział mężczyzn. Mieli skórzane czapki z wywinętymi na wierzch futrzanymi płatami. Łuki i kołczany pełne strzał nie wróżyły nic dobrego. Lekko skośne oczy spoglądały poządliwie na świątynię górującą nad całą okolicą. Podzieliła się swą wizją z zercą, gdy była u niego.

– Wiedma widziała, jak się szykują, by złupić Swarogowy chram. – Wiedzimir oczekiwał konkretniejszych działań a nie obietnic.

– A widziałaś, jak go łupią? – kneź zwrócił się do Wiedmy.

Zaprzeczyła. Nie przyznała się, że widziała też knezia na koniu, z ospowatą twarzą przypominającą rzeszoto¹⁶. Dowodził. Obawiała się, że gdy mu to powie, władca spokojny już o swój los przestanie dbać o zdrowie.

– Poślę ci, Wiedzimirze, oddział łuczników. Będą dzień i noc strzec chramu oraz ciebie.

Zmarszczki na twarzy zercy złagodniały. Zadowolona go decyzyja knezia.

– A kruki co mówią? – zapytał Lestek.

– Niezmiennie wróżą wojnę. Wielką wojnę. Czeka ją na ludzkie mięso rozdarte i pachnące krwią.

– A truchła ludzkiego przeżartego przez czarną śmierć nie ruszają.

– Człowiek skażonego ścierwa też się nie czepi, ino spożywa świeżo ubite – mruknął Wiedzimir.

– Ostańcie, zaraz będę z powrotem. – Książ wstał i zmęczonym krokiem ruszył ku drzwiom.

Po chwili wrócił i wysypał na stół zawartość sakwy. Były tam srebrne, misternie inkrustowane

bransolety, szerokie na cały przegub dłoni, dwa pierścienie przypominające owijające się na palcu węże, zausznicze ozdobione kulistymi guzami i lunula.

– To moja żertwa dla Swaroga. Wiedzimirze, złóż ją ode mnie i proś, bym zginął w walce, a nie w łożu zżarty przez czarną śmierć. A to – położył kolejny mieszek na stole, nie wysypał jednak jego zawartości – złożysz bogu, kiedy pokonamy wroga.

Wiedzimir spoglądał zdumiony na skarb. Nawet Wiedma, choć niełasa na błyskotki, dotykała srebrnej biżuterii niemal z namaszczeniem.

Pomyślała, że jeśli więcej jest takich skarbów w świątyni, to istotnie koczownicy zrobią wszystko, by się do nich dostać. Chcąc nie chcąc, uczestniczyła w licznych naradach w zamczysku i miała już pewne wyobrażenie o Pieczyngach, bo kneź zbierał na ich temat wszelkie informacje. I te ważne, i te z pozoru mniej istotne. Wiedziała więc, że jako plemię łupieżcze, gardzące uprawą roli, osiedlaniem się, cenią piękne przedmioty, którymi można ozdobić siebie, swoją ukochaną lub które można po prostu załadować w juki.

– Wiedmo – do sali zajązła strażnik – Siemowit prosi, byś wyszła do niego.

Serce zabiło jej mocniej. Poczwała jakiś ucisk gdzieś w głębi piersi. Obawiała się. Przeczuwała, że jego przybycie nie zapowiada nic dobrego.

Wiedzimir na tę wieść zaczął skrzętnie zbierać skarby do sakwy, choć wcale ani on, ani kneź nie mieli zamiaru prosić gościa do środka.

Wyszła z wieży i rozejrzała się wokół. Pod częstokołem stał zgarbiony człowiek. Rozpoznała w nim Siemowita, lecz zdziwiła ją zmiana w jego wyglądzie. Niedawno go przecież widziała. Ukłonił się i czekał, jakby się obawiał podejść. Sama więc ruszyła ku niemu.

– Wzywalesz mnie.

Patrzył na nią jak zranione zwierzę, które domyśla się, że jego los się dopełnia.

– Lubomirę dopadło morowe powietrze. Wyrzucili ją z obozu. Nie ma wstępu nawet na podgrodzie.

– Przeciem ją wczora widziała.

Cała rozmowa z żoną Siemowita znów stanęła jej przed oczami. Zdziwienie, upokorzenie, poczucie winy, żal to uczucia, które nigdy jej nie pozwolą zapomnieć o tym spotkaniu.

– Wczora tak było, dziś odesłali ją za wały, by tam czekała na śmierć – odparł.

Był przejęty. Źle wyglądał. Starzej. Jego pewność siebie i buta gdzieś zniknęły. Stał lekko pochylony, zgaszony jak zużyta świeca, jakby płomień się w niej wypalił.

– Wie, żeś do mnie przybył? – spytała.

– Wie, ale nie chciała, bym cię prosił. Jestem tu wbrew jej woli.

– Aczli opuszczę gród i przybędę do niej, pozwoli, bym ją uzdrawiała?

Spuścił głowę. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Trza było pomyśleć, zanim jej nabajdurzyłeś o naszych spotkaniach – syknęła. – Chciałam jej dać zmijownik dla ochrony przed zarazą. Nie wzięła.

Ujęła w palce wisiorok z heliotropu i wysunęła do przodu, eksponując go.

– To moja jedyna rzecz po kimś, kogo miłowałam. Przywieziona z dalekiego Bizancjum. Nie wiem, gdzie to, ale barzo daleko. Żaden skarb, nawet z chramu Swaroga, nie jest tyle wart, co ta gemma. Zaklęcie na niej wryte uzdrawia i daje płodność. Lubomira jej nie wzięła.

Był zmieszany. Nie patrzył jej w oczy. Spoglądał to na magiczny zmijownik, to na swoje przybrudzone buty.

– Nie jestem już na twoje zawołanie – kontynuowała Wiedma. – Aczli Lubomira mnie zawezwie, wtedy przyjdę. – Odwróciła się i ruszyła w stronę zamku. Nie obejrzała się.

– Wiedmo! Na Peruna! Wiedmo! Oddam ci wszystko, co mam! Parobkiem twoim останę. Tylko odbierz ją czarnej śmierci!

Weszła do zamku, nie oglądając się za siebie.

Leżała w chacie obok Dobromiłki i kołyski z małym chłopcem. Świtało. Szpary w chacie przybierały jasnoszarą barwę. Próbowwała skupić na nich uwagę, by przerwać rozmyślania. Nie mogła zasnąć po widzeniu, które zawiadnęło nią w środku nocy. Myślała o przyszłości i o przeszłości. O błędach, które popełniła. O dobrych uczynkach. O przeznaczeniu.

Doszła do wniosku, że już nie zaśnie. Wstała niechętnie, odziała się i wyszła z chaty. Gród był uśpiony, zatłoczone podgrodzie, o dziwo, również. Tylko strażnicy spacerowali i od czasu do czasu pohukiwali do siebie z oddali, przekazując umowne sygnały.

– Gdzie posyłacie chorych na morowe powietrze? – zapytała przy bramie podgrodzia.

– Jak najdalej – mruknął nieżyczliwie strażnik.

– Nie ma dla nich przeznaczonego miejsca?

– Nie. Dość trosk mamy z tymi tutaj.

Opuściła podgrodzie i udała się w stronę kopca. Po chwili usłyszała znajomy terkot. Kruki już szybowały nad nią.

– Krako! Krako!

Jeden z kruków obniżył lot. Po chwili spacerował tuż obok niej, z zaciekawieniem przekrzywając czarny łebek.

– Krako.

Wiedma przykucnęła i wyciągnęła w jego stronę dłoń. Zatrzepotał skrzydłami i usiadł jej na ręce.

– Pomnisz, żeś znalazł mnie i Siemowita? On i jego żona są poza grodem. Najdź ich, proszę, i zaprowadź mnie do nich. Pójdę pod chram się pomodlić i będę czekała.

Kruk odleciał. Za to z okolic zaczęli się schodzić ludzie. Nieśli dary dla Swaroga. Mężczyźni dzierżyli niczym świętość żelazne przedmioty: podkowy, toporki. Dzieci niosły gołębce, przepiórki. Niewiasty pieczołowicie ułożone w koszach sery, jajka, ale i kolorowe krajki, chusty, szklane bransolety. Składali ofiary przed chramem i prosili o zdrowie, urodzaj, szczęśliwy powrót do domostw, zwycięstwo nad wrogiem, oddalenie niebezpieczeństw i wszelkiego zła.

Wiedma jak zwykle nic nie wzięła, by złożyć w ofierze. Speszona dotknęła gemmy spoczywającej na jej piersiach. Wiedziała, że nie może teraz uczynić z niej żertwy. Ów żmijownik przeznaczony jest komu innemu. Była przekonana, że Swaróg wie o tym, więc zapewne nie będzie jej miał za złe.

Modliła się długo, wraz z innymi, we wspólnym poczuciu niedoli. Wysłuchiwała pocieszających słów żercy. Pomogła mu zanieść ofiarne zwierzęta do jego chaty. Opowiedziała o swym widzeniu. Pokazała mu gemmę, a on odczytał wyryty na niej napis.

Wreszcie nadleciały kruki. Wypatrzyła pośród nich tego z przypalonym ogonem, pożegnała się z Wiedzimirem i ruszyła, śledząc lot Kraka.

Spotykała po drodze ludzi. Obładowani dobytkiem, który dźwigali na plecach, ciągnący z sobą domowe zwierzęta, zdążali w stronę przemyskiego grodziska. Potem zeszyła z traktu i okolica opustoszała. Wkrótce wkroczyła do boru. Krako był wciąż blisko. Nie bała się więc, że zbłądzi.

Zobaczyła ich. Siemowit właśnie kończył budować szałas. Ona opatulona pledem siedziała oparta o drzewo. Drżała od wysokiej gorączki. Wiedma podeszła i przyklekła przy chorej.

– Widziałam waszą córkę. Miała na szyi żmijownik. Wyrośnie na krasną dziewoję i będzie miała włosy po tobie, ryszawe, a po Siemowicie kręcone.

Rozsupłała rzemień i włożyła gemmę w rozpaloną dłoń Lubomiry. Ta nic nie mówiła, ale nie cofnęła ręki. Zacisnęła palce na amulecie.

– To dar dla waszej córki – kontynuowała Wiedma. – Musisz nosić żmijownik, by odpędził het cichą i dał ci płodność. Nie znam znaków wyrytych na nim, ale żerca prawil, iż jest tam zaklęcie: *Hystero czarna zaczerniona jak wąż, wij się, uspokój się jak morze, złagodnij jak owieczka i jak kocię*¹⁷. Powtarzaj je codziennie niczym modlitwę, a wszystko będzie dobrze.

Powtórzyła jeszcze raz zaklęcie, po czym podeszła do Siemowita. Wyjęła maść z morownika, zioła wzmacniające i zwalczające gorączkę oraz buklacek z octem morowym. Przy każdym podarunku tłumaczyła, jak który stosować.

– Do grodu was nie wpuszczą, Wiedzimir też niechętny przyjąć cichą pod swój dach. Dobre, spokojne miejsce znalazłeś, Siemowicie. Dacie radę. Wszak widziałam wasz los. Bywajcie!

Ruszyła w drogę powrotną, by zdążyć przed wieczorem. Krako poderwał się z gałęzi nieopodal.

– Wiedmo! – Usłyszała kobiecy głos.

Odwróciła się.

– Niech ci się darzy.

Pozbyła się amuletu chroniącego przed cichą. Oddała jedyną pamiątkę po Żegocie, człowieku, którego pokochała równie mocno jak Jarowara. Ale mimo to było jej jakoś lekko. Szła radosna, wierząc, że dobre życzenia, które wypowiedziała Lubomira, się spełnią.

Podarowanie żmijownika przywołało wspomnienia. Żegota. Mężczyzna, z którym złączył ją czar, a rozłączył los. Miłosna magia sprawiła, że pokochała, choć sądziła, że po śmierci Jarowara to niemożliwe. Było to jednak inne uczucie, nagłe, uderzające jak fala rozhuśtana przez wodnika, i mocne, zanurzające w toni pożądania. A co czuł Żegota? Tego nawet Musza nie potrafiła odgadnąć, mimo że czytała w ludzkich myślach.

– Perunie, Mokoszo – westchnęła cicho.

Podniosła głowę. Zieleniły się nad nią liście dębu i lipy. Usiadła pod pobliskim drzewem i zamknęła oczy. Trwała tak, póki nie usłyszała trzasku łamanych gałęzi i szelestu ściółki leśnej. Wydawało jej się, że po lesie rozchodzi się znany jej zapach. To był on. Żegota.

Podobnie jak podczas ich pierwszej nocy zwinnym ruchem zdarł z siebie giezło. Teraz stał przed nią półnagi. Poparzony bok i blizna ciągnąca się od klatki piersiowej po szyję zamiast szpecić, zdobyły jego ciało. Wyciągnął dłoń i pomógł jej się podnieść. Niesforne włosy jak zawsze wiły się na jego szyi, sięgając siewiącej brody. Zmrużył oczy, więc nie wiedziała, czy tym razem są zielone, szare czy niebieskie. Przesunęła opuszkami palców po jego torsie. Drgnął. Miała wrażenie, że jego skóra jest napięta na mięśniach do granic możliwości. Zafascynowana dotykała go, dziękując bogom za ten niespodziewany dar. Bała się, że zaraz zniknie, że nie zdąży się nacieszyć jego bliskością. Czuła, jak rozrasta w niej dawno zapomniane uczucie. Pożądanie.

– Bogowie, jeszcze chwilę, proszę – szeptała, pospiesznie się rozbierając.

Bogowie okazali się łaskawi. Pozwalali napawać się jego ciałem, strużkami potu, oddechem. Był w niej. Znów stanowili jedność. W spazmie rozkoszy wtuliła się w miękki mech. Żegota zniknął.

– Perunie, Mokoszo, dziękuję – szepnęła.

¹⁶ Rzeszoto – sito z dużymi otworami.

¹⁷ Tłumaczenie greckiego napisu (zaklęcia) na gemmie bizantyjskiej znajdującej się w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej w Przemysłu.

Walka



Mówiłem, że Mściwój się nie nadaje.

Głos knezia był cichy, świszczący. Gdy przebrzmiał, tylko natrętna mucha beztriosko rozpraszała ciszę. Napięcie wypełniało salę. Wieści przyniesione przez umyślnego były druzgocące. Rozległo się klapnięcie i niesforna mucha dopasowała się do śmiertelnej powagi zebranych. Jej rozplaszczony tułów złączony w jedno ze skrzydełkami opadł u stóp Wiedzimira.

– Nie ma co rwać włosów z głowy. Kruki od dawna mówiły, że tak będzie – przemówił ten, który uciszył muchę.

– Słusznie prawisz, źerco – przytaknął najstarszy z rady. – Nie ma co biadolić, cały czas szykujemy się do obrony. Przed dzikim zwierzem nie salwuje się ucieczką, ale stawia mu czoło.

– Bywa, iż dziki zwierz pozoruje ucieczkę, by chronić młode albo i w zasadzkę człeka wciągnąć – mruknął długowłose witeź.

– Tako i uczynili dzicy Pieczyngowie – odezwał się drużynnik.

– Mściwój pozwolił się wodzić za nos niczym czędo przed postrzyżynami – sapnął rozgoryczony Lestek.

Twarz knezia żłobiły liczne blizny po ospie. Te na reszcie ciała skrupulatnie zasłaniał odzieniem. Wycięcie pod szyją spinała fibula ozdobiona solarnym znakiem. Nawet upał nie był w stanie go zmusić do rozpięcia koszuli czy do podkasania rękawów. Wyglądał upiornie, ale był już niemal zdrowy.

– Wiar widziałem jeno, jak do Sanu się wlewa – zaczął krępy witeź, którego ród od dziada pradziada słynął z wyrobu i bielenia tkanin. – Nie bywałem w Uhelnikach. Nie mam rozeznania, jak Pieczyngowie zwiedli Mściwoja.

Kneź podszedł do stołu, gdzie była wryta mapa, a na niej leżały różnej wielkości kamyki i gałązki.

– Tu, gdzie ten otoczek – wskazał na kamień – jest warowny Paclaw. To – wskazał na kolejny kamyk – Osko. Grody te zajęli Pieczyngowie. Na drugim brzegu Wiaru nasi warowali w Aksmanicach i w osadzie Gruszowa. Ten grzbiet przy Sólcy cały był obsadzony.

Nie tylko ciekawy witeź, ale cała starszyzna i niektórzy drużynnicy pochylili się z zainteresowaniem nad stołem.

– Pieczyngowie są łąsi na naszą sól. W górę Wiaru, patrzcie – tu wskazał obszar wyrytych wzgórz – żupa na żupie. Grodzisko na Grabniku nad Rybotyczami i Aksmanice strzegą białego skarbu.

– I jak dzicy zwiedli naszych? – dopytywał witeź.

– Przekłęci rabusie udali, że na żupy pod Rybotycze idą. Mściwój posłał za nimi jazdę i sporo naszych rzucił na wsparcie tym z Grabnika. A Pieczyngowie pognali jak wicher na Uhelniki i dalej na południe w las pod Paclawiem. No i tyle ich widzieli.

– A tu? – Witeź pokazał na obszar na wschód od Sólcy. – Tu żeś nic nie wyrzył.

– Bo tu płasko. Szeroka łącha, którą ninie kilka setek Pieczyngów wali na północ, bo dumny Mściwój osłabił strażę. Pogonił za zającem, a niedźwiedź spokojnie wylazł z matecznika i ruszył na polowanie.

– A na co im nasz gród? – spytał Sędziwój z osady Przekopana.

– Nęcą ich żupy w Górach Słonych. Dolina Sanu szeroka, łatwiej iść niż wąskim Wiarem. Nasz gród stoi im na zawadzie. Nie przemkną cichcem pod nim. Będą zdobywać.

– Wiedzimirze, łucznicy stacjonują w strażnicy niedaleko chramu. Poślę ci jeszcze dziesięciu tarczowników. Mam niewielu ludzi. Nie wiadomo, kiedy nasi dotrą spod Aksmanic. Są ciężkozbrojni, poruszają się wolniej od jazdy Pieczyngów.

– Dodaj jeszcze drugie tyle pod moje dowództwo, to sam chramu dopilnuję.

Kneź się zawahał. Jeszcze raz przejechał palcem po wrytej mapie. Świątynię winien strzec sam Swaróg, ale trzeba zabezpieczyć przecież gród też od strony wzgórza.

– Niech tak będzie – westchnął. – Jaromirze, bierz ludzi i ruszaj z Wiedzimirem. – Sędziwoju, Wicie, wasi ludzie są sprawni i waleczni. Powierzam wam obronę grodu – zwrócił się do dwóch siedzących obok siebie witezi.

– Nie mamy tylu, by obsadzić wszystkie wały. – Sędziwój poruszył się niespokojnie.

– Musicie dać radę – uciął Lestek.

– To choć łuczników nam przydziel, bo nasi bardziej w strzeleniu do zwierzają przysposobieni.

– W sam raz – odparł kneź. – Ci łucznicy, co mi zostali, muszą pilnować brodu. Poślę ich na zamczysko, by tam warowali. A pozostali grupują się od wschodniej strony grodziska, strzegą bramy i mają być gotowi na wycieczki.

– Kto będzie dowodził wypadami poza gród? – spytał Tomir.

– Ja. Aczkoli nie mam kim dowodzić, zatem prosimy Swaroga, by nie było takiej potrzeby.

Wszyscy już stali w gotowości. Nie było czasu na zbyt długie rozważania i rozprawianie o strategii.

– Komuś trzeba powierzyć gaszenie ognia – dodał Sędziwój.

– Wojko, weź kilka silnych niewiast. Będziecie gasić pożary. Nie możemy się dać spalić jak ci z Paclawia.

Kneź niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Chciał jak najszybciej ruszyć do walki.

– Coś jeszcze? Bo spieszyć się trza – rzucił w stronę zebranych.

– Damy radę się obronić? – Wit potrzebował duchowego wsparcia.

– Pytaj jasnowidzącej, bom ja tylko woj. I to bez ludzi. Aczkoli nie oddamy się tak łatwo w niewolę dzikim. Drogo zapłacą za naszą skórę. – Lestek chwycił szłom pod pachę i wyszedł z sali. Za nim ruszyli pozostali.

Stała obok Wiedzimira pod świątynią. Spoglądali w dal. Wojska pieczyńskie wyglądające początkowo jak mrówki zaczynały nabierać kształtu. Poruszały się szybko i zwarciły.

– Kilkanaście setek – odezwał się po dłuższym milczeniu Wiedzimir.

– Nie potrafię ich zliczyć – dodała cicho Wiedma.

– Z której strony widziałaś tych rzezimieszków?

– W mojej wizji? – upewniła się. – Nie wiem. Stali na granicy lasu.

– Od południa – stwierdził. – Tak myślałem.

– Boję się, Wiedzimirze.
– Ja też. Tyko głupcy nie odczuwają lęku.
– Mogą zacząć atak od nas?
– Tu wysoko. Nie rozciągną jazdy. Uderzą na gród od wschodu. Będą chcieli przejść doliną Sanu. My jesteśmy tylko jak barć dla niedźwiedzia. Nie naje się, ale słodczy sobie nie odmówi, więc się będzie wspinał.

– Gdzie posłałeś łuczników?

– Pszczoły czekają ze swymi żądlami tam, gdzie trzeba – odparł enigmatycznie.

Przyjrzała mu się. Wiedzimir bardzo się postarzał w ciągu ostatnich dni. Troski przysporzyły mu kolejnych zmarszczek, które na dobre rozpanoszyły się na jego i tak mocno pomarszczonej twarzy. Drżenie rąk maskował, przytrzymując kostur.

Jakiś ptak się rozdarł. Wydawało jej się, że na skraju lasu zrobiło się niewielkie poruszenie i znów zapanowała cisza. Wiedma przestraszona przywarła do ściany chramu od północnej strony, gdzie wzgórze było wykarczowane. Słyszała oddechy tarczowników stojących tuż obok. Wiedzimir zniknął wewnątrz świątyni. Usłyszała krzyki zmieszane z lekko wibrującym świstem strzał. Zerknęła zza rogu. W stronę Kopca Swaroga biegła spora gromada mężczyzn odzianych w krótkie przesywanice i futrzane czapki. Było ich kilka razy tyle co palców u rąk. Osłaniali się tarczami przed gradem strzał, puszczanych z konarów pobliskich drzew. Byli łatwym celem. Nie mieli gdzie się ukryć, więc pędzili uparcie w górę.

– Ninie! – usłyszała komendę Jaromira.

Tarczownicy oderwali się od północnej ściany gontyny i wysuwając włócznie przed siebie, ruszyli do ataku. Rabusie zaatakowani z góry mieli niewielkie szanse. Wycofać się też nie mogli, bo łucznicy wystrzelaliby ich, zanim by dobiegli do lasu.

Widok walki w odległości kilkudziesięciu kroków przeraził ją. Krzyki, szamotanina, rozdzierające jęki agonii. Nie wytrzymała i ruszyła biegiem w dół, w stronę niewielkiej strażnicy usytuowanej tuż obok grodu.

Zbliżała się do doliny, którą podążały oddziały Pieczyngów. Lekka jazda pędziła niczym wicher. Nie mieli taborów, nie było widać nawet koni luzaków, na które przesiadali się, by nie opóźnić podróży. Mieli przecież niedaleko zaplecze w zdobytych grodach. Postawili na brawurowy atak.

Rozległy się dźwięki rogów. Obrońcy przekazywali sobie sygnały. Wkrótce podobne odgłosy rozległy się pod wałami podgrodzia. Pieczyngowie byli już blisko pierwszych obwarowań. Unieśli stanice i zaczęli się przegrupowywać.

Wiedziała, że teraz nikt jej nie wpuści do strażnicy ani tym bardziej przez bramę przemyskiego grodu. Wybrała pobyt u boku Wiedzimira na Kopcu Swaroga, nie spodziewając się, że tak szybko stchórzy. Wstyd jej było z powodu hysterii, w którą wpadła. Źle się z tym czuła. Poczucie odpowiedzialności kazało jej wracać i wykazać troskę o rannych. Nie miała jednak odwagi iść północnym, odsłoniętym stokiem, więc okrążyła nieco kopiec i szła, ukrywając się w leśnej gęstwinie.

Parskanie koni wzmoгло jej czujność. Zaczęła się skradać najciszej, jak tylko potrafiła. Na niewielkiej polance w głębi lasu pasły się wierzchowce. Było ich tyle co rabusiów atakujących świątynię. Domyśliła się, że to ich konie, zwłaszcza że różniły się od znanych w okolicy. Miały wielkie łby, masywne nogi i szerokie pięciny. Siodła o wysokich łękach były bogato zdobione. Na puśliskach zwiślały półokrągłe strzemiona.

Nagle poczuła szarpnięcie i znalazła się na ziemi. Chciała ochronić się przed upadkiem rękami. Nie mogła. Jej ramiona oplatał sznur. Leżąc bezwładnie, zaczęła przebierać nogami, usiłując się podnieść.

Ktoś pochylił się nad nią. Zamarła przerażona. Wyszczерzone kły zbliżyły się do jej szyi. Wilkołak? Nie. Stworzenie zamiast oczu miało ciemne nierówne szpary. To był pysk martwego wilka. W głębi pod nim wykrzywiały się czyjeś usta. Żywe. Chyba ludzkie, choć Wiedma nigdy nie widziała człowieka z podłużną kością w dolnej wardze. Chciała krzyknąć, lecz ubiegł ją, wsadzając cuchnący gałgan w usta. Chwycił za sznur i podciągnął, zmuszając ją, by stanęła na nogach. Nie był wysoki. W jego uszy powbijane były kościane ozdoby. Na szyi prócz kości wisały woreczki oraz kły różnych drapieżników. Ręce zdobiły plecione, barwne bransolety.

– Ty. – Wskazał palcem. – Moja.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Spojrzała z ukosa. Zaśmiał się.

– W tobie moc. Twoja moc. – Zniżył dłoń na wysokość swojej łydki. – Moja moc. – Uniósł dłoń na wprost oczu. Znów się roześmiał.

Mówił w jej języku, choć nieporadnie i chrapliwie. Poprawił więzy, skrzępował dodatkowo dłonie swej ofiary, po czym przerzucił ją niczym worek przez koński grzbiet.

Porywacz najwyraźniej nie kwapił się do bezpośredniej walki, chciał jednak śledzić na bieżąco bitewne poczynania, bo wkrótce zatrzymał się na wzgórzu, skąd roztaczał się widok na wody Sanu. Wiedma z trudem odwróciła głowę, bo twarz przylegała jej do końskiego brzucha.

Zobaczyła, jak pieczyński oddział zignorował główną bramę prowadzącą do przemyskiego podgrodzia i ruszył wzdłuż Sanu. Jakby na rekoniesans. Łucznicy z podgrodzia puścili strzały. Pieczyngowie, osłaniając się tarczami, parli naprzód. Za nimi ruszył kolejny oddział i następny. Wyglądało na to, że nie chcą zdobywać grodu, tylko przejść obok niego. Jakby wiedzieli, jak skąpe siły pozostały kneziowi i że mogą je zignorować.

Lestek wprawdzie zgromadził łuczników od strony brodu, ale nie spodziewał się, że wróg zlekceważy obrońców ukrytych w grodzie i mimo ostrzału będzie kierował się w górę rzeki. W tej sytuacji nie miał wyjścia. Musiał zaatakować i skrzyżować topory z szablami.

Rozbrzmiał dźwięk rogu, brama się otworzyła i ruszyli. Na przedzie lekka jazda. Za nimi ciężkozbrojni. Potem piechota, która szybko zeszła z traktu i ruszyła w poprzek, prosto w dół w stronę rzeki.

Lestkowa jazda wbiła się klinem w kolumnę wroga, robiąc miejsce ciężkozbrojnym. Ci skierowali swe siły w stronę nadchodzących kolejnych oddziałów, natomiast lekkozbrojni zaczęli rozprawiać się ze śmiałkami zdążającymi na przedzie. Wojska pieczyńskie nie miały zbyt szerokiego pola do walki, bo wody Sanu, choć już powódź minęła, były jeszcze dość wysokie, a teren bagnisty. Dołączyła piechota, uderzając z boku. Rozpęd wroga został wstrzymany. Jednak Pieczyngów napływało coraz więcej. Lędziańscy wojowie, mimo iż wybili śmiałków na przedzie kolumny, nie mieli chwili wytchnienia. Wciąż napływały nowe siły, a oni powoli tracili swoje. Walka zogniskowała się w dolinie Sanu i powoli przesunęła w stronę brodu, co świadczyło, że napór Pieczyngów jest coraz silniejszy. Wprawdzie czekali na nich łucznicy na Górze Szumskiej, tuż nad wodami rzeki, ale były niewielkie szanse na skuteczny odpór.

Lestek próbował zapanować nad przebiegiem walki, jednak brak ludzi dawał się we znaki.

– On mój – usłyszała.

Zastanawiała się, co ten człowiek ma na myśli. Mówi o kneziu czy o grodzie?

Jęzdziec ruszył. Jej twarz ocierała się o końską sierść tuż przy popręgach. Brudny gałgan, koń i pieczyński szaman wydzielali trudną do zniesienia woń. Porywacz wrócił do miejsca, gdzie ją schwytał, odwiązał konie bezskutecznie czekające na swych właścicieli, i poprowadził je w dół, przez las. Po długich wysiłkach udało jej się wypłuć obrzydliwy knebel. Zaczęła szeptać zaklęcia. Koń zarżał

i wierzgnął. Szaman pociągnął za uszde, ujarzmiając zwierzę. Chwyił Wiedmę za włosy i zaczął coś mówić w niezrozumiałym języku. Jego słowa były śpiewne, miały dziwny rytm. Zawładnęły nią. Straciła poczucie czasu, nie wiedziała, gdzie jest, i nie pamiętała, co się wydarzyło. Zapadła w odrętwiający sen.

Obudziła się zrzucona pomiędzy innymi pojmanymi. Zrozumiała, że stała się niewolną. Pod tym względem Pieczyngowie nie różnili się od innych najeźdźców. Chwyłali jeńców, bo pojmanych można było potem sprzedać albo wziąć za nich okup.

Przyglądała się strażnikom. Wszyscy mieli niewielkie okrągłe tarcze, łuki i kołczany zawieszane na plecach. Ich ubiór stanowiły między innymi skórzane kaftany, czapki wywinięte na brzegach futrem do góry i wysokie buty. Przy boku mieli albo szable, albo toporki. Niektórzy też buzdygany. Do końskich siodła przytroczone były pejczy i arkany.

Jeden ze strażników podszedł do niej, rozsupłał węzły, dał jej beber i mówiąc coś w swoim języku, pokazał na rzekę. Domyśliła się, że ma iść po wodę. Ruszyła w stronę nurtu. Usłyszała kruki. Zatrzymała się i podniosła głowę, szukając ich na nieboskłoniu. Jakiś inny strażnik szturchnął ją, coś pokrzykując.

– Krako – westchnęła cichutko. – Gdzie jesteście?

Pomyślała, że kruki wreszcie mają wyczekiwaną ucztę. Nie wiedziała, jak dalej potoczyła się walka, ale obserwując z kopca liczbę najeźdźców, a potem ze wzgórza przebieg bitwy, nie łudziła się, że Lestek odeprze wroga. Spodziewała się, że kruki będą miały pożywienie z lędziańskich wojów. Jej los też nie zapowiadał się optymistycznie. Była gdzieś na tyłach jako zdobycz wojenna.

– Wiarze, czy ty masz swego wodnika jako i San? – szeptała, nabierając wody. – Wodniki, utopce, przybądźcie na ratunek. Macie tu garstkę soli. – Wyspała zawartość woreczka, który nosiła przy pasie.

Woda jednak niewzruszenie płynęła swoim wartkim nurtem. Nic się nie działo.

Przyniosła pełny beber, dała się każdemu napić i usiadła obok pozostałych jeńców. Strażnik nie związał jej ponownie.

Daleko nad Przemyślem unosił się ciemny dym. Coś się paliło. Chmara kruków, chyba przestraszona pożarem, nadleciała nad obozowisko. Ptaki zachowywały się głośno, konie zaczęły być niespokojne. Strażnicy pobiegli je uspokajać.

Wiedma wypatrywała w chmarze Kraka. Trudno jednak go było rozpoznać. Wtem na podolek jej sukni upadł kamyk. Niepozorny szary kamyczek. Gdyby go zobaczyła na drodze, nie zwróciłaby nań uwagi. Przeczuwała jednak, że to musi być sprawka kruka. Sama niedawno widziała, jaką moc mają kamienie przechowywane przez te ptaki. Włożyła go do ust i korzystając z chwilowego zamieszania, podeszła do cebra, w którym przed chwilą przyniosła wodę. Nabrała jej w stulone dłonie i popiła, połykając z trudem kamyk. Nic się nie zmieniło. Widziała nadal swoje obtarte w nadgarstkach dłonie, suknię, nogawiczki.

Ktoś nagle zderzył się z nią. Odwróciła się. Jeden ze strażników rozglądał się z wyrazem bezbrzeżnego zdziwienia, wręcz przerażenia. Wyciągnął przed siebie rękę. Wiedma uchyliła się. Rozglądał się wokół, ale jego spojrzenie nie zatrzymało się na niej. Zrozumiała, że jej nie widzi. Zaczęła pomału iść na wprost innego woja. Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, jakby była przezroczysta. Szedł szybko, pewnie. Odskoczyła w ostatniej chwili. Spojrzała w stronę grodziska, gdzie unosił się czarny dym. Zaczęła iść, potem bieć w tamtą stronę. Do miejsca, gdzie rozgrywała się walka, było jednak daleko. Zauważyła, że grupki pieczyńskich wojowników wracają, przegrupowują się i znów ruszają w stronę doliny Sanu. Niektórzy nie zawracali, wieźli rannych tam, skąd ona umykała.

Wokół biegło sporo koni bez jeźdźców. Chwyciła uprzęż jednego z nich i dosiadła go. Ruszyła w stronę Sanu.

Ze zdziwieniem skonstatowała, że wrogie oddziały się rozpierchają. Pomyślała, że pewnie zwyciężyli i teraz ruszają na łowy, by zdobyć łupy wojenne. Jednak dziwił ją nieład, z jakim się poruszali. Zobaczyła szamana. Wspiął się na strzemionach i równie zaskoczony spoglądał na zachowanie pobratymców.

Trudno jej było ocenić sytuację z miejsca, gdzie panował chaos. Skierowała konia na pobliskie wzgórze, żeby zobaczyć, co się dzieje. Gdy stwierdziła, że jest już na wysokości, która daje jakąś perspektywę, zatrzymała konia i odwróciła się w stronę pola bitwy. Nie dowierzając, przyłożyła dłoń do oczu.

– To chyba nie jest urojenie od słonecznego żaru – szepnęła sama do siebie.

Za uciekającymi Pieczyngami podążała jazda. Ale to nie byli Lestkowi woje. To byli Madjarowie. Ich porpore i totem z turulem rozpoznałaby wszędzie. Nagle rozległ się bojowy dźwięk rogu. Znała brzmienie tego instrumentu. Był inny niż te używane przez Pieczyngów czy kneziowych wojów. Słyszała go nieraz podczas pobytu w Boruszu. Rzeczywiście, potomkowie Boruty pędzili krok w krok, kopyto w kopyto z Madjarami. Obydwa oddziały rozdzieliły się na dwa skrzydła, zagarniając po kawałku uciekających Pieczyngów. Miazgę z otaczanych robiła podążająca środkiem ciężka jazda. Można rzec, iż wdeptywali przeciwników w ziemię. Nie byli to jednak ciężkozbrojni Lestka. Ci mieli łuskowe pancerze, które odbijały światło słoneczne. Ich uzbrojenie ochronne wyglądało niczym... skóra żmija. Tak! Ujrzała porporec z trzema czerwonymi głowami i skrzydłami. To była Drużyna Czarnej Żmija.

Coś ją szarpnęło i ściągnęło z konia. Uderzenie o ziemię zamroczyło ją. Ocuł natomiast obrzydliwy zapach konia i jego właściciela. Szamana. Znów leżała przerzucona przez siodło, a łęk uwierał ją w bok. Tym razem owinięta była w sieć niczym wielka ryba.

– Twoja moc taka. Moja moc taka. – Usłyszała chrapliwy rechot.

Szaman



Podróż z nosem przy cholewie porywacza była nad wyraz uciążliwa. Ani niewygodna pozycja, ani ocierający do krwi łęk nie dawały się tak we znaki jak unosząca się woń. Pomyślała, że wolałaby już stracić przytomność. Ale jej nie traciła. Zaczęła rozważać, że gdyby tak tę woń potu zmieszaną z zapachem zwierzęcej skóry utrwalić, stanowiłoby to nie lada odstraszacz dla niepożądanych wielbicieli lub wielbicielek.

Była bardzo zmęczona. Może by się poddała i pozwoliła wieść gdziekolwiek, ale smród, który musiała znosić, mobilizował resztki sił. Skupiła się, przypominając sobie wszystkie zaklęcia szkodzące, których uczyła ją Caryczka. I choć szaman był najwyraźniej na wszystkie odporny, to nie dotyczyło jego konia. Albo stawał dęba, albo wyrzucał tylne nogi, wierzgając. Wprawdzie było to dość ryzykowne, bo ona na tym koniu zwiślała niczym juczny worek, w dodatku miała ograniczone ruchy przez sieć sznurów, które ją oplatały. Szaman postanowił ją uspokoić, usypiając swym rytmicznym śpiewem. Ona jednak, świadoma tego, jak poprzednio nią zawładnął, broniła się zawzięcie. Odpowiadała na jego zaklęcia swoimi zaklęciami. W innym rytmie, w piskliwym tonie. Wykrzyczane, a raczej wypiszczane inkantacje wprawdzie nie miały mocy wprowadzania w trans, ale skutecznie unieszkodliwiały szamanie dźwięki.

Koń był udęczony rzucanymi przyrokami. Urojone węże czy wilki co chwila wzbudzały w nim panikę. No i tych dwoje drących się jednocześnie. Tego było za wiele. Stał, zaparł się kopytami niczym wół zaprzęgnięty do ciężkiej pracy i zarżał. Szaman na chwilę uciął, składając konia do jazdy poklepywaniem czy lekko uderzając w jego boki piętami. Na próżno. Wiedma natomiast nie ustawała w swych magicznych zaklęciach. Rozzłoszczony mężczyzna zrzucił ją na ziemię, z satysfakcją wsłuchując się w jęk bólu, który przerwał wrzaski.

– Twoja moc jest do rzyci! – zawołała. – Zniewolileś mnie, bo ci strach zmierzyć się z niewiastą!

Zeskoczył z konia i stanął nad nią. Chyba zastanawiał się nad znaczeniem słów, które wypowiedziała.

Koń tymczasem, już nieco uspokojony, z jednej strony zaczął skubać trawę, z drugiej ją nawozić. Wiedma wskazała głową koński nawóz, nie puszczać wzroku z porywacza.

– Twoja moc.

Zrozumiał. Zaśmiał się, ale inaczej niż dotychczas. Złowrogo. Jego śmiech przebrzmiał krótkim echem. W oczach błysnęła złość. Sięgnął do pochwy okutej srebrem i wyjął sztylet. Teraz twarz miała poważną, skupioną. Pochylił się nad uprowadzoną, trzymając obnażone ostrze. Prerażona zamknęła

oczy. Szarpnęła nią. Poczwała, jak ucisk sznurów łagodnieje. Przecinał je wzdłuż jej ciała. Mogła wreszcie się wyswobodzić. Była jak motyl po wydostaniu się z kokonu. Zmiała i obolała.

Szaman schował szylet, podszedł do konia i zaczął szukać czegoś w jukach. Wrócił po chwili z podłużnym drewnianym przedmiotem, wyglądającym jak fajarka bez bocznych otworów, zakończona zgrubieniem wykręconym do góry. Z woreczka wyjął suche liście i starł je, wysypując do otworu w zaokrągleniu teje końcówki. Potem krzesiwem skrzesał iskry. Rozpalone zioła zaczęły dymić. Szaman włożył w usta węższą część fajki i zaciągnął się.

– Moja moc – powiedział wyraźnie już uspokojony.

Gestem pokazał, że chce się z nią podzielić. Nie wyciągnęła dłoni. Wzruszył lekceważąco ramionami. Znow się zaciągnął, przykucnął przed nią i cały dym wypuścił jej prosto w twarz. Odsunęła się z niechęcią.

Tym razem się nie zaśmiał ani nie okazał złości. Jego źrenice robiły się coraz szersze. Znow się zaciągnął. Mocno i głęboko. Przyklęknął, złapał ją za włosy i cały dym wpuścił w rozwarłe do krzyku usta. Nawet nie zakasłała. Uświadomiła sobie, że mięśnie i obite ciało już tak nie boją. Przestała zaciskać pięści. Poczwała się lekka jak piórko. Teraz już nic jej przed ucieczką nie powstrzymywało. Podniosła się i ruszyła przed siebie. Nie zatrzymywał jej. Wziął bęben, usiadł, skrzyżowawszy nogi, i zaczął w niego rytmicznie uderzać. Gardłowy śpiew wydobywał się gdzieś z głębi jego ciała.

Cały czas szła, ale nie mogła się oddalić od dźwięku bębna i śpiewu szamana. Wciąż były blisko, zaraz za jej plecami.

Coś przebiegło obok. Jakies zwierzę? Zaczęła wypatrywać intensywnie. Szare wilcze futro mignęło między drzewami.

– Ścigasz mnie? – zapytała.

Szaman wyszedł zza drzewa i ruszył w jej kierunku. Nagle opadł na ziemię i zaczął poruszać się jak czworonożne zwierzę. Wilcza skóra na jego głowie i plecach sprawiała wrażenie, że to nie człowiek się przemieszcza, lecz wilk.

Zrobiła kilka kroków w tył. Usłyszała warczenie. To już nie był szaman w wilczej skórze, ale potężny basior szczerzący białe kły.

Odruchowo rozejrzała się po lesie, szukając drzew, na które można by się łatwo wspiąć. Nie było takich w pobliżu, tylko buki o gładkich wysokich pniach. Uwagę jej zwrócił mały dąbek rosnący tuż obok. Westchnęła do Peruna z prośbą o ratunek, pociągnęła dłonią po gałązce, zdzierając z niej świeże liście. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki w stronę niższych, bardziej rozłożystych drzew. Wilk ruszył za nią. Okolicę przenikał przykry odór. Śmierdziało szamanem.

Biegła, ściskając w dłoniach liście dębu.

– Gromowładny – modliła się – nie daj zwycięstwa obcym bogom.

Wilk biegł bez pośpiechu, jakby chciał zmęczyć ofiarę, zanim zatopi w niej kły. Nagle przyspieszył. Jeden sus, drugi, trzeci i poczuła jego zęby na udzie. Zaczęła się szamotać, machać bezradnie rękami i ku własnemu zdumieniu... uniosła się nad powierzchnię ziemi. Gdy poruszała ramionami, wznosiła się, gdy przestawała, opadała. Spojrzała na ręce. Nie miała ich. Miała skrzydła. Białe jak śnieg. Starła się poruszać nimi precyzyjniej, z większą pewnością. Wydostała się ponad korony drzew. Latanie wychodziło jej coraz lepiej. W końcu nieraz nasmarowana maścią czarownicy przemieszczała się, lecąc. Nigdy jednak nie miała skrzydeł. Teraz była ptakiem. Tylko jakim? Wznosiła się coraz wyżej i wyżej. Gdy czuła zmęczenie, poddawała się prądowi powietrza, szybując. Potem znow leciała w górę. W końcu ujrzała w dali jakieś postacie utkane z kłębiastych obłoków. Jedna wyglądała niczym chmura oświetlona wschodzącym Słońcem. Druga zaś ciemnoszara, gradowa. Wiedma udała się w ich kierunku.

Mgliste twory były potężne, wręcz olbrzymie. Nieustannie się przeobrażały, ale wciąż zachowywały ludzki kształt. Nie patrzyły w jej stronę, były skupione na czymś, co było pomiędzy nimi. Podleciała zaciekawiona. Postać złocisto-różana miała płonące oczy. Trzymała coś w swych puchowych dłoniach. Rozwarła je i u jej stóp opadły trzy patyczki. Z jednej strony były białe, z drugiej czarne. Każdy z patyczków miał ludzką postać. Pierwszy wyglądał jak szaman, który ją porwał, drugi podobny był do niej, zanim przeobraziła się w ptaka, a trzeci... Nie widziała dobrze. Nie była pewna. Podleciała jeszcze bliżej i wtedy szara postać chwyciła ją i uniosła na wysokość oczu, by się jej przyjrzeć. W oczach tego olbrzyma była pustka stepu. Wiedma-ptak poczuła na sobie również wzrok drugiej postaci. Był palący. Zatrzepotała skrzydłami, usiłując się wyswobodzić. Ogniste oczy paliły ją bez miłosierdzia. Pióra na skrzydłach ciemniały niczym zwęglone drewno. Zaczynała rozumieć, że rozgniewała bogów swym wścibstwem. Szary ją puścił. Spadała bezwładnie. Nie potrafiła rozpostrzeć skrzydeł. Próbowwała choć trochę zmniejszyć prędkość. Bezskutecznie. Ujrzała w dole tafle niebieskiej wody. Oстрыm, grubym dziobem przecięła ją, nurkując w głębi. Zimna woda koila rozpalone ciało. Chciała poruszyć skrzydłami. Nie miała skrzydeł. Niewielkie pletwy pomogły jej utrzymać równowagę. Płynęła, nie wiedząc, gdzie i po co. Była teraz rybą. Zbiornik, w którym się znalazła, roił się od wodnych stworzeń. Nie. Od ludzi. Rzekę przemierzały ludzkie dusze w drodze do zaświatów, do Nawii.

Nagle coś ją uderzyło. Drugi raz poczuła ból, gdy upadała na kamienisty brzeg. Próbowwała się podnieść, spiąć i wskoczyć ponownie do wody. Były to jednak żałosne podrygiwania bezradnej ryby. Skrzela bezskutecznie się unosiły. Dusiła się.

Z wody wyszedł niedźwiedź i majestatycznym krokiem zbliżał się do wyłowionej przed chwilą ofiary. Zaczęła się w panice szamotać. Niespodziewanie coś nadbiegło z boku, chwyciło ją w zęby i popędziło w stronę lasu. Niedźwiedź niezadowolony zaryczał, ale nie kwapił się, by ścigać rabusia. Nadal się dusiła. Wilcze zęby ją raniły. Jeszcze ta woń, która nie wiadomo, jakim sposobem była przez nią odczuwana. Znów ten obrzydliwy zapach szamana.

Nagle cisza. Uświadomiła sobie, że ustał dźwięk bębna, który nie opuszczał jej ani na chwilę w koronie drzewa życia, w Wyraju, ani nawet w wodzie, przez którą dusze przepływały się do Nawii.

Leżała na ściółce leśnej. Znów miała ludzką postać. Uwagę jej przykuła poszerzająca się struga ciemnoczerwonej, wręcz bordowej krwi. Zaintrygowana rozejrzała się za jej źródłem. Wypływała z miejsca, gdzie głowa łączy się z tułowiem, a teraz był tam wrażony średniej wielkości toporek. Szaman leżał martwy.

– Wreszcie cię widzę. – To był głos Wiedzimira.

– Co tu robisz? – spytała zdziwiona.

– Zoczyłem, jak szaman zarzuca sieć na niewidzialną istotę. Nie mogłem się oprzeć, by nie pojechać za nim. Potem cię usłyszałem. – Nieznacznie się uśmiechnął. – Znać, taki los mi wyznaczyli bogowie.

Przypomniała sobie swoją wędrówkę między światami. Tam w górze dwaj bogowie rzucali ich losy niczym patyki wróżebne. Jednym z czarno-białych patyków był szaman, drugim ona, a trzeci... Tak, teraz już miała pewność, kim był ten trzeci. Stał przed nią.

– Wiedzimirze, to była walka, czyja moc większa. A ty? Cóżś uczynił? Wraziłeś w szamana topór niczym w bezbronną owcę.

– Najprostsze rozwiązania są najlepsze, moje dziecko. Chwała Swarogowi!

– Widziałam go. Omal mnie żywcem nie spalił.

– Kto?

– Swaróg.

– Jakżeś do niego trafiła? – zapytał z zazdrością.

– Stałam się ptakiem. Wzniosłam się do samego Wyraju. Ale nie spodobało się to bogom. Strącili mnie w wody prowadzące do Nawii i zamieniłam się w rybę. Płynęłam z innymi, ale niedźwiedź mnie łapą wyłowił.

– Pewnikiem Weles. On ponoć lubi ukazywać się w niedźwiedziej postaci.

– Ubiegł go wilczy szaman, chwycił mnie w zęby i poniósł w las. Rojno tu. – Rozejrzała się zaniepokojona.

Nad ciałem szamana pochylały się duchy zmarłych. Po okolicy rozchodziło się żałosne wycie wilków. Usłyszała koński tętent.

– Ktoś się zbliża konno – ostrzegła.

Wiedzimir rozejrzał się zdziwiony, najwyraźniej nic nie słyszał.

– Umykajmy stąd, a chyżo – poprosiła.

Pomógł jej wsiąść na konia. Pojękiwała z bólu. Jej ciało było obolałe, posiniaczone i poszarpane do krwi. Wyglądała gorzej niż woj po ciężkiej bitwie.

Wiedzimir podniósł bęben i fajkę. Chciał przytroczyć szamańskie przedmioty do siodła.

– Ostaw – poprosiła Wiedma. – To przewoźnicy do jego bogów. Zdadzą mu się jeszcze.

Odłożył niechętnie.

Gdy wracali przez las, koński tętent był coraz głośniejszy. Wiedma spoglądała co chwila zaniepokojona na Wiedzimira, ale on zdawał się nie słyszeć.

– Nie skryjemy się? Ktoś tu zdąży.

– Nie słyszę – mruknął, ale skierował konia za gęste zarośla i zatrzymał.

Zobaczyła półnągą niewiastę jadącą konno. Zwierzę wyglądało jak te, na których przybyli Pieczyngowie ze stepów. Obok biegł luzak. Niewiasta była potężna, odziana jedynie w szarawary, włosy miała splecione w gruby warkocz opadający na nagie plecy. Odkryte ciało wyglądało, jakby je ktoś umazał krwią.

– Kto to? – zapytała Wiedma, gdy niewiasta ich minęła.

Wiedzimir zamrugnął zdziwiony. Rozejrzał się jeszcze raz.

– Gdzie? Nie słyszę i nie widzę nikogo.

Zrozumiała, że to był pewnie demon. Ktoś ze świata szamana.

– Jedźmy do grodu – poprosiła.

Ruszyli. Chciała zobaczyć się z boruszanami. Była też ciekawa, kto przywiódł Drużynę Czarnego Żmija. Myśli jej jednak wciąż krążyły wokół szamana i wizji, które miała.

– Wiedzimirze, znów ci zawdzięczam życie. Obaczysz, Kuślak wyznaczy ci wysoko na niebie gwiazdę, bo tak nagradza mądrych, prawych i mężnych.

– Nie wyznaczy. To za wysoko dla mnie, dziecko. Mnie nawet wychodzenie na górę do chramu męczy – mruknął i popadł w zadumę.

Pochówek



Wiedma i Wiedzimir szli przez podgrodzie. Kierowali się do głównej bramy przygródka. Jego spalony, straszący szerniałymi kikutami częstokół był odpowiedzią, skąd brał się ciemny dym, który widziała, gdy przetrzymywano ją w obozie wroga.

Na podgrodziu był nie lada ruch. Wojowie uwijali się jak mrówki w rozburzonym mrowisku. Znosili broń zdobytą na wrogach. Układali na osobnych kupkach stanice, na osobnych szable, na innych tarcze, łuki, strzały. Najwyższa była ta, na którą zrzucano końską uprząż, siodła z całym ekwipunkiem. Inni prowadzili zdobyte na Pieczyngach konie, które potrząsały wielkimi łbami, parszcząc niespokojnie z tęsknoty za swymi panami i jednocześnie towarzyszami. Uzbrojeni wojowie eskortowali jeńców. Z oddali docierał wrzask kruków, które na przedpolach i w dolinie Sanu ucztowały na poległych. Zostały tam już tylko ciała najeźdźców, więc nikt się nie kwapił, by przepędzić zgłodniałe ptaki.

Nieopodal Drużyna Czarnej Żmija rozłożyła obóz, nad którym powiewała stanica z wyszytymi na czerwono trzema głowami i skrzydłami na zielonym tle. Wojowie z ulgą pozbywali się ciężkich łuskowych pancerzy, opatrywali rany, obmywali zakrzepłą krew i pot.

Wiedma zbliżyła się do kilku, porównujących wielkość doznanych obrażeń.

– Pomogę wam – zaofiarowała się. – Znam się na ranach i ziołach.

– Niewiasto, ty sama potrzebujesz pomocy – odparł półnagi mężczyzna z wielkim niczym rozgniecione umbo krwiakiem pod żebrami. – Walczyłaś? – spytał z niedowierzaniem.

– Tako. Ale nie mieczem.

– Tyś jest Wiedma, siostrzyca Bartusa! – zawołał drugi. – Widziałem cię na postrzyżynach młodych dowódców. Choć niełatwo cię poznać.

Spojrzała na swą suknię. Rozdarta, postrzępiona. Trudno było określić jej pierwotny kolor, tak upstrzona była licznymi brunatnymi plamami zaschniętej krwi i brudem.

– Kto was przywiódł? Czarny Żmij? – zapytała woja, który ją rozpoznał.

– Nie przywiódł, ino posłał. Bartus i mały Dragomir nas poprowadzili do walki.

– Bartus? Drago? – Rozejrzała się, wypatrując bursztynowłosego mężczyzny i chłopca. – Gdzie oni?

– Pilnują sprawiedliwego podziału łupów – odparł mężczyzna z wielkim krwiakiem i wskazał ręką na grupkę jeźdźców nieopodal stosów ze zdobytą bronią i skarbami.

Pierwszy rozpoznał ją z daleka Dragomir. Nie popędził jednak, jak to wcześniej miewał w zwyczaju,

by wtulić się w jej ramiona i wdychać ciepło bijące z kobiecego, miękkiego ciała. Zeskoczył z konia i prowadząc go za uzdę, zatrzymał się w stosownej odległości, skłaniając lekko głowę.

– Ciotko.

– Dragomirze – odparła tym samym oficjalnym tonem. – Czy mogę cię ucałować na powitanie?

– To będzie zaszczyt, ciotko, ale potem. Wojowie patrzą. Nie uchodzi. – Poczzerwieniał.

– Co nie uchodzi? – Bartus zjawił się za plecami chłopca. – Bądź pozdrowiona, siostrzo, choć wolałbym cię obaczyć w lepszym stanie. Srodze cię Pieczyngowie poturbowali.

– Nie oni, lecz bogowie.

– Wszycyśmy igraszką w ich rękach – zgodził się brat.

– Czemuś zmienił zdanie... – zaczęła, lecz przerwał jej posłaniec.

– Wyście Wiedma? – spytał zasapany młokos.

– Tako.

– Wiedzimir was wzywa do zamczyska. Prosi, byście wartko przybyli.

Szła, próbując dorównać kroku młodemu posłańcowi. Chciała się dowiedzieć, co jest przyczyną tego pośpiechu.

– Zoltan, wódz Madjarów, odchodzi do Nawii. Tak mi się zdaje. – Zwolnił na chwilę kroku, jakby myślenie utrudniało mu szybkie poruszanie się. – Mówili, iż na wiecznie zielony step. To pewnikiem w Nawii takie pola.

Zmartwiła ją ta wiadomość, choć nie lubiła butnego i zarozumiałego Zoltana. Wciąż nie mogła mu zapomnieć, że niegdyś wraz z Bartusem opętany przez biesa nieśli w okolicy śmierć i pożogę, że więził wiedźmy Dobrawę i Płaneticę, nie traktując ich przestróg poważnie, bo były niewiastami. Teraz jednak Zoltan był już bardziej doświadczony. Zmienił swoje postępowanie. Wiedział, że nie tylko szamani, którymi w plemionach koczowniczych byli mężczyźni, ale i wiedźmy mają magiczną moc. No i stanął z Lędzianami w sojuszu przeciw Pieczyngom.

Cóż z tej zmiany, skoro właśnie umierał. Złożono go na stole, na którym przed walką kneź wrył mapę. Krew płynęła strugą z licznych ciętych ran i rozbitej głowy, wypełniając wyżłobione kozikiem koryta Wiaru i Sanu. Jego głowa spoczywała w miejscu, gdzie Lestek oznaczył bród. Ten, przez który przeprawili się Madjarowie, boruszanie oraz Drużyna Czarnego Żmija.

Zoltan, podobnie jak całe jego plemię, nienawidził Pieczyngów za ich zaborczość, za to, że wypędzili jego dziadów z szerokich stepów czarnomorskich, za to, że wielokrotnie mordowali z zimną krwią ich żony i dzieci. Zatem odsiecz, z którą ruszył, była podyktowana chęcią wroźdy, czyli zemsty za wszystkie krzywdy zadane przodkom. Gdy wody Sanu były jeszcze wysokie i rozlewały się na okoliczne pola, on przygotowywał się do walki. Łucznicy dzień i noc warowali przy brodzie, by w razie ataku Pieczyngów wspomóc Lestka gradem strzał. Widząc jednak, że podczas walnej bitwy straty przemyślan są zbyt duże, zdecydował się na przekroczenie brodu i bezpośredni atak.

Wódz Madjarów podczas walki wyróżnił się nie tylko walecznością, ale i strojem. Krótki purpurowy płaszcz oraz połyskujący złocisty hełm ozdobiony sokolim piórem przyciągały uwagę wrogów. Pieczyngowie zaatakowali Zoltana, odcinając go od pozostałych madjarskich wojowników. Rzucili się na niego kupą, powalili konia i jeźdźca. Cóż z tego, że bronił się zaciekłe i w pojedynku żaden by mu nie dorównał. Najpotężniejszy zwierz osaczony przez mniejsze drapieżniki w końcu ulegnie pod ich zaciekłym naporem. Tak też się stało z Zoltanem. Strącony z konia, ogłuszony buławą, oddawał razy na oślepie. Gdy jego ludzie przedostali się do swego dowódcy, leżał zamroczony z rozbitą głową i licznymi okaleczeniami.

Umierał. Na nic już zioła i zaklęcia. Wiedma ujrzała, jak dusza Zoltana wkracza na zielony step.

Zatrzymał się i rozejrzał za swym wiernym koniem. Jakże miałby przemierzać te wieczyste krainy bez niego, najłepszego druha?

– Pochować go należy godnie, po madjarsku – szepnęła półgłosem, patrząc gdzieś w nieokreśloną dal.

Zoltan jakby usłyszał jej słowa, bo odwrócił się, spojrzął jej w oczy i się uśmiechnął. To nie był uśmiech, jaki znała dotąd: złośliwy, szyderczy, ale pogodny, pełen wdzięczności. Wizja zniknęła.

– Tako chcę uczynić, Wiedmo – odezwał się Lestek.

– Kneziu! – Jeden z drużynników wręcz wbiegł do sali, jego głos drżał. – Należliśmy w stroju woja madjarską niewiastę. Siemir ją niesie.

Do sali wszedł z hukiem potężny woj. Na rękach niósł bezwładnie zwisające ciało. Długi czarny warkocz dziewczyny wysuwał się zza kaftana.

– Jeszcze dycha! – huknął, rozglądając się, gdzie ją położyć.

Zebrani szybko ustawili na środku sali ławy i złączyli je. Wiedma zaczęła nieprzytomną ostrożnie rozbierać. Nigdzie nie widziała krwi. Zauważyła, że prawa ręka dziewczyny jest nienaturalnie wykręcona. Nastawiła ją. Wyprosiła wszystkich, zakreśliła krąg i magicznym śpiewem zaczęła zaklinać dziewczynę. Ta zamrugała powiekami i otworzyła oczy. Były tak ciemne, że nie sposób było dostrzec w nich źrenice. Młoda niewiasta chciała unieść prawą rękę i krzyknęła z bólu.

– Nie ruszaj!

Wiedma oderwała kawałek materiału z dołu swej i tak już zniszczonej sukni i z wprawą unieruchomiła rękę dziewczyny.

Madjarskie dziewczę skrzywiło się z bólu. Mimo to jej twarz wydawała się Wiedmie piękna. Błada cera kontrastowała z kruczymi włosami i równie ciemną oprawą czarnych oczu. Była ubrana w skromny strój woja, trochę za szeroki na nią, więc krągłości piersi i bioder nie były tak widoczne, gdy walczyła u boku innych.

– Jak cię wołają? – zapytała Wiedma.

– Agłaja.

– Agłaja, córka Zoltana?

Przytaknęła. Wiedma uświadomiła sobie, że to z nią miał kneź Lestek wejść w swańbę dla umocnienia sojuszu.

– Zoltan pozwolił ci walczyć? – zdziwiła się.

Czarnowłosa dziewczyna słuchała z uwagą, ale najprawdopodobniej nie rozumiała wszystkich słów.

– Ja walczyć – potwierdziła niezbyt sensownie.

– Agłajo – wiedźma chwyciła ją za zdrową rękę – musisz o czymś wiedzieć. Chodź! – Pociągnęła ją lekko, pomagając jej się podnieść.

Nieco zdezorientowana, podparta ramieniem opiekunki usiadła i dopiero teraz zobaczyła ojca. Krew z jego ciała wciąż jeszcze spływała wzdłuż ławy i kapiała na podłogę. Agłaja podbiegła do zmarłego. Dotykała zdrową ręką jego twarzy, szyi, dłoni, jakby szukała jeszcze śladów życia. Jego ciało powoli zaczynało tężeć. Rozwarte usta prerażały swym milczeniem, a otwarte oczy pustką. Delikatnie zamknęła je i zaczęła oplakiwać ukochanego ojca. Wołała coś w swoim języku, coś mu opowiadała. Mokre od jej łez ojcowskie dłonie wycierała włosami. Potem wyjęła z trudem nożyk zawieszony na piersiach. Miała sprawną tylko jedną rękę, podeszła więc do Wiedmy i pokazała, że chce uciąć nim warkocz. Wiedźma pomogła jej i dziewczyna złożyła go u stóp ojca.

Przywabieni hałasem ośmielili się wrócić do sali Lestek, Wiedzimir i dwaj drużynnicy.

– Twa niedoszła żona. – Wiedma wyjaśniła kneziowi przyczynę rozpaczki młodej dziewczyny nad

ciałem zmarłego.

– Przyszła żena – poprawił ją Lestek, przypatrując się z zakłopotaniem głośnej żalobie Zoltanowej córki.

Dziewczyna mimo łez, obciętych do ramion włosów i grymasu bólu na twarzy wciąż była piękna. Trudno było sobie wyobrazić, jak ta filigranowa istota mogła walczyć z barczystymi, zaprawionymi w zabijaniu wojami.

Dwa dni później stała na wzniesieniu po drugiej stronie Sanu przed jamą grobową, w której złożony był jej ojciec. Ubrana tym razem odświętnie w białą suknię i czerwony, wyszywany kolorowymi nićmi kaftan. Wiązania z przodu zasłaniała zakładka ozdobiona srebrnymi, przypominającymi kwiatki ćwiekami. Córka wodza trzymała w dłoni otwartą skórzaną sakwę. Obok stał kilkunastoletni chłopiec równie błydy i kruczowłosy jak ona. Młodzieniec wkładał do trzymanej przez siostrę kaletki żelazne krzesiwo i krzemienną skalkę. Aglaja mówiła coś głośno, tak by zebrani słyszeli, ale tylko Madjarowie rozumieli sens tych słów. Wiedma, kneź Lestek ze swoją przyboczną drużyną, Wiedzimir, Borysław z Borusza stali pełni powagi, przyglądając się z zaciekawieniem madjarskiemu obrzędowi pogrzebowemu. Zostawianie zmarłym krzesiwa nie było dla nich niczym nowym, gdyż Słowianie również zaopatrywali bliskich w to niezwykle przydatne narzędzie, by przebywający w zaświatach nie marzli i mogli skrzesać ciepły ogień. Ciemnowłosy chłopiec wziął od Aglai sakwę, starannie ją zamknął i uniósł, pokazując wszystkim zebrany. Następnie zszedł do jamy grobowej, pochylił się i prawdopodobnie przytwierdził kaletkę do pasa zmarłego wodza. Po chwili stał już wyprostowany, trzymając nad głową Zoltanową szablę. Wyszedł z dołu i obszedł go trzykrotnie, wciąż ekspozując broń, następnie przypasał ją do swojego paska. Madjarowie coś chórem zakrzyknęli. Wiedma domyśliła się, że syn wodza przejął po ojcu szablę.

Rozbrzmiał dźwięk bębnow. Mężczyzna odziany w zwierzęce skóry, z umalowaną na czerwono twarzą szedł pewnym krokiem na beczkowato wygiętych nogach. Uwaga wszystkich zebranych skupiła się na nim. Niósł koński łeb z uprzężą i coś wołał. Za nim szli dwaj Madjarowie niosący końskie kończyny oraz strzemiona. Wiedma odnosiła wrażenie, że zebrani modlą się do szczątków zwierzęcia, które od rana spożywano w żalobnej biesiadzie. Końskie truchło złożono w jamie grobowej. Jako że gości na tryźnie było wielu, ubito także byka i ugoszczono zebranych jego mięsem. Sporą jego sztukę niewiasty przyniosły do grobu i podzieliły się ze zmarłym, podobnie jak kaszą, którą złożyły w glinianym naczyniu u stóp wodza. Kolejni wojowie nieśli ozdobiony skórą i żelaznymi okuciami tuł wypełniony strzałami, łuk wzmocniony rogową okładziną oraz żelazny czekan. Potem kto chciał, podchodził do zmarłego i ulewał dlań miodu, wina lub innego trunku albo wkładał do grobu pożywienie: jajka, miód, podpłomyki, sztukę mięsa.

Wiedmę przerażał taki pochówek bez ciepłopalenia. Wciąż miała przed oczami upira, którego niespalone ciało żywiło się ludzką krwią. Nie mogła jednak ingerować w madjarskie obyczaje. Weszła więc do jamy grobowej i wyspała do glinianego naczynia garść maku, drugą rozsypała wokół ciała zmarłego, by w razie chęci powstania z grobu zajął się jego zbieraniem. Następnie, licząc na to, że nikt nie widzi, pochyliła się nad ciałem i wbiła w nie żelazne szydło, a potem jeszcze dłużej. Nie miała gwoździ ani żelaznych nitów, nie miała też kołka osinowego. Złapała więc, co znalazła w najbliższej chacie, obiecując właścicielom sowitą zapłatę. Nie ośmieliła się wbić tych narzędzi w głowę Zoltana, ale wcisnęła je w miękki brzuch i zakryła sakwą podarowaną przez dzieci zmarłego. Teraz była spokojna. Wiedziała, że ciało Zoltana będzie leżało w ziemi przez kolejne wieki i że na pewno sam nie wydobędzie się z grobu jako upir.

Na końcu do jamy grobowej wszedł Bartus. Pochylił się nad zmarłym, coś do niego szepcząc. Wyjął

z mieszka żelazny przedmiot i wsunął w dłoń wojownika.

Ogniska palące się już drugi dzień powoli wygasały. Jama pogrzebowa została zakryta i obsypana ziemią. Zoltan zaopatrzony w pożywienie i krzesiwo ruszał na swym wiernym koniu w dalszą drogę. Tylko Madjarowie wiedzieli, gdzie jej cel.

Pełnia Żniwiarzy



Tryzna na cześć poległych w wojnie z Pieczyngami trwała już kilka dni. Zdobyte łupy pozbierano, przywieziono z Oska i Paclawia. Szczególnie ceniono sobie konie należące do koczowników, bo były silne, odporne, mogły długo wytrzymać bez pożywienia i bez wody. Pieczyngowie jako lud koczowniczy nie zabiegali o posiadanie ziemi. Dla nich symptomem wysokiego statusu była ozdobna broń, nabijane pasy, uprzęż dla konia, strzemiona, wyszywane czapraki, ale i biżuteria, którą mogli podarować swoim niewiastom. Dlatego łupy na nich zdobyte były wyjątkowo cenne, bo prawie cały majątek wozili przy sobie.

Borysław, dowódca straży z Borusza, Pieczyngiem nie był, ale miał szczególną słabość do pięknych rzeczy, więc co chwila oglądał zdobione szlachetnymi kamieniami buławy, nabijane srebrnymi ozdobami sakwy i pasy, kaftany z wymyślnymi hetkami z brązu. Potrafił tworzyć piękne przedmioty w drewnie, ale te ozdoby połyskujące w Słońcu nadzwyczaj go cieszyły.

– Mam też nadobne zausznice i pierścienie dla mej żony – pochwalił się Wiedmie, gdy siedzieli naprzeciw siebie podczas uczty ku czci poległych. – Zmartwiła mnie, gdyśmy ruszali do was. Nocą, zanim zabrzmiał róg wzywający na koń, mówiła jak w malignie. Aczkoli gorąco od niej nie biło, krost i plam nie miała.

– Co ci rzekła? – zaniepokoiła się Wiedma.

Podczas pobytu w Boruszu zdążyła polubić Bożenę. Podziwiała ją. Niewiasta nie łamała obyczajów, była dobrą i troskliwą żoną, ale też niezależną. Potrafiła zarządzać gospodarstwem, czasem, ale i ludźmi. Czyniła to tak umiejętnie, że nikt nawet nie zdawał sobie sprawy, że robi dokładnie to, czego ona chce. Wszyscy ją lubili. Podziwiali też jej urodę. Wiedma, patrząc na Bożenę, zastanawiała się nieraz, czy po prostu pięknym ludziom nie jest od urodzenia w życiu łatwiej i dlatego są tak mili i przyjaźni.

– Coś mamrotała, wstawała. Gdy ją zatrzymywał i na powrót kładł, mówiła, że woda ją woła.

Wiedma wyciągnęła rękę, potrącając kubek, z którego ciemne wino popłynęło w stronę Borysława. Chwyliła jego dłoń.

– Strzeż swej żony. Nie pozwól jej nocą wychodzić z chaty. Bacz na nią, gdy Miesiąc zaświeci w pełni.

– Tej nocy będzie niczym korowaj – odparł zdziwiony jej reakcją.

– Ostaw ucztę i bieżaj do żony, aczli jej jeszcze woda nie przywabiała.

Borysław poderwał się. Pozbierał przedmioty, którymi przed chwilą się zachwycał, upchnął w worek i ruszył pożegnać się z kneziem. Wiedma czekała na niego.

– Wielą dla nas uczyniłaś. Nie śmiej prosić, byś jechała ze mną. Alem pełen obaw, że tu moja siła woja na nic się zda.

– Moja wiedźmowa też na niewiele. Mandragora i kruk mnie strzegli, gdym u was pomieszkiwała. A Czarne Jezioro wołało co noc.

Słowa Wiedmy jeszcze bardziej zaniepokoiły Borysława.

– Nie pozwól Bożenie wyjść nocą z chaty. Czuwaj. Ja sama słaba, ale udam się do siostr po radę i pomoc. Potem przybędę do was.

– Zawdzięczam ci życie. Ninie jeszcze i to. Będę zawsze na każde twe zawołanie, Wiedmo. Oddam ci wszystko, co zechcesz. – Skłonił się na pożegnanie i pobiegnął kulbaczyć konia.

Udała się do izby, gdzie ostatnimi czasy mieszały z Dobromiłą. Jasnowłosa wiedźma nie uczestniczyła w tryźnie. Leżała osowiała i wpatrywała się w belkę dachową. Poprzedniego dnia przybył Przywit i upomniał się o wnuka. Oddały mu chłopca, ale od tej pory Dobromiła unikała towarzystwa innych ludzi, nie chciała z nikim rozmawiać, co chwila popłakiwała. Wiedma ją rozumiała. Wiedziała, co to znaczy przywiązać się do dziecka, a tym bardziej co to oznacza dla kobiety, która pragnie macierzyństwa, ale matką nigdy nie zostanie.

Przygotowała maść czarownic dla nich obu. Dawno jej nie było na sabacie. Była też przekonana, że uczestniczenie w nim poprawi nastrój Dobromiłce. Postanowiła, że udadzą się na Łysą Górę. Chciała spotkać Muszę, Lotę, ale też popytała o Kościeja.

Letni czas dobiegał końca. Pełnia Żniwiarzy rozświetlała mrok, choć żniwa tego roku były inne niż zazwyczaj. Najpierw cicha użęła, ile się dało, potem wojna skosiła swój uropek. A zboże na polach nadal się kołysało, porastając wzgórza, których nie dosięgła wylewająca rzeka. To, co ocalało, teraz wysychało w przypalanych przez Słońce kłosach. Jasny Księżyc winien przyświecać żniwiarzom kończącym prace na polach. Tu jeszcze nikt ich nie zaczął.

Wiedźmy leciały upojone wyjątkowo mocnym blaskiem Miesiąca. Wkrótce już witały się wylewnie z siostrami i gromadziły wokół ognia. Tylko Wieńczysława jak zawsze zachowywała dystans, jakby obawiała się, że zbytne spoufalenie się z innymi czarownicami mogłoby umniejszyć jej znaczeniu. To ona była wszakże wysłanniczką Kościeja i respektowała jego polecenia.

– Siostry. – Wiedma wstała, gdy wspólne obrzędy się zakończyły i wszystkie zasiadły do uczy. – W Boruszu jest Czarne Jezioro. Żaden zwierz doń nie wchodzi i żaden nie pije z niego wody. Nocą jezioro ożywa. Słychać jęki, płacze, zawodzenia, a nad wszystkim rozchodzi się dźwięk, jakby kto w kowadło uderzał. Gdym przebywała w owym grodzie, jakoweś głosy niewieście wzywały mnie co noc, ale mandragora i kruk mnie strzegli i zbliżyć się do czarnej wody nie dozwolili.

Wiedźmy wprawdzie słuchały, ale równie mocno uwagę ich przyciągały kosze pełne smakołyków i wýmienicie pachnące nalewki, którymi się nawzajem raczyły.

– Siostry! Mnie się widzi, iż w Czarnym Jeziorze jakoweś zło siedzi. Ono wabi wiedzące. Każda niewiasta, która jaką wiedzę zdobędzie, przepada. Tak zniknęły świeć i córka Borzymira, najstarszego witezia w Boruszu.

– Skąd wiesz, że w Czarnym Jeziorze? – spytała Płanetnica.

– Bo je ponoć woda wołała. Mnie też jakoweś głosy stamtąd wzywały co noc. Dowódca straży ninie wyznał, iż jezioro woła jego żenę, przyuczoną do opieki nad tymi, których dotknęła cicha.

– W grodzie Borusz? – upewniła się Lota. – Tam niegdyś żyła Boromiła, leśna wiedźma?

– Tako! – zawołała Wieńczysława. – Boromiły nie było z nami od dawna! Alem uznała, że pewno na

Babiał Górze lata.

– Nie bywa tam – odparła Wiedma.

– A mnie ptaki śpiewały o czarnej zatrutej wodzie – przypomniała sobie Wężymila znająca mowę zwierząt.

– Może albast się tam zagnieździł? Albo bałamutnik? – zastanawiała się głośno Dobrawa.

– I upatrzył sobie wiedzące? – Wiedma nie była przekonana.

– Kto tam wie, co się komu spodoba w niewieście. Może być i rozum.

– Dobrawo – wtrąciła się Caryczka – wiedząca jesteś, a prawisz jak jaka głupia i szpetna podwika, co to w dzieciństwie na mamunę się zapatrzyła. Żaden mąż: ani ten, co toporem włada, ani ten, co radłem, ani ten, co dłutem czy szydłem, nie chce mądrej niewiasty, ino krasnej.

– Ani nawet bałamutnik. – Zaśmiała się Planetnica.

– A wy, siostry, polecicie tej nocy na swawole do mądrych czy urodziwych? – zapytała Libertyna, rudowłosa wiedźma mająca naszyjnik z bursztynów równie ognisty jak jej włosy.

Wiedźmy zaczęły się śmiać. Wrzucane do ognia zioła wyjątkowo sprzyjały dobremu nastrojowi. Nawet Dobromiłka, choć dotąd milcząca, nie miała już tak bolesciwego wyrazu twarzy. Wieści Wiedmy wprawdzie początkowo zainteresowały niewiasty, jednak szybko zapadały w niepamięć podczas narastającej euforii.

– Nawet niezguła bałamutnik, co to odstrasza swą paskudną gębą, wie, iż żadna nie połasi się na jego mądre racje i roztropność. Całą swą magiczną moc obraca na gładkie ciało, krasne liczko i bujną czuprynę – dodała rozbawiona Caryczka.

– Ja wybrałam mądrego – wtrąciła poważnie Wieńczysława.

– Ta zawsze musi być inna. – Caryczka nie traciła dobrego humoru.

Wiedma spoglądała na wiedźmy ze smutkiem. Rzuciły żartami i zaśmiewały się do rozpuku. Nawet Dobromiłka zaczęła się przy nich uśmiechać. To była chyba jedyna korzyść z pobytu na sabacie. Biwia liczyła głównie na pomoc Loty albo Wężymily, bo znały mowę zwierząt. Jednak na próżno. Gorzałka oraz dym z ziół nastroił siostry na rubaszną wesołość.

– Kogo wybrałaś? – zapytała jedyną poważną wśród zebranych Wieńczysławę.

– Kościeja – odparła krótko.

– Zabierz mnie do niego. Chcę go rozpytać o los wiedzących w Boruszu. Kto będzie lepiej znał prawdę?

Wieńczysława wahała się. Ogarnęła długie włosy sięgające końca płaszczka i przyglądała się Wiedmie badawczo. Chciała być jedyną pośredniczką między Kościejem a wiedźmami. Zdawała sobie jednak sprawę, że niektóre zaczynają powątpiewać w jego istnienie, a to groziło zbytnią swawolą i rozpasaniem, co przy ich niezwykłych mocach mogło stać się niebezpieczne.

– On żyje daleko w górach, większych niż te tutaj. Nie byłaś tam, zatem jakże dolećsz?

– Kościej pewnikiem mógłby się ze mną spotkać, jeśli by taka była jego wola.

– On może wszystko – odparła długowłosa. – Polecę i zapytam go, czy zechce, byś go obaczyła.

– Tu mam czekać? – spytała.

– Tako. Przybędę z wieściami.

Wiedma została na szczycie góry sama. Muszy nie było na sabacie. Wszystkie wiedźmy ruszyły rozochocone do swych wybranków, nawet Dobromiłka. Wiedma wpatrywała się więc w dogasający ogień i czekała. Radosny nastrój jej się nie udzielił. Nie miała też do kogo polecieć. Ani urodziwi, ani mądrzy jej nie odpowiadali, bo żaden nie był Jarowarem ani Żegotą. O Siemowicie chciała zapomnieć.

– Wiedmo. – Usłyszała głos Wieńczysławy za plecami.

Odwróciła się. Długowłosa wiedźma była sama.

– Kościej cię przyzywa.

Wieńczysława wydeła lekko usta. Sprawiała wrażenie, jakby ta wieść była nie po jej myśli, że przekazuje ją niechętnie, z przymusu.

– Gdzie mam przybyć? – spytała pospiesznie, bo Wieńczysława już rozkładała poły peleryny, by odlecieć.

– Do Kościeja. Jego zamek za Czarnym Stawem i górą zwaną Kościelcem. Tam, gdzie śnieg nawet w gorące dni zalega! – zawołała długowłosa posłanka i już jej nie było.

Wiedma czuła się oszukana i bezradna. Nie wiedziała, gdzie jest miejsce wskazane przez Wieńczysławę. Jak się tam dostać? Dlaczego Kościej nie zechciał przybyć? Przecież oczywiste było, że ona do niego nie poleciała, bo nigdy tam nie była. Wobec tego czeka ją długa, żmudna droga w odległe, nieznanne jej góry, a ona jest zbyt utrudzona, by podejmować kolejny wysiłek.

Rozżalona powróciła do przemyskiego grodu. Ogniska dogasały, wokół nich chrapali upojeni zwycięstwem i dobrymi trunkami wojowie. Zobaczyła otuloną peleryną Dobromiłkę. Wychodziła z chaty, którą chwilowo zajmował Bartus.

– Dobromiłko! – zawołała.

Niewiasta odwróciła się i na jej widok oblała rumieńcem. Wiedma nie musiała czytać w myślach przyjaciółki, żeby się domyślić, że odwiedziła tej nocy jej brata. Zawsze miała do niego słabość. Gdy odchodził do Nawii, oddała mu swą moc życiową, pozostałe wiedźmy ją wsparły i Bartus, uwolniony od biesa, powrócił do żywych.

Z chaty wyszedł brat. Niezmieszany widokiem siostry podszedł do Dobromiłki i ucałował jej uzdrawiające dłonie.

– To radość widzieć was razem. – Uśmiechnęła się Wiedma. – Chociaż wam Pełnia Żniwiarzy sprzyja.

– Siostrze – odezwała się Dobromiłka – aczli tak trapi cię owo Czarne Jezioro, udam się tam z tobą i pomogę rozwikłać jego tajemnicę.

– Same nie poradzimy. – Spojrzała ze smutkiem na swą jasnowęsłą, delikatną przyjaciółkę. – Tam złe moce mają siedlisko. Na nic się zdadzą twe uzdrawiające dłonie w walce z nimi, choć naznaczonym przez cichą pewnikiem pomogą.

– O czym prawie? – spytał Bartus.

– Dołóż do ognia i usiądźmy. Opowiem ci o Czarnym Jeziorze.

Opowiedziała o pobycie w Boruszu, o rozmowie z Borzymirem, niepokojących wieściach od Borysława. A potem o rozmowie z Wieńczysławą i zaproszeniu do zamku w górach.

– Nie pójdę do Kościeja – rozżaliła się. – Lubię Bożenę, ale nie pójdę. Jestem utrudzona. Wszytci nieustannie czegoś ode mnie chcą. A to ratuj przed cichą. Wspomóż w wojnie. Walcz o żywot tych. Pozwól umrzeć tamtym. A ja? Czy o mnie się kto troszczy?

Rozległo się krakanie. Rozejrzeli się. Mrok już dawno czmychnął przed budzącym się Słońcem i niebo kraśniało na widok oblubieńca Dadźboga. Nieopodal na szczycie dachu siedział kruk. Miał przypalone pióra.

– Przybyliśmy z Muszą, gdyś nas potrzebowała, siostrze – upomniała ją Dobromiłka. – Wiedźmir już po raz wtóry tego roku ratował ci życie. Krako jest wierniejszy niż pies. – Wskazała na kruka. – Wszytkich nas osądzasz, iż nie roztaczamy nad tobą opieki?

Wiedma załkała. Wiedziała, że Dobromiłka ma rację. Teraz jednak była zbyt zmęczona, by obiektywnie oceniać swój los. Czuła się rozżalona, nieszczęśliwa. Czuła się po prostu samotna.

Kościej



Miała wrażenie, że ktoś się jej przygląda. Podniosła głowę. „Jakowyś demon od umrzyków” – pomyślała. Widziała strzygi, utopce, upiry, porońce i wiele innych przerażających istot należących do świata współegzystującego ze światem ludzi. Ale tak potwornej istoty jeszcze nie widziała. Rzadkie siwe włosy spięte z tyłu głowy odsłaniały upiorne oblicze. Jak się okazało, było ono jedynie podobne do twarzy umarłaka, bo wciąż się tliło w nim życie. Głowa starca była czaszką pokrytą szarawą, mocno pomarszczoną błoną, a w oczodołach błyszcząły oczy. Ciemne źrenice na tle jasnych, połyskliwych tęczęwek uważnie ją śledziły.

– Przybyłaś – jego głos pozbawiony dźwięczności brzmiał jak złowieszczy szept wydobywający się ze zduszonego gardła.

Rozejrzała się zdziwiona. Stali na kamiennym tarasie przed pełnym przepychu, choć niewielkim zamkiem. Kamienna balustrada oraz ściana budowli przypominały bogate zdobienia w domu Borysława, tyle że nie były drewniane, ale wykute w skale i barwione. Wokół zamku aż po horyzont wznosiły się granitowe szczyty gór poprzecinane śnieżnobiałymi szczelinami.

Wychudzone ciało starca okrywała błyszcząca szata barwy pogodnego nieba, wyszywana złotymi niciami. Na zapadłych piersiach wisiał ciężki złoty medalion przypominający Słońce, którego promienie załamywały się w ruchu dookoła własnej osi.

– Jak się tu znalazłam?

Roześmiała się. Wargi, do tej pory głęboko schowane w bezzębnych ustach, drgały w spazmie śmiechu.

– Kiedy zrozumiesz swą moc, jasnowidząca, będziesz pewnikiem tak stara jak ja.

Wyglądał jak wysuszony na Słońcu trup. Chyba nie potrafiła powściągnąć obrzydzenia, jakie malowało się na jej twarzy, bo uciął nagle śmiech i powiedział:

– Nie chcesz być tak stara?

Nie odpowiedziała. Bała się, że może go zezłościć albo na powrót rozbawić, co też nie było przyjemne. Chyba to wyczuł, więc postanowił ją sprowokować.

– A żyć wiecznie byś chciała? Co? Napiłaś się wody życia?

Nie wypadło znowu zbyć go milczeniem.

– Aczli miałabym się starzeć i nie umierać, to nie.

Znow przewiercał ją wzrokiem. Przygarbiony, lekko się kołyszący opierał dłoń i cały ciężar ciała

o złotą rzeźbioną laskę.

– Może wcześniej nabędziesz mądrości niżli ja – sapnął.

Z zamku wyszła Wieńczysława, jak zawsze otulona płaszczem swych długich włosów. Uśmiechnęła się zdawkowo do gościa i promiennie do starca. Uchwyciła go pod ramię.

– Wyście Kościej? – Domyśliła się Wiedma.

Mężczyzna zaabsorbowany długowłosa niewiastą nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili oderwał wzrok od Wieńczysławy i przeniósł go z powrotem na gościa.

– Tako. Jam ten, co nie ma serca, więc nie można mnie pozbawić życia.

Towarzyszająca mu wiedźma również na nią spojrzała i uśmiechnęła się kąpiąco. Kościej sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Strzegę nieprzebranych skarbów i jestem w posiadaniu żywej wody – dodał.

– Tak bają bazarze. A jak jest po prawdzie?

– Po prawdzie nie mam serca. Należy do niej. – Wskazała na Wieńczysławę. – I mam żywą wodę. Ale po co ona komu, gdy młodości nie zachowuje?

– No i jesteście strażnikami czarownic – dodała Wiedma.

– Jak na czarownika przystało. – Nieprzyjemnie się roześmiał. – Ale w tym już mnie wyręcza moja ukochana wiedźma. – Przyciągnął niezgrabnie twarz oblubienicy, a ona z oddaniem ucałowała jego bezzębne usta.

Wiedma westchnęła. Widok ten powinien był wzbudzić w niej obrzydzenie, ale tak się nie stało. Zazdrościła im. Pomyślała, że nawet tak odrażająca istota jak Kościej ma kogoś, kogo może kochać z wzajemnością. Można by rozważyć, czy długowłosa wiedźma rzeczywiście go miłuje, czy też skusiły ją bogactwa czarownika. Wiedma jednak nie miała wątpliwości. Nigdy nie widziała siostry takiej, jaka była w obecności wybranka. Zamiast oschłej, zdystansowanej i zarozumiałej niewiasty u boku słynącego z okrucieństwa Kościeja stała łagodna, pokorna i czuła kochanka.

– Udajmy się na odpoczynek – Wieńczysława odezwała się do oblubieńca.

W tonie jej głosu nie było nic z apodyktyczności, jaką miała wobec innych wiedźm. Słowa te zabrzmiały jak prośba. Było w nich ciepło i oddanie.

– Tako. Już czas na ciebie, Wiedmo.

Wypowiedzi Kościeja, choć z trudem wyduszane przez ściśniętą krtanią, brzmiały tak, że nie sposób było się im przeciwstawić.

– Mogę jeszcze zapytać o coś? – spytała z drżeniem.

Wieńczysława była wyraźnie oburzona jej bezczelnością. Kościej jednak zatrzymał się i czekał.

– Ty i twoja oblubienica jesteście strażnikami czarownic. Wiecie, czemu Czarne Jezioro w Boruszu wabi wiedzące? Co kryje się w jego toni? Jakże złe tam siedzi?

– Zło rodzi zło. Trza znaleźć jego źródło. Pytaj o brata Boruty, Rokite.

– Aczli znasz przyczynę, czemu jej nie powiesz wprost?

– Niczego nie robię, gdy nie mam w tym zysku.

Odwrócił się i ruszyli z Wieńczysławą w stronę zamku.

– Maszli władzę nad wszystkimi wiedzącymi? Czemuś nic nie uczynił z tą, która mnie więziła i karmiła moją krwią upirzycę?

Wieńczysława zakłęła pod nosem i silny wiatr uderzył z rozpędem w Wiedmę. Pchnięta niespodziewanie zatrzymała się na ozdobnej balustradzie tarasu. Długowłosa wiedźma znów wypowiedziała zakłęcie, ale Kościej uniósł drżącą rękę i wiatr ustał.

– Uczyniłem. Posłałem ci kruka.

– Ty? – Zdziwiła się.

– Tako. Mniemam, iż dobrze się sprawił?

Przytaknęła tylko. Przypominała sobie, jak się pojawił. Wskazał drogę do leża upira. Odzyskał skradzione przez lichy i wiedźmę przedmioty. I tak już pozostał jako jej opiekun, ratując ją w Boruszu czy kiedy została zniewolona przez Pieczyngów.

– Czego żądasz w zamian za pomoc wiedzącym w Boruszu? – Nie dawała za wygraną.

Wieńczysława wyraźnie zniecierpliwiona przewróciła oczami. Nie ośmieliła się jednak przeciwstawić ukochanemu. Kościej wciąż stał z uniesioną dłonią, choć niepokojąco mu drżała. Drgały mu też zapadnięte głęboko usta. Trudno było ocenić, czy od śmiechu, czy w wyrazie szyderstwa, czy to zwyczajna starcza przypadłość.

– Żmijownika – rzucił krótko.

Zastanowiło ją, jak daleko sięga jego wiedza. Czy wie, co zrobiła z magicznym wisiorkiem, na którym była wryta głowa z węzowymi włosami.

– Nie mam. Ongiś oddałam go potrzebującej.

– Odbierz go zatem.

– Po co ci on?

– Lubię wszystko, co piękne. – Zaśmiał się. – Piękne niewiasty, piękne stroje, ozdoby, komnaty.

– Piękno winno iść w parze z dobrem – odparła wzburzona i pomyślała o Bożenie.

Kościej opuścił rękę i wiatr z drobinami lodu uderzył w jej twarz. Poczula pieczenie rozcinanej skóry.

– Biwio!

Słyszała głos brata. Rzadko kto ją jeszcze tak nazywał.

– Biwio! Oprzytomniej!

Drobinki lodu roztopiły się i spływały strużkami po twarzy. Otworzyła oczy. Bartus stał z cebrem, zanurzył weń dłoń i znów miała wodę w nosie, ustach, pod powiekami. Otrząsnęła się.

– Wróciłaś. – Odetchnął. – Coś ty uczyniła? Twe ciało było bez życia. Jużem myślał, żeś do Nawii odeszła, aleś nagle zaczęła krzyczeć. Nijak nie mogłem cię dobudzić. Pobieżałem po wodę.

– Byłam u Kościeja – powiedziała cicho.

– We śnie?

– Ponoć. Nie wiem, jak to uczyniłam.

Bartus usiadł przy niej. Był przejęty. Skubał swój pszeniczny warkocz i przyglądał się jej zaniepokojony. Nie znosiła tego warkocza. Zaczął go zaplatać, gdy go bies opanował. Bies już dawno przepędzony, a ten nadal plótł włosy. Nabrała mocniej powietrza i westchnęła.

– Co ci, siostrze? – Pochylił się zatroskany.

– Dycham sobie – mruknęła nieco poirytowana.

Odwyzyciała się od takiej troski, zwłaszcza ze strony brata. Wydała jej się wręcz podejrzana.

– Biwio, słusznie prawiałaś, że ci trza odpoczynku. Odprowadzę cię na Ostrowie i nie przyjmuję tam nikogo, póki nie poczujesz, iż siła znów jest w tobie.

– Chceszli się mnie pozbyć? – Pytanie nie zabrzmiało jak żart.

Zmierzyli się wzrokiem. Twarz brata była nieodgadniona. Nie ufała mu. Z drugiej strony stał przed chwilą z tym ceberkiem pełnym wody, po którą pobiegł, by przywrócić jej przytomność. Mógł przecież ją zostawić w takim stanie, w jakim była.

– Odprowadź mnie do Borusza. Odpocznę, gdy uczynię wszystko, co do mnie należy – poprosiła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– A co należy do mnie? – Bartus skrzyżował ręce na piersiach w geście zniecierpliwienia. – Jaki jest cel mojego życia? Wypędziłyście ze mnie biesa i ostawiłyście ciało. Jestem pusty w środku jak opróżniony dzban. Jestem bez życia jak wygarbowana skóra wilka.

– Dzban można napełnić. Czym? To twoja rzecz. Skóra z wilka też daje pożytek – chroni przed deszczem, zimnem.

– Gadanie! – zachnął się.

– Jak mam ci pomóc? Odsunąłeś się ode mnie, od ludzi. Sprawujesz pieczę nad chłopcami, ale nie widzisz w tobie miłości do nich, nawet do twego syna. Wszystko robisz jakby z przymusu.

– Przepomniałem, iż ty jedna mnie dobrze znasz.

– Już nie, bracie. Zmieniłeś się. Stałeś się obcy. Ongiś czułam to, co ty czułeś.

– Ninie nie czujesz nic, bo we mnie nie ma żadnych uczuć – westchnął.

– A we mnie ich za dużo: dobrych i złych. Sprzecznych, jak to mawia wodnik Sanon.

Zamilkli. Przyglądała się bratu. Nadal był jej lustrzanym odbiciem, choć miał cechy typowo męskie: wyraziście rysy twarzy, delikatny jasny zarost. Zastanawiała się, jak nieprzewidywalne jest życie. Ludzie, z którymi czuło się jedność, których rozumiało się bez słów, stają się nagle obcy, inni, nieprzystępni. Znika gdzieś poczucie bliskości. Wietrzeje... Co? Miłość? Czy między nimi nie ma już miłości, która łączy rodzeństwo? Może jest, tylko wyrzekli się jej. Skryli gdzieś głęboko, jak Kościej swoje serce według bazarzy. Serce czarownika mimo wszystko bije w jego zapadłych piersiach. Może ich uczucie, choć sponiewierane, wciąż jeszcze się tli?

– Co cię skłoniło do przyrowadzenia odsieczki pod Przemysł? – Od dawna próbowała mu zadać to pytanie.

– Chciałabyś, siostrze, usłyszeć, że moja troska. Ale skłamałbym. To Dragomir. On jest uparty. Nie wychodzi przed szereg, ale sprawia, że ten idzie tak, jak on chce. Jaropełkowi też zawsze ustępował pierwszeństwa, krył się w jego cieniu, ale to on decydował o długości tego cienia.

– Jeszcze nie znamy wszystkich jego mocy. Czy Jaropełek źle się czuje w ludzkim ciele? – spytała nieoczekiwanie.

Zastanowił się chwilę.

– Nie. Wręcz przeciwnie. Ludzka postać mierzi tylko jego ojca.

– Biedny Jaropełek – mruknęła. – To jak, bracie, z tą obietnicą odprowadzenia mnie?

– Na Ostrowie?

– Nie. Do Borsza.

– Niech będzie. Natenczas kneź jeszcze podkarmi moją drużynę. Należy im się.

Wyruszyli w trójkę: Wiedma, Bartus i Dobromiłka. Krako swoim zwyczajem trochę leciał, trochę spacerował. Ani na chwilę nie spuszczał z oczu swej pani.

Wiedma tęskniła za Jantarem, ukochanym bursztynowym kotem. Rada była, że został na Ostrowiu, bo zbyt dużo niebezpieczeństw wokół czyhało. Kot, nawet jeśli jest chowańcem wiedźmy, nie lubi zmieniać miejsca pobytu, a ona wciąż była gdzieś w drodze. Teraz miała kolejnego opiekuna, kruka. Zastanawiała się, czy ptak sam wybrał ją na swą panią tak jak kot, czy spełniał tylko wolę Kościeja. Trapiło ją też, czy Jantar i Krako się polubią.

Miała czas, by rozmyślać, bo Dobromiłka i Bartus byli tak zajęci sobą, że nie zauważali jej obecności. Widziała, iż skryty i obolały na duszy brat w towarzystwie jasnowłosej wiedźmy częściej się uśmiecha i nie jest to sarkastyczny czy pełen politowania grymas. Pomyślała, że pasują do siebie, albo raczej niegdyś by bardzo do siebie pasowali. Bo teraz obawiała się, że brat nie zasługuje na łagodną i pełną empatii Dobromiłkę. Ona jednak, mimo iż poznała Bartusa w tym trudnym dla niego okresie,

darzyła go nadzwyczajną sympatią, jeśli nie czymś więcej. Nie zrażała jej oschłość mężczyzny i jego wyobcowanie. Im bardziej on się wycofywał, tym ona mocniej parla. Im więcej okazywał chłodu, tym ona więcej ciepła.

– Może to tak ma być? – szepnęła do siebie, zaaferowana przeciwieństwami, które mają się ku sobie, a wręcz się uzupełniają.

– Co, Wiedmo? – spytała Dobromiłka, przekonana, że czegoś nie dosłyszała.

– Że sprzeczności się przyciągają, a jak kto ma je wszystkie w sobie, to musi być sam.

– O kim prawisz? – Nie zrozumiała przyjaciółka.

– O... Kościeju i Wieńczysławie – skłamała.

Legenda o Borucie i Rokicie



Borzymir poderwał się z zydlia i zaczął gestykulować, jakby chciał coś odpędzić. Czapka zsunęła się z jego skołtunionych włosów.

– Nie! – zakrzyknął. – To imię jest przeklęte! Niech pamięć o nim zniknie, przepadnie!

– To opowiedz choć o Borucie, jeśli nie chcesz o... jego bracie. – Wiedma nie wymówiła już słowa Rokita, by bardziej nie rozsierdzić seniora rodu. – Wszak to wasz przodek. Nie czcicie pamięci przodków?

Rodzeństwo siedziało w chacie Borzymira, bo jako najstarszy znał wszystkie historie swej rodziny. Dobromilka natomiast ruszyła na obchód chat w grodzie i na podgrodziu, by uzdrawiającymi dłońmi wspomóc tych, których dotknęła cicha.

Borzymir spojrzał nieufnie na gości. Jego skłonność do snucia opowieści gdzieś się ulotniła. Jakiś odwieczny nakaz, by pogrzebać pamięć o niechlubnym krewnym, był w nim mocno zakorzeniony. Z drugiej strony nie można utopić praszczura Boruty wraz z jego niecnym bratem w rzece niepamięci.

– Czcimy – zaczął, choć bez przekonania w głosie – za bramą na pobliskim wzgórzu Boruta ma usypany wielki kopiec. Był walecznym i mądrym witeziem. Takiego grodu, jaki on zbudował, nie było nigdzie. Borusz jest nie do zdobycia. Mamy liczne źródła wokół. A i blisko trakt, kupcy tu zachodzą. Wiedzie się nam niezgorzej dzięki mądrości naszego przodka.

Starzec trochę się już uspokoił. Przestał się kręcić nerwowo po izbie, tylko usiadł i wziął porzucone przed chwilą dłuto. Obok leżał prawie gotowy drewniany czerpak, jeszcze niewyglądony. Podniósł go i przyjrzał się nieskończonej pracy. U szczytu uchwytu powstawał niedźwiedzi łeb, do którego prowadził wzdłuż rączki falisty ornament.

Wiedma widziała już wiele takich przedmiotów na terenie grodu. Ród zamieszkujący go wszak słynął z talentów snycerskich. Boruszanie zdobyli przedmioty codziennego użytku: naczynia, ławy, skrzynie, ale i broń. Wymyślne wzory i okładziny łuków zachwycały nawet w dalekich krajach, gdzie kupcy dostarczali zakupiony w Boruszu towar.

Rodzeństwo siedziało naprzeciw Borzymira i cierpliwie czekało na dalszy ciąg. Witeź jednak się nie spieszył.

– A jego żona? – Bartus nie wytrzymał – On waszym dziadem, to i żenę musiał mieć. Waszą praszczurzycę.

Snycerzowi zaczęły się trząść ręce. Rzucił znów czerpak i dłuto.

– Ona przeklęta! – prawie krzyknął. – Odbieżała do innego, ostawiając Borutę w smutku i zgrzyocie! A kiedy ten słabował w rozpacz, jego niegodny brat przybył i zadał mu śmiertelny cios.

– Nikt nie pomścił jego śmierci? Rokicie uszło to płazem? – Bartus nie zwrócił nawet uwagi, że znów wymówił imię brata Boruty.

– Idźcie już! Opowiedziałem wam, co wiem od mego rodzica, a on od swego.

– Nic mi ta historia nie pomogła. – Wiedma wstała. – Jak wysnuć wspólną nić z tej przędzy? Co wiecie o Czarnym Jeziorze? Z jakiej przyczyny żaden zwierz do niego nie wchodzi, nie pije zeń wody?

– Gadają, że tam gród zatopiony – odparł, również wstając, dawał tym samym do zrozumienia, że i on się już żegna. – Boginki go zatopiły, nim Borusz zbudowali. Stąd te głosy z wody się niesą.

Udali się do chaty Borysława i Bożeny. Małżeństwo bardzo się ucieszyło na ich widok. Wiedmę witali jak wybawicielkę, jakby z jej pojawieniem się miały skończyć się wszelkie troski. A że mieli ich pod dostatkiem, widać było na zmęczonych twarzach. Ziemista cera, sine cienie pod oczami, nowe zmarszczki i pierwsze siwe włosy. Niewyspanie dawało im się we znaki. Cały czas jedno z nich czuwało. Głosy z jeziora stały się bardziej natrętne. Zaczęły nękać Bożenę nawet za dnia.

– Też słyszeliśmy, iż tam gród zatopiony i jakieś złe w nim siedzi. Nic nam więcej nie wiadomo – wyjaśnił Borysław po usłyszeniu relacji z wizyty u seniora rodu.

– Muszę najść wątek jeziora w osnowie losów waszych praszczurów. – Wiedma nie dawała za wygraną.

– Wiemy, iż Boruta gród ten zbudował i że był tak wielkim witeziem jak wielkim nieszczęśnikiem, opuszczonym przez niewierną żonę – odparł ze smutkiem Borysław. – Nic nam więcej nie wiadomo.

– Może co więcej będzie wiedział Bajdała spod Rokietnicy? – odezwała się Bożena.

– Gdzie ty, niewiasto, chcesz posłać naszych dobroczyńców? Do gniazda żmij? – obruszył się mąż.

Widać było, że każdy boruszanin miał wpojona nienawiść do sąsiadów. Nawet Borysław, człowiek szlachetny, uwielbiany przez wojów, troskliwy mąż, nie potrafił spojrzeć obiektywnie na mieszkańców pobliskiej Rokietnicy. Każdy, kto tam mieszkał, był wrogiem. Bożena natomiast sprowadziła się do męża przed paru laty, nie zdążyła więc przesiąknąć nienawiścią do sąsiedniego rodu.

– Kiedyś byłam podwiką, powiadali, iż Bajdała zna wszystkie historie. Wie nawet, jak świat powstał i ludzie – dodała nieco obrażona reakcją małżonka.

– Najdziemy go. – Wiedma podjęła decyzję, spoglądając na brata.

– Tako – odparł Bartus. – Aczli nie zdążymy przed zachodem Dadźboga. Dzień już jak jego jedno ziewnięcie.

Ustalili, że tej nocy będzie czuwał Bartus. Gdy poczuje się zmęczony i śpiący, obudzi Borysława. Trzy wiedzące w jednej chacie to nie lada wyzwanie dla strażnika. Wprawdzie Bożena nie była wiedźmą, ale nauczona, jak przygotowywać ziołowe napary, maści, zamawiać chorobę, widocznie zaczęła być postrzegana przez mieszkanki Czarnego Jeziora jako wiedząca. Podobnie jak córka i świeść Borzymira zgłębiające tajniki zielarstwa.

Bartus zaryglował drzwi i usiadł przy palenisku. Blisko, na wyciągnięcie dłoni spała Dobromiłka. Poglądził z czułością jej jasne włosy.

Wziął miseczkę, napełnił ją pęcakiem przyprawionym koprem i zaniósł w kącie chaty.

– Domowiku, dobry duchu tego domu, przyjmij ten należny ci dar i sprawuj ze mną pieczę nad tą chatą i jej mieszkańcami.

Nie widział opiekuńczego demona, ale miał nadzieję, że jest i go wysłucha. Zasiadł na powrót przy ogniu i żeby zająć ręce oraz myśli, zabrał się za struganie drewna na strząły.

Wiedma leżała okryta pledem. Nie spała. Przyglądała się Bartusowi. Rozmyślała o nim,

o Dobromiłce i o nieszczęsnym Borucie. Dlaczego Rokita zabił brata? I to w chwili takiego cierpienia. Czy był tak do gruntu zły? Ona też chciała zabić Bartusa, ale czuła się usprawiedliwiona. Wszak czyniła to w imię dobra. Może założyciel Rokiety też miał swoje racje? I najgorsze z pytań, przed którym uciekała, a ono znajdowało ją wszędzie: Czy są takie racje, które dają prawo do morderstwa?

Zamknęła oczy. Obudził ją dźwięk młota uderzającego w kowadło. Zbliżał się wieczór. Stała przy chacie nieopodal Czarnego Jeziora. Zdziwiła się, bo nigdy wcześniej nie widziała tu żadnego domostwa. Pod chatę zajechało trzech jeźdźców: dwóch strażników, a pośrodku mężczyzna strojnje odziany. Czerwony płaszcz z czarnym futrzanym podbiciem komponował się z jego ciemnymi prostymi włosami i długimi wąsami. Jeden ze strażników zniknął za drzwiami chaty. Po chwili wyszedł i coś powiedział do bogatego witezia. Ten skrzywił się i narzekając, wyciągnął zza pasa buławę, odpiął miecz i nóż. Oddał broń strażnikowi, zsiadł z konia i wszedł do chaty. Z głębi domostwa rozległ się krzyk. Strażnicy wbiegli do środka. Szczęk broni mieszał się z przeraźliwymi wrzaskami. Po chwili z wnętrza wybiegł czarnowłosy witeź. Nie miał na sobie płaszcza, a jego strój był czerwony od krwi. Zachwiał się, przyklęknął i z trudem się podniósł. Ruszył w stronę jeziora. Wiedma przerażona skonstatowała, że mężczyzna ma odciętą rękę. Drugą natomiast przyciska do piersi zakrwawiony nóż wolutowy. Podobny widziała podczas pamiętnej ofiary składanej Swarogowi przez Wiedzimira. Krew wręcz tryskała z odciętego ramienia, znacząc drogę umierającego. Czerwona ścieżka prowadziła do jeziora. Ranny wszedł do wody i upadł na kolana. Płakał. Głośno, rozpaczliwie.

– Dobromiłko, co ty czynisz? – Ze snu wyrwał ją dobiegający skądinąd głos.

Otworzyła oczy. Domowik odkładał pod ścianę wierzbową miotłę, starając się, by cienkie gałązki wiechcia sterczały do góry. Bartus przytrzymał odryglowane drzwi, które właśnie usiłowała otworzyć Dobromiłka.

– Potrzebuję mnie – tłumaczyła ukochanemu. – Ktoś w grodzie zaniemógł. Wołają o pomoc.

– Nie puszczę cię.

Dobromiłka nie odezwała się już, nie przestawała jednak nastawać na drzwi, nie zwracając uwagi na Bartusa.

Rudowłosy domowik westchnął. Chwycił miotłę i zamachnął się. Wiecheć wierzbowych gałązek uderzył w głowę wiedźmy i przejechał po jej policzku, znacząc cieniutkie pręgi. Syknęła z bólu i uniosła dłoń do twarzy.

– Co się stało? Co ja tu robię? – spytała, jakby się dopiero przebudziła.

– Cały czas cię o to zapytuję – odpowiedział Bartus i przytulił ją.

Kiedy przyciskał do swych piersi jasnowłosą niewiastę, Wiedma dojrzała na jego twarzy świeże zadrapania. Musiały pojawić się wcześniej, bo wiecheć miotły nie sięgnął jego twarzy, gdy domowik budził Dobromiłkę.

– Kieby nie ta drapak, trza by było chyba żagwią żgnąć – mruknął zdegustowany domowik, odstawiając na powrót miotłę.

Wiedma nie mogła zasnąć. Każdy szmer, każde westchnienie wzbudzały jej czujność. Bała się, że gdy zaśnie, głosy będą ją wzywać, że uspią czujność Bartusa, a może i domowika. Borysław zaczął chrapać. Chrapliwe dźwięki, które wydawał, na dobre wybiły ją ze snu.

– Bartusie, legnij trochę. Będę czuwać.

Brat nawet nie przerwał pracy. Pochylony nad ociosanymi promieniami strzał polerował je.

– Nie obawiaj się, drugi raz nie przysnę – obiecał.

Zaczęła cichutko śpiewać zaklęcia. W ten sposób zagłuszała chrapanie Borysława. Potem już go nie słyszała, skupiona na powtarzaniu słów *dar* i *slawo*, na ich mocy, która się jej udzielała.

Znów stała nad Czarnym Jeziorem jako niemy widz wydarzeń. Z głębi wody wydobywał się śmiech. Nie był wesoly, ale nieznośny, nieprzyjemny jak chrapanie Borysława. Na powierzchni jeziora unosiło się jakieś ciało. To była niewiasta. Miała poszarpaną suknię, rozwichrzone, splątane włosy falowały wokół jej głowy. Otwarte do krzyku usta sugerowały, że zginęła nie z własnej woli i prawdopodobnie przed śmiercią wołała o pomoc. Bezskutecznie. Z chaty, znanej z poprzedniego widzenia, wyszedł czarnowłosy mężczyzna. Wyglądał jak ten, który utracił rękę. Człowiek miał teraz obie ręce i dźwigał w nich ciężkie kowadło. Gdy je niósł, pobrzękiwał łańcuch przytoczony do żelaznego przedmiotu. Wkrótce dźwięk ustał, bo mężczyzna wszedł do wody. Za to śmiech w głębi jeziora nie ustawał.

Wiedma z przerażeniem patrzyła, jak mężczyzna, próbując utrzymać kowadło, jednocześnie obwiązuje łańcuchem ciało niewiasty. Potem z rozmachem rzuca przytargany przedmiot jak najdalej od siebie, w toń. Ciało powędrowało za kowadłem.

– Wracaj już! Dobromiłka! – To był głos Bartusa i dobiegał z zupełnie innego świata.

Otworzyła oczy. Była wyczerpana. Nie miała sił, by się od razu podnieść. Odwróciła głowę. Drzwi chaty należącej do Borysława i Bożeny były otwarte na oścież. Przy palenisku leżały porzucone owcze skóry. Nie było ani jasnowłosej wiedźmy, ani Bartusa.

Zerwała się z posłania i musiała na powrót usiąść, by nie upaść. Wzięła kilka głębokich oddechów. Na zewnątrz Krako terkotał bez opamiętania.

– Dobromiła! – Znów usłyszała niespokojny głos Bartusa.

Dopała do drzwi. Teraz oślepiąca światłem ognia palącego się w izbie nic nie widziała. Noc była ciemna. Chmury zasłaniały gwiazdy i Księżyc.

Jakaś postać zbliżała się do niej. Zanim zdążyła przymknąć powieki i ponownie je otworzyć, ciemna sylwetka stała już przed nią.

– Nie ma jej tu? – Rozpoznała Bartusa.

– Nie. Biegnij nad jezioro! Może tam jest.

Wróciła do chaty, chwyciła rozżarzone polano i wybiegła. Szła w ciemność, próbując rozświetlić okolicę.

– Dobromiłko!

Uśpiony gród trwał w ciszy. Strażnicy czuwali gdzieś na zewnętrznym wale, skupieni raczej na odgłosach spoza grodziska. Wiedma dotarła pod częstokół jednego ze środkowych obwarowań i szła wzdłuż ogrodzenia. Nagle usłyszała trzask łamanej gałęzi. Zatrzymała się, nasłuchując. To były czyjeś kroki. Nie widziała jednak nikogo.

– Wiedmo, to ty?

– Dobromiła! Gdzie ty się włóczysz! – wrzasnęła.

Strach o przyjaciółkę zastąpiła złość. Oświetliła twarz jasnowłosej niewiasty, żeby się przekonać, czy to naprawdę ona, a nie jakieś omamy.

– Sama wiesz, jak działa ocet morowy. Musiałam wyjść – wyjaśniała zawstydzona wiedźma.

– A Bartus? Nie uprzedziłaś go?

– Uprzedziłam, ale przecie nie ciągnęłabym go z sobą.

Gdy dotarły pod chatę, roztrzęsiony Bartus chwycił Dobromiłkę w ramiona i długo nie wypuszczał. Dotykał jej włosów, twarzy, jakby się upewniał, czy to na pewno ona. Uspokojeni weszli do środka. Blask domowego ogniska rozświetlał izbę. Zobaczyli więc, że posłanie Bożeny jest puste.

Znów biegli w stronę jeziora. Rozdzielili się. Wiedma i Dobromiłka obiegały je od prawej, Bartus od lewej. Cały czas wołali Bożenę. Nie mogli sobie darować, że byli tak nieodpowiedzialni. Zaaferowani

zapomnieli trzymać straż nad pozostawioną w otwartej chacie żoną Borysława. Wiedma zobaczyła jakąś postać stojącą w wodzie. To była niewiasta.

– Patrzaj! – zawołała do przyjaciółki i pociągnęła ją z sobą. Wbiegły do wody.

Niewiasta wchodziła coraz głębiej, nie zwracając uwagi na ich okrzyki. One natomiast chciały ją złapać, zatrzymać.

– Stój!

– Nie idź tam!

Kruk na brzegu jeziora podrywał się do lotu i opadał. Wydierał się przy tym na całą okolicę. Nie zwracały na niego uwagi. Przejęte, że zaraz mogą stracić Bożenę, wchodziły coraz głębiej. Nagle Wiedma poczuła, że jej łydki oplatają czyjeś palce. Uścisk wzmógł się i nagle szarpnięcie strąciło ją do wody. Prawie równocześnie coś pociągnęło w głąb Dobromiłkę. Wiedma próbowała się wyrwać. Chciała użyć kozika, ale nie miała go przy sobie. Uświadomiła sobie, że leży przy jej posłaniu. Woreczek z mandragorą też.

Rozpaczliwie szukała jakiegoś punktu oparcia: kamienia, rośliny, których mogłaby się uchwycić. Na próżno. Coś ją wciągało coraz głębiej. Wykrzyczała zakłęcie, mimo że woda zalewała jej usta. Dłoń nie puściła jej wprawdzie, ale się zatrzymała. To jej wystarczyło, by się poderwać. Zobaczyła niewiastę, za którą biegły z Dobromiłką. Uśmiechała się do niej bladolica piękność, jedna z zapadlisek. Rodziły się one ze złych ludzi, którzy zginęli w zapadniętych, zatopionych grodach lub osadach. Uśmiech demona był triumfalny.

Znów szarpnięcie, zakotłowała się woda, a w niej Wiedma. Próbowwała się ratować, wyrwać. Coś chwyciło ją za rękę. Teraz jeden demon wciągał ją w toń, drugi darł w przeciwnym kierunku. Ona, mając tylko jedną wolną rękę, walczyła, by złapać choć haust powietrza. W końcu szarpnięta z ogromną siłą jęknęła z bólu, jaki niesie wywichnięte ramię. Ktoś ją chwycił wpół. Nie widziała kto lub co. Nic już nie widziała. Ból niósł ukojenie. Straciła przytomność.

Słońce przygrzewało, jakby to była pełnia lata. Stała znów nad brzegiem Czarnego Jeziora. Coś jednak było nie tak. I nie chodziło o młody dąbek z kilkoma zielonymi listkami miast starego rozłamanego drzewa. Omiotła wzrokiem okolicę. Dom, w którym miała miejsce krwawa walka, z którego czarnowłosy mężczyzna wywłócił kowadło, nie był jeszcze wybudowany. Dopiero powstawały jego zręby. Było coś jeszcze. Coś, co nie dawało jej spokoju. „Na Peruna! Jakże mogłam tego nie zobaczyć od razu!” – pomyślała. Woda w jeziorze była przezroczysta!

Otoczenie zawirowało i znów się zmieniło. Usłyszała odgłosy walki. Wysoki dźwięk żelaza, głuche uderzenia w tarcze, zgrzyt ostrza zsuwającego się z umba. Walczący zbliżali się do niej, a właściwie do jeziora. To był pojedynek. Mężczyźni walczyli w milczeniu, zaciekle. Przyglądała się im i nie wiedziała, który zwycięża. Miała wrażenie, że jeden woj rozdziwił się i walczy sam z sobą. Obydwaj mieli identyczną posturę i identyczny strój, obydwaj czarnowłosi, wąsaci i tak samo zwinni. Jeden zaczął mocniej napierać na drugiego i weszli do jeziora. Nawet nie zwrócili na to uwagi. Nagle ten po prawej rzucił broń, tarczę i chwycił się za ramię. Spod zaciśniętych na nim palców popłynęła krew. Pochylił się, by ją splukać. Krew, gdy połączyła się z wodą, zadziałała jak łyżka barwnika z czerwca w cebrzyku. Po chwili całe jezioro było zabarwione na czerwono. Nie trwało to jednak długo. Gdy powierzchnia wody się wygładziła, miała już kolor czarny niczym noc.

– Biwio! – Gdzieś z oddali dręczył głos Bartusa.

Dźwięki były coraz głośniejsze, przykre dla ucha. Ktoś nią szarpał, uderzał w policzek. Nieprzyjemne doznania wybudzały ją ze stanu omdlenia.

Podniosła powieki. Pochylali się nad nią brat, Borysław i Dobromiłka. Wszyscy byli przemoczeni,

z włosów spływały im krople.

– Jak dwie krople wody – powiedziała cicho.

– O czym ty prawisz? – spytał Bartus przestraszony jej pozbawionymi sensu słowami.

– Bracia – odparła. – Boruta i Rokita. Tacy sami.

Chciała się podnieść i w tym momencie zabolą ją ramię. Nagle straszny obraz sprzed omdlenia powrócił. Spojrzała na zebranych z trwogą.

– Wciągnęły Bożenę?

– Ciebie wciągały i Dobromiłkę. Dobrze, że Borysław was wyratował – odparł Bartus.

Spojrzała na potężnego woja. Zaczerwieniona, oszpecona bliznami po ospie twarz uśmiechała się do niej promiennie. Dowódca straży czuł dumę z dobrze wykonanego zadania.

– Sława ci. – Zawołanie to, choć tym razem wyszeptane, najlepiej wyrażało wdzięczność i podziw.

– Kruk mnie naprowadził – wyjaśnił skromnie.

– Gdzie Bożena?

– Śpi – odparła Dobromiłka. – Bartus ją nalazł, jeszcze do wody nie weszła. Odprowadził do chaty. Nawet się nie obudziła.

Poza Bożeną wszyscy czuwali do świtu. Wiedma opowiedziała im o swoich wizjach. Próbowali wyciągnąć z nich jakieś wnioski. Jedno było pewne: bracia byli identyczni. Walczyli z sobą. Przelana braterska krew zaczerniła jezioro. Jeden z nich zatopił w nim jakąś niewiastę. No i któryś z nich, pozbawiony ręki, spoczywa w jego toni. Tylko czy to jest ten sam, który przytroczył ciało do ciężkiego kowadła?

– Czego w Boruszu nie mówią, rzekną może w Rokietnicy. Trza nam wyruszyć do owego Bajdały – zdecydowała Wiedma.

Gdy mrok umknął przed światłem Dadźboga, byli gotowi do drogi. Szli powoli, niepewnie, co chwila sprawdzając położenie Słońca albo z której strony mech porasta pnie, bo nie było żadnej ścieżki między Boruszem a Rokietnicą. Mieszkańcy tych osad nie odwiedzali się i dawne szlaki porósł gęsty las. Wreszcie dotarli do dróżki wydeptanej przez zwierzęta, a ta poprowadziła do strumienia. Potoków było w okolicy wiele. Wiedma nie była pewna, czy to właściwy. Zdała się jednak na Bartusa. I słusznie.

Chata Bajdały stała w pewnym oddaleniu od pozostałych domów. Gwarno jednak było w obejściu, a to za sprawą gromady dzieci. Nieopodal chaty pasły się owce, krowy, a mali pastuszkowie dokazywali w okolicy, biegając i bawiąc się w chowanego.

Bajdała siedział na ławeczce przed chatą, co chwila wdychał z lubością dym z ziół żarzących się w miseczce i coś opowiadał.

– Bajdało, czemu Perun ciska w nas piorunami? – kontynuowała rozmowę płowowłosa dziewczynka.

– A cisnął kiedy w ciebie? – zapytał starzec.

Miał pomarszczoną twarz, ale większość zmarszczek zdradzała nadmierną skłonność do śmiechu. Wydawało się, że uśmiech stale błąka się po jego obliczu.

– Nie. Ale zeszłego lata spalił jedną chałupę. I w drzewa ciska.

– Gromowładny ciska piorunami w smoka, bo ten kradnie wodę. Od początków świata są w nieprzyjaźni. O! Mamy gości! – Bajdała zauważył Wiedmę i Bartusa.

Nie poderwał się jednak. Przyjrzał się rodzeństwu.

– Spocznijcie, proszę. Jakie bogi was tu niosą? – Wskazał miejsce obok siebie.

– Pewnikiem sam Perun – odparła Wiedma, ale nie usiadła.

– Przysłał nas, byś nam, Bajdało, opowiedział o Borucie i Rokicie – dodał Bartus.

Starzec spoważniał. Przyglądał się im spod lekko zmrużonych powiek.

– To nie jest opowieść dla uszu małych dzieci. Wejdźcie do chaty. – Podniósł się z trudem.

Wziął miseczkę z tłącymi się ziołami i wskazał drzwi. Weszli. Wnętrze chaty było skromne. Wszędzie stały figurki wyciosane w drewnie. Przedstawiały Peruna trzymającego się pod boki, a nacięcia na jego szacie przypominały błyskawice. Był i Trzygłów łagodnie uśmiechający się wszystkimi trzema twarzami. Rozpoznali też idola Mokoszy kuszącej kształtnym krągłym ciałem z lipowego drewna.

– Bliźnię rodzeństwo chce usłyszeć o bliźnich braciach. – Mieli wrażenie, że gospodarz mówi sam do siebie.

– Tako. Chcemy poznać ich losy, bo... – zaczął Bartus.

– Nie pytam was po co. Bogowie wiedzą to najlepiej – przerwał Bajdała.

Usiadł ciężko. Delikatnie zaczął dmuchać w żar znajdujący się w miseczce. Siwy dym otulił jego nieogoloną, nabierającą rumieńców twarz. Wdychał go z namaszczeniem, przymykając powieki. Kiedy otworzył oczy, błyszcząły, jakby były pełne łez. Dym wypełnił całe pomieszczenie. Wiedma wyczuwała charakterystyczny zapach piołunu, ale najmocniej czuła ostrą, ziemistą woń lulka.

– Boruta i Rokita to bliźni bracia – zaczął opowieść – miłowali się i wszystko zarówno odczuwali. Gdy jednego zraniono włócznią w bark, drugiemu ból w tym samym miejscu spać nie dawał. Gdy Boruta płakał, Rokita też odczuwał smutek. Gdy Rokita zwyciężał, Borutę rozpieszała radość.

Starzec opowiadał, przerywając tylko od czasu do czasu, by dmuchnąć delikatnie w żar miseczki. Rozchodzący się po chacie dym pobudzał wyobraźnię słuchających.

– I rozmiłowali się w jednej dziewczynie. Była wiedząca. Dziewonią ją zwano. Mieszkała w borze, a drzewa, krzewy i runo leśne nazywała braćmi. Dziewczę pokochało obu. Bo jakże miała wybrać, kiedy oni tacy sami byli? Żaden nie chciał ustąpić, bo tak samo byli uparci.

– I stanęli do walki – wtrąciła się Wiedma.

Starzec westchnął. Podał jej miseczkę z żarem.

– Stanęli, ale to późniejsze dzieje. Póki co próbowali innych sposobów. Czekali, co przyniesie dola. Dziewonia błąkała się po lesie, pytała drzew, wiatru. Nikt nie umiał jej doradzić. Aż dotarła na wzgórze, gdzie biło źródelko i rozlewało się w krystaliczne jezioro. Jakieś wodnice czy inne mieszkanki owego miejsca namówiły ją, by poślubiła tego, który wzniesie tam potężny gród. Bracia wzięli się do pracy. Rosły potężne wały jeden za drugim, jeden obok drugiego. Były wysokie, mocne. Bracia wzniesli warowny gród, a Dziewonia nadal nie wiedziała, którego wybrać. Przecie nie mogła poślubić obydwu. Bywa, iż mąż ma dwie żony albo i więcej. Ale nigdy na odwrót.

Wiedma ulegała powoli magii opowieści i wonnego dymu. Obraz braci, dziewczyny i jeziora stawał się coraz wyrazistszy, nasycony barwami. Oddała miseczkę bratu.

– Widziałam, jak walczyli i zbrukali braterską krwią jezioro. – Obrazy z wizji powracały.

– Boruta zranił Rokitę i jako zwycięzca osiadł w Boruszu, biorąc swańbę z Dziewonią.

– Jakaż ona była piękna. – Bartus najwyraźniej też ulegał wizji.

– Dziewonia miłowała męża, rodziła mu dzieci, ale nie przestała też miłować Rokity. Ten nieopodal założył osadę, miał kilka żon i wciąż nie radził sobie z tęskniczą za tą jedyną. Żona Boruty wymykała się nocami nad jezioro i tam, roniąc łzy, skarżyła się wodnicom. Barzo chciała ujrzeć drugiego ukochanego, aleć nie mogła, bo bracia żyli w nieprzyjaźni. Wreszcie pewnej nocy, gdy Miesiąc świecił w pełni, wymknęła się do niego. Pewnikiem za namową wodnic.

– To zapadłiski, panie zatopionej osady – sprostowała Wiedma.

Bajdała nie zwrócił uwagi na wyjaśnienie gościa, bo z drugiej strony, jakie to ma znaczenie, jak owe wodne demony będzie się nazywało. Na pewno nie były dobrymi doradcami.

– Boruta, mimo iż zerwał z bratem, wciąż był z nim połączony nierozzerwalną więzią. Kierowany przeczuciem obudził się i nie znalazłszy żony, wsiadł na konia i popędził po nią do Rokietnicy. Nie mylił się. Dziewonia była u Rokity.

– Tako. Widziałam – wtrąciła się Wiedma. – Odebrał ją i utopił w Czarnym Jeziorze.

– I rzucił klątwę na wszystkie wiedzące, których noga przestąpi wały Borusza – dodał Bajdała.

Wiedma wstała i otworzyła szeroko drzwi. Zacerpnęła świeżego powietrza.

– Zatem to Boruta utopił żonę, a Rokita przybył ją pomścić. Obydwoje spoczywają w przeklętym jeziorze.

Bartus i Bajdała upojeni wonnym dymem egzystowali jeszcze na granicy jawy i snu. Wiedma zdążyła się przez lata uodpornić na działanie niebezpiecznych ziół, powróciła więc do rzeczywistości wraz z pierwszym powiewem powietrza, który poczuła na twarzy.

– Bajdała. – Odwróciła się w stronę izby. – Jak zdjął klątwę?

– Jam Bajdała, co bajdurzy, a nie wróży – odpowiedział i zaczął chichotać zadowolony z wymyślnego na poczekaniu rymu.

Humor udzielił się i Bartusowi, bo obydwaj zaczęli się zaśmiewać. Wiedma zirytowana wyszła przed chatę. Najchętniej udałaby się do wodnika Sanona. Wprawdzie nigdy nie dawał gotowych odpowiedzi na dręczące ją pytania, ale zawsze naprowadzał ją na właściwą drogę. Albo przynajmniej napawał wiarą, że sama znajdzie rozwiązanie.

Patrzyła na biegające dzieci. Zauważyła dwie ciemnowłose dziewczynki pasące nieopodal bydło. Wyglądały na siostry.

– Czy je też łączy bliźnia więź? – spytała sama siebie.

Zaczęła rozmyślać nad losem Boruty i Rokity. Kochających się braci rozdzieliła zazdrość. Może inaczej potoczyłoby się ich życie, gdyby potrafili przebaczać? Myśli niczym kruki przelatywały od jednej historii do drugiej i nawet nie zauważyła, kiedy zaczęły krążyć wokół niej i Bartusa. Między nimi wciąż była jakaś niewidzialna przeszkoda, która zrodziła się przed laty. Mimo że rozmawiali z sobą i wspólnie usiłowali rozwikłać tajemnicę jeziora, było coś, co nie pozwalało przywrócić dawnej więzi.

Bartus wyszedł z chaty Bajdały. Był wesoły, jakby dopiero co poznali jakąś zabawną historię, a nie tragiczne losy bliźnich braci. Popatrzyła z powagą w jego bursztynowe oczy, takie same jak jej.

– Przebacz mi, bracie.

Zamrugła zdziwiony. Nie rozumiał przyczyny tak nagłej zmiany nastroju siostry, a tym bardziej sensu jej słów.

– Tyś mnie o przebaczenie prosił, a jam ci i tak wypominała twe czyny. Myślałam ino o swej stracie i swoim bólu. Kiedyś bies cię opętał, nie byłeś sobą, a ja rościłam sobie prawo do pobawienia cię żywota i widziałam w tym słuszność. Azaliż słusznym jest nieustanne chłostanie cię wyrzutami, skoroś nie był wtenczas sobą? A bez ustanku chłostasz. Nigdyś zaś cię nie przeprosiła, żem ongiś chciała cię zabić. Ninie proszę, byś mi wybaczył.

Bartus spoważniał. Coś w jego spojrzeniu zmiękło, jakby jakaś gruda lodu zaczęła topnieć. Nie przytulił jej jak Dobromiłki, nie drgnął nawet, lecz mimo to czuła, że z obcego mężczyzny łudzaco podobnego do niej znów staje się swój, staje się dawnym Bartusem, duszą jej duszy.

– Siostro, nigdyś by cię nie skrzywdził ani twego ukochanego, gdybym wtedy był sobą.

Nie potrzebował już nic więcej mówić. Ona wiedziała. Czuła jego ból, wyrzuty sumienia, rozpaczliwą chęć naprawienia krzywd. Odczuwała jego samotność i najbardziej dojmujące uczucie: wstyd. Wstyd, który starał się ukryć pod arogancją i pozorną obojętnością. Wstyd, który rodził niechęć

do jakichkolwiek działań. Wstyd, że tak daleko się posunął, iż ukochana siostra pragnęła jego śmierci. Ten wstyd nie budził skruchy. Ten wstyd wywoływał bunt.

Zaterkotał kruk. Przybyli tu bez niego. Pewnie odsypiał o świcie nocne przygody. Ale znalazł ich i krakał zadowolony.

– To Jarowar, mój ukochany. – Wskazała na ptaka.

Krako zakrakał jeszcze raz i odfrunął. Wiedma przypomniała sobie słowa Loty. Miała nie wymieniać jego dawnego imienia.

– I właśnie ponownie go utraciłam – szepnęła przejęta.

– Uwolniłaś go, siostrze. Dobrze uczyniłaś.

– A ja się troskałam, czy polubią się z Jantarem. Oniś się lubili.

– Polowaliby na siebie. Czasem jedno dla dobra wszystkich powinno odejść.

– Prawisz o Borucie, Rokicie i Dziewonii?

– Nie. O tobie, Jarowarze i Żegocie.

– Ja... – Przerwała na chwilę, bo głos zaczął jej się łamać. – Ja nie mam żadnego.

Klątwa



Dobromiłka pełna niepokoju czekała na powrót Bartusa i Wiedmy. Chorych w Boruszu było już niewielu. Roztoczyła nad nimi opiekę jako zielarka, ale i dzieliła się swą uzdrawiającą mocą, której nie miała dziś zbyt wiele po ciężkiej nocy. Spoglądała co chwila na Słońce, zastanawiając się, czy znów będzie zmuszona nocować w tym przerażającym miejscu. Dlatego witała się teraz z Wiedmą i jej bratem nader wylewnie. Z Bartusem nawet nieco dłużej.

Borysław z żoną, Bolebor, a także Borzymir wyszli im na spotkanie.

– I co ci nabajdurzył ten nikczemny Bajdała? – spytał z przekąsem stary witeź. Widocznie powiedzieli mu, gdzie się udało rodzeństwo.

– To, com sama widziała w wizjach – odparła lakonicznie. – Borzymirze, jeśli ci pamięć córki i święci droga, uczyń, co ci powie Bartus.

Borzymir spoglądał zdziwiony raz na jedno, raz na drugie z rodzeństwa. Nie rozumiał, co z tym wszystkim mają wspólnego zaginione niewiasty.

– Należliście je?

– One są utopione w Czarnym Jeziorze, jak wiele innych wiedzących. Trza spuścić wodę i wydobyć ich ciała. Należy im zrobić godny pochówek, by zaznały spokoju po śmierci – wyjaśnił Bartus.

Borzymir zbladł, potem poczerwieniał. Przyłożył rękę do piersi, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze serce mu bije. Z trudem łapał oddech. Cały czas wierzył, że niewiasty kiedyś powrócą, bo przecież nigdzie nie znaleźli ich ciała.

– Szukaliśmy w jeziorze – powiedział takim tonem, jakby było oczywiste, że ich tam nie ma.

– I z tego powodu trza spuścić zeń wodę, bo inaczej nic nie najdziemy. Wszak ona czarna jak noc.

– Jak spuścić?

– Stryju – wtrącił się Bolebor – wykopimy rów i poprowadzimy w dół.

– Ale tam woda nazad nachodzi.

– Będziemy się uwijać – nie ustępował młodzieniec.

Borzymir sprawiał wrażenie, jakby chciał gdzieś iść, ale coś go przykuło i nie mógł się oderwać. Ugiął nogi w kolanach, bezładnie zamachał rękami, głośno przy tym sapiąc.

– Niech będzie, ale nazajutrz, bo niewiele dnia zostało.

Tego Dobromiłka nie chciała usłyszeć. Popatrzyła przerażona na Bartusa. Wiedma też nie była zachwycona, ale zdawała sobie sprawę, że spuszczenie wody z jeziora to zbyt duże przedsięwzięcie, by

je zaczynać wieczorem. Późna pora też nie pozwalała wiedźmom udać się na spoczynek poza gród. Zresztą powinny być o świcie na miejscu. Nie miały też przy sobie maści czarownic ani niezbędnych składników, by ją przygotować. Znowu musieli nocować w Borsuszu.

Tym razem nocną straż prócz Bartusa pełnili Bolebor, Borysław oraz dwóch wojów wyznaczonych przez niego. To miała być ostatnia taka noc.

Wiedma, zasypiając po ciężkim dniu, czuła lęk brata. Bartus usiadł przy ogniu z Boleborem i Borysławem. Gawędzili, próbowali żartować. Dwaj strażnicy stali na zewnątrz przy drzwiach. Noc przebiegała spokojnie. Nagle Bartus zobaczył Dobromiłkę, jak wstaje i podchodzi do drzwi. Dwaj pozostali mężczyźni w ogóle tego nie zauważyli. Podniósł się więc i zatrzymał ją.

– Wołają mnie. Muszę im pomóc – wyszeptła, stojąc z zamkniętymi oczami.

– Obudź się – potrząśnął nią.

Otworzyła oczy zdziwiona i rozejrzała się.

– A one gdzie są? – zapytała, pokazując na puste posłania.

Bartus nie mógł uwierzyć własnym oczom. W izbie nie było Wiedmy ani Bożeny. Bolebor i Borysław siedzieli przy ogniu. Jednemu głowa opadała, drugi wspierał swoją na kolanach. Spali. Zaczął ich budzić. Z trudem powracali do rzeczywistości, nie mogli zrozumieć, co się dzieje. Kiedy wreszcie dotarło do nich, że zasnęli, poderwali się przestraszeni.

W hacie nie było poza nimi nikogo. Nawet Dobromiłka, którą przecież Bartus obudził, wyszła, gdy on próbował wyrwać ich ze snu. Drzwi były otwarte. Na zewnątrz strażnicy spali. Trzej mężczyźni pobiegli szukać zaginionych niewiast.

Bartus zobaczył Bożenę. Zbliżyła się powoli do tafli wody. Krzyknął, ale nie zareagowała. Podbiegł więc i chwycił ją za rękaw sukni. Rękaw został mu w ręce. Bożena spojrzała na niego zdziwiona, odwróciła się i szła dalej w głąb jeziora. Wbiegł do wody i chwycił ją wpół, zaczął wyciągać. Ona wcale mu nie ułatwiała zadania. Wyrzywała się. Wyciągnął ją siłą i zaczął prowadzić do chaty. Wtedy zobaczył Dobromiłkę. Szła, nie rozglądając się, nie reagując na to, co się wokół dzieje. Zawołał ją. Nawet nie odwróciła głowy. Jakby nie słyszała. Oddał Bożenę w ręce męża i popędził co sił w nogach za ukochaną. Dobromiłka już stała na brzegu, wyciągnęła przed siebie ręce, jak wtedy, gdy się dzieliła z innymi swoją uzdrawiającą mocą. Podbiegł i chwycił ją w ramiona. Odwrócił. Puste oczodoły trupiej czaszki naigrywały się z jego zdziwienia. To nie była Dobromiłka. Jakiś demon ją udawał. Odepchnął go ze wstrętem.

– Co robisz? – usłyszał żalony głos Dobromiłki.

Demon znowu miał jej twarz. Niewiasta wpełchnięta przed chwilą do wody zanurzała się w toni Czarnego Jeziora.

– Nie! – krzyknął z całych sił.

– Bracie, obudź się.

Ktoś go szturchnął w bok. Mocno. Zobaczył siostrę. Dobromiłka i Bożena spały. Borysław rozżarzonym prętem wypalał na skrzyni fantazyjne kwiaty. Bolebor polerował nóż.

Wiedma była blada. Koszmar brata udzielił się jej. Śniła z nim jego sen. Pierwszy raz od niepamiętnych lat. Zdecydowanie wolała swoje wizje.

Poza koszmarem Bartusa noc upłynęła spokojnie. Oczywiście niewiasty próbowały wyjść na zewnątrz, ale skutecznie budzone przez strażników powracały do swych posłań, by śnić dalej.

Wszyscy z ulgą powitali świt. Bolebor pobiegł zwoływać ludzi do pracy. Borzymir też nie próżnował i wkrótce przy wykopie pracował każdy, kto był zdrow: mężczyźni, niewiasty, dzieci. Rów był długi i głęboki. Im dalej od jeziora, tym bardziej się obniżał. Wreszcie trzeba było połączyć kanał ze

zbiornikiem wodnym. Najsilniejsi mężczyźni rozkopali ten odcinek, odskakując przed zalewającą ich wodą. Popłynęła wartkim strumieniem, wygładzając i żłobiąc to, czego kopiący nie zdołali.

Jezioro pośrodku było zbyt głębokie, by mogło odsłonić dno. Może rzeczywiście znajdowało się tam zapadlisko. Jednak na kilka sążnistych kroków od brzegu woda odsłoniła swe tajemnice. A były one makabryczne. Kilkanaście utopionych ciał, głównie niewieścich, o czym świadczyły strzępy strojów na ich kościach. Niektóre szkielety były na wpół zagrzebane w mule.

Borzymir wszedł w to wodne cmentarzysko i brodząc w szlamie, szukał swej najstarszej córki. Znalazł ją. Rozpoznał jej szatę i kryształowy wisiorek.

– Wynieśmy je za gród i usypmy osobny kurhan – zarządził.

Mężczyźni i kobiety w absolutnej ciszy wydobywali to, co zostało z ciał topielców. Zgodnie ze wskazówkami najstarszego witezia układali kości na rozciągniętych płachtach materiału i zanosili poza gród, na wzgórze, nieopodal kopca, w którym spoczywał Boruta.

– Patrzaj. – Dobromiłka blade jak wyługowane płótno trzymała ptasią czaszkę nanizaną na rzemień.

Wiedma rozpoznała amulet Boromiły, leśnej wiedźmy. O jej zniknięciu mówiły na ostatnim sabacie.

Nagle rozległ się dźwięk kowadła. Wiedma się rozejrzała. Ludzie wydawali się go nie słyszeć. Zobaczyła dłoń trzymającą kamień i uderzającą w łańcuch leżący na kowadle. Z mułu zaczęła się wygrzebywać niewiasta. Rozpoznała ją. To ta sama, której ciało Boruta zatopił w jeziorze. Uklękła przy kowadle, cały czas uderzając w żelazny łańcuch, który trzymał ją przy dnie.

– Bartusie, rozkuj ją, proszę. Nie zabierzecie jej z tym kowadłem.

Brat nie rozumiał. Pokazała mu Dziewonię. Zobaczył tylko kości, łańcuch i kowadło. Posłuchał jednak siostry i poszedł po młot. Po chwili dźwięk kowadła słyszeli wszyscy. Bartus uderzał co sił, próbując rozbić ogniwo łańcucha. Przeżarte przez rdzę pękło.

Rozległ się płacz, potem śmiech i na powrót szloch. Uwolniona Dziewonia stała nad szczątkami mężczyzny. Oplakiwała Rokitę.

Nikt poza Wiedmą i Dobromiłką jej nie widział ani nie słyszał. Wiedźmy porzuciły dalsze poszukiwania i wpatrywały się w piękną Dziewonię, a właściwie jej ducha. Zmarła szła przez muliste bagno, jak po twardej, wydeptanej ziemi. Na brzegu jeszcze raz odwróciła się, spojrzała na jezioro i na zgromadzonych ludzi.

– Kłątwa nie ustanie, póki nie będzie przebaczenia – powiedziała smutno.

Stała pod rozłamanym na pół drzewem. Dotknęła go z czułością, objęła. Zespoliła się z nim. Stała się jego częścią.

Wiedźmy widziały też inne duchy niewiast zawieszonych przez nagłą śmierć pomiędzy światem żywych i zmarłych. Wzruszone podążyły za ludźmi zanoszącymi ich szczątki na kurhanisko.

Kości Rokity położono osobno. Borzimir nie chciał, by spoczywały na jednym stosie ze szczątkami jego córki i świeści. Obok leżał zardzewiały nóż wolutowy.

– Każ mu usypać oddzielny kurhan, jako Borucie usypaliście. A Dziewonia i inne wiedzące spoczną pomiędzy nimi dwoma – Wiedma zwróciła się do seniora boruszan.

– On winien temu wszystkiemu! – sapnął zdenerwowany witeż. – Ostawiłbym go bez ciepłopalenia, ale strach, że będzie nadal gnębił żywych.

– Nie on, ale Boruta kłątwe rzucił. Kiegdys spalicie truchła, ukoicie męki tych dusz, aczkolwiek kłątwy z jeziora nie zdejmiecie. – Wiedma była spokojna i stanowcza.

– To co mam zrobić?! – wręcz krzyknął poirytowany.

– Przebaczyć – wyjaśniła Dobromiłka, która nie odstępowała przyjaciółki na krok.

– Tako – potwierdziła Wiedma. – Przebaczenie przepędzi kłątwe. Zaprosz na tryznę potomków Rokity.

Niech uczczą godnie swego przodka.

– Niedoczekanie! – wrzasnął Borzymir i pokuśtykał tam, gdzie synowie i córki oplakiwali Bogdę.

Jego dzieci przygotowywały zmarłą siostrę do ostatniej drogi. Dziewczęta owinęły szczątki w pogrzebowy ręcznik obrzędowy. Każda przyniosła jeszcze jakiś kosztowny dar: a to pierścionek związany ze srebrnego druczika, to znów zausznice ze słonecznymi kulkami czy też parę kabłączków z brązu. Bracia również złożyli dary: ozdobną popielnicę na prochy zmarłej, garniec oraz ulubione smakołyki Bogdy, by jej niczego w zaświatach nie brakowało. Rodzeństwo obdarowało też zmarłą ciotkę.

– Ojczce. – Przytuliła się do witezia córka, ta sama, która wyznała Wiedmie, że Bogdę wołała woda. – Dobrze się stało, ojczce, bom i ja słyszała nocą te głosy, alem się bała wyjść.

Borzymir ucałował córkę w czoło, pogłaskał po długich włosach i poszedł gdzieś. Nie było go całe popołudnie.

Zbliżał się wieczór. Na wzgórzcu poza grodem na stosach leżały ułożone ciała. Środkowy stos był największy. Spoczywały na nim szczątki bezimiennych niewiast, ofiar klątwy zwabionych przez zapadliski. Tuż obok, prawie przylegając do tego zbiorowego, znajdował się stos przygotowany dla Bogdy i jej ciotki. W oddali na osobnym stosie leżały kości Rokity. Wiedma kazała je tam złożyć. Wszyscy czekali na Borzymira.

Pojawił się wreszcie, odświętnie ubrany, milczący. Wziął przygotowaną pochodnię i podpalił środkowe stosy.

– A Rokita? – upomniała go Wiedma.

Ktoś się zbliżał. Gromada ludzi z łuczywami. Borzymir nie wydawał się zdziwiony niecodziennymi odwiedzinami. Podszedł do przybyłej grupy i skłonił się lekko na powitanie. Odpowiedzieli mu tym samym gestem.

– Toż to rokietniczenie! – zawołała z przejęciem jakaś niewiasta.

Senior rodu zaprowadził sąsiadów przed stos, na którym spoczywał nieszczęsny Rokita. Ukłonili się z namaszczeniem swemu praszczurowi i otoczyli jego szczątki zwartym kręgiem. Po chwili święty ogień objął kości zmarłego, odsyłając jego duszę do Wyraju. Rokietniczenie stali długo, czekając, aż blask ognia przestanie przygaszać światło gwiazd. O świcie usypali swemu przodkowi godny kopiec. Podobny do tego, który miał Boruta. Największy zaś stał pośrodku, pomiędzy tymi dwoma.

Orzech



Boruszanie byli niezwykle gościnni. Wdzięczni za pomoc w walce z cichą oraz za zdjęcie klątwy świętowali od kilkunastu dni. Mieszkańcy każdej chaty poczytywali sobie za punkt honoru gościć obydwie wiedźmy oraz Bartusa. Ci natomiast chętnie korzystali z owej gościnności, bo chcieli się upewnić, czy mieszkańcom grodu nic już nie grozi. Wiedma miała nadzieję, iż pochówek zatopionych wiedźm i Rokity będzie ostatnim, w jakim tego roku uczestniczyła. Przeczuwała, że teraz nastanie czas spokoju i odpoczynku.

Następnego dnia planowali opuścić Borusz, więc pakowali podróżne worki. A mieli co, bo otrzymali mnóstwo darów od mieszkańców grodu. Były tam smakołyki: suszone grzyby i jagody, orzechy, sok z wiosennych pędów sosny przygotowany przez dorastającą córkę Borzymira, ale też kołaczki, podpłomyki oraz pachnący jałowcem chleb. Nie tylko dobrym jadłem obdarowali ich mieszkańcy grodu. Bartus z zachwytem oglądał cisowy łuk i kołczan ozdobiony rogową okładziną, przedstawiającą żmija czyhającego na Słońce. Podobny motyw znajdował się na drewnianych szkatułkach, które otrzymały niewiasty. Borysław przyniósł też Wiedmie drewnianą laskę gładką niczym skóra młodej dziewczyny. Ów kostur zwieńczony był rzeźbą przedstawiającą kruka z rozpostartymi skrzydłami. Gdyby się jej dokładnie przyjrzeć, można było dostrzec, że niektóre pióra ptaka są wybrakowane, jakby przypalone.

– Dam ją Wiedziemirowi – orzekła.

– Patrz! – zawołała Dobromiłka.

Trzymała w dłoni kawałek płóciennej szmatki, a na niej medalion.

– Żmijownik! – wykrzyknęła zdumiona Wiedma.

Wyglądał inaczej niż ten, który otrzymała od Żegoty. Wytworzony z jednorodnego, ciemnego, prawie czarnego kamienia. Głowa ze żmijowymi włosami była wypukła, o wiele staranniej wykonana. Dobromiłka odwróciła medalion. Na płaskim rewersie widniały jakieś znaki. Można się było bez trudu domyślić, że wyryto na nim zaklęcie.

– To od kołodzieja i jego żeny. Powiadali, że z Czarnego Jeziora wydobyte.

– Możecie go darować Kościejowi – wtrącił Bartus.

– Po co? – zdziwiła się Wiedma. – Poradziliśmy sobie bez niego.

– A nie doradzał, by szukać wieści o Rokicie? Nie posłał ci kruka? – pytał brat.

– Bartus słusznie prawi – po chwili wahania stwierdziła Dobromiłka. – Warto tego czarownika mieć

po swej stronie. A ten medalion. Może i zapewnia płodność, odstrasza cichą, ale jego poprzedniej właścicielki nie uchronił przed okrutną, nagłą śmiercią ani przed pośmiertnymi mękami.

Wiedma wzięła go do ręki i zacisnęła w dłoni. Przymknęła powieki. Coś nią szarpnęło i pociągnęło w wir. Poczwała się podobnie jak wtedy, gdy piła w oberży napar odbierający jej moc. Wszystko wokół zaczęło się kręcić, postacie, przedmioty rozmyły się w wirującym tańcu. Dostrzegała tylko naprzemiennie mrok i światło. Dławiła się. Próbowwała złapać oddech. Miała wrażenie, że woda zalewa jej otwarte usta, dostaje się tam, gdzie winno dotrzeć powietrze. Ból wypełniał piersi, potem całe ciało. Cisza. Krótka, złudna. I zaczęło się. Jęki, lamenty rozlegające się wokół. Te głosy przesywały ją, były w niej. Tak samo śmiech. Szyderczy, wibrujący, męczący. A nad tymi odgłosami nieustanny, przytłaczający, wżerający się w całe jestestwo dźwięk kowadła. Ból. Bezradność. Bezdenna nienawiść. Złość. Nowa topielica i nagła ekscytacja. Chwila ciszy, spokoju. Bardzo krótka. I znów szarpący ból oraz dźwięk tego znienawidzonego kowadła. Rozedrgany, dojmujący, rozbijający myśli. Chęć ukojenia tej permanentnej tortury. Kolejna topielica.

– Nie bierz takich rzeczy! – Usłyszała Bartusa.

Otworzyła oczy. Kłęczał przy niej. Jedną ręką ścisnął jej nadgarstek, drugą rozwierał palce. Żmijownik spadł na ziemię.

– Tako. To dar w sam raz dla Kościeja – przyznała bratu rację.

Poproszeni o wspólne świętowanie Dziadów zgodzili się poczekać i wziąć udział w obrzędach. To była ostatnia noc w Boruszu. O zmierzchu udali się na kurhanisko. Gdy szli przez las na wzgórze, Wiedma rozglądała się wzruszona. Przypominała sobie, jak przed laty podążyła przez taki zagajnik do chaty Starej Wiedmy na Ostrowiu, przewodnikiem jej był wtedy Miłosz. Obraz ten powrócił do niej w tej chwili nie tylko dlatego, że był to czas wspomniania zmarłych. Miała wrażenie, że świetliki, które niegdyś towarzyszyły jej w wędrowce do przyszej mentorki, teraz rozproszyły się po lesie i pochowały pod jesiennymi liśćmi.

– Patrząc, jak świeci runo – szepnął Bartus.

Tak, to świeciło próchno, zbutwiałe liście leżące pod stopami, szeleszczące przy każdym kroku.

Potomkowie Rokity już czekali na wzgórzu. Obydwa rody postanowiły wspólnie świętować. Bartus rozpalil ogień. Dobromilka z Wiedmą złożyły przy ognisku obiadę dla przodków: orzechy, kutię, kołacz, jajka i miód. Wszyscy, zarówno mieszkańcy grodu Borusz, jak i pobliskiej osady Rokietnica, stanęli wspólnie w kręgu. W jego centrum Borzymir prowadził obrzęd.

– Witamy cię, gościu w czerwonym płaszczu – zwrócił się do ognia. – Ogniku święty, skarbczku boży, nie dajże nas nigdy zubożyć.

Wziął od Dobromilki długi, ozdobiony srebrem róg i ulął z niego pitny miód, dzieląc się z samym Swarozycem. Wiedma trzymała okrągły kołacz przyozdobiony warkoczami z ciasta. Borzymir urwał kawałek i też wrzucił do ogniska.

– Welesie dzierżący straż nad duszami przodków, otwórz bramy Nawii i wypuść naszych dziadów. Niech przybędą i świętują z nami – poprosił, ulewając miód na ziemię.

– Święci dziadowie, chodźcie do nas wieczerzać, proszę was – kontynuował Borzymir, po czym zawołał do zebranych: – Wzywajcie swoich!

Podał róg Wiedmie. Upiła nieco i uląła na ziemię.

– Stara Wiedmo, Miłoszu, Winio, Jarowarze, sława wam!

Podala róg bratu, on Dobromilce, a ona dzieciom Borzymira. Róg przechodził z rąk do rąk i każdy z niego wypijał łyk, nieco ulewał na ziemię i wzywał najbliższych. Gdy skończyli, wszyscy chwycili się

za ręce i czekali w skupieniu. Usłyszeli. Kroki przodków były coraz wyraźniejsze, liczniejsze. Szum liści dochodził z każdej strony. Nikt jednak nie miał odwagi się odwrócić. Czuli obecność bliskich, słyszeli ich. Wiedzieli, że niebezpiecznie jest teraz stanąć z nimi oko w oko. Przestali się trzymać za ręce, usiedli, nie łamiąc kręgu. Borzymir, Dobromiłka i Wiedma częstowali zebranych chlebem, miodem, kutią, orzechami, jajkami, mlekiem, resztką kołacza. Wszyscy jedli i pili, co chwila odkładając część porcji dla przodków. Zaczęli wspominać bliskich, wkrótce ktoś zaintonował pierwszą pieśń, potem rozbrzmiały kolejne.

Wiedma podniosła z ziemi karaboszkę¹⁸, przyłożyła ją do twarzy i dopiero ośmieliła się spojrzeć poza krąg. Zobaczyła kilkukrotnie większy tłum niż gromada przy ognisku. Przodkowie sprawiali wrażenie zadowolonych ze wspólnego ucztowania. Ujrzała Starą Wiedmę, jej brata, Winię i swoją pierwszą miłość, Jarowara. Uśmiechał się do niej Rokita stojący tuż obok Boruty, a przy obu piękna Dziewonia.

Gdy ogień się już dopalał, znów wszyscy wstali i chwycili się za ręce. Borzymir przyłożył drewnianą maskę do twarzy i obchodził krąg, zwracając się do przodków:

– Dziadowie, odejdźcie na powrót do Nawii, aby żywi mogli żyć w spokoju.

Znów szum, pospieszne kroki, krocuki i cisza. Tak dojmująca, że można było uchwycić uchem dźwięk kropel spadających z liści.

Podczas Szronowej Pełni Wiedma, Bartus i Dobromiłka byli już w Przemysłu. Drużyna Czarnego Żmija na dobre rozgościła się na zamczysku, bo zimne noce nie pozwalały dłużej obozować na zewnątrz. Bartus, po kilkunastu dniach nieobecności, postanowił spędzić wieczór z synem, a wiedźmy przygotowywały się do sabatu. Utarły maść czarownic, napełniły kosze przysmakami i włożyły do jednego z nich gemmę.

Na Łysej Górze nie było tej nocy wielu czarownic. Może listopadowy chłód zniechęcał je do podróży ponad polami i lasami, a może Wieńczysława zaczęła się zbyt szarogęsić i wybierała inne góry na wspólne spotkania. Posłanka Kościeja nie opuszczała żadnego sabatu w Łysych Górach i teraz stała przy ognisku, spoglądając jak urzeczona na wręczony przez siostry dar.

– Kościej ninie z pewnością wam pomoże rozwikłać tajemnicę jeziora.

– Nie ma już takiej potrzeby – odparła Wiedma. – Poradziłyśmy sobie.

Wieńczysława się zdziwiła. Trudno było ocenić, czy zaimponowała jej zaradność wiedźm, czy wręczenie daru bez oczekiwania zysku.

Oblubienica Kościeja cieszyła się, że będzie mogła ukochanemu zanieść żmijownik. To było widać. Co chwila go wyciągała, gładziła palcami. Nawet przestroga przed jego złą mocą, którą przez lata chłonał, nie powstrzymywała jej.

Kiedy wiedźmy udały się na spotkania z oblubieńcami, na szczycie góry znów pozostała Wiedma. Nie miała się gdzie spieszyć, bo i nie miała do kogo. Tym razem jednak daleka była od uzalania się nad sobą. Bardziej frapowała i niepokoiła ją nieobecność Muszy na kolejnym sabacie. Postanowiła, że gdy tylko wróci na Ostrowie, pośle do niej gołębia.

– Kościej dziękuje za dar – usłyszała za plecami.

Wieńczysława stała za nią. Na jej piersiach wisiał żmijownik. Wiedma wyglądała chyba na zaniepokojoną tym widokiem, bo długowłosa wiedźma roześmiała się.

– Srebro obezwładnia zło – wyjaśniła, pokazując na gruby łańcuch. – Kościej nie lubi być dłużnikiem. Chce się odwdziżyć radą. – Powróciła do sedna swej misji.

– Tajemnica jeziora została rozwikłana.

– Rada tyczy żmijątka.

– Jaropełka?

– Tako. Kościej kazał mieć nań baczenie, kiedy junak stanie się mężem. W owym czasie będzie w mocy popsować świat. Ninie zaś troska o brak żmijowej postaci jest niepotrzebna. W Szczodre Gody ujrzycie jego drugie oblicze. Mój pan prosił też, bym ci rzekła, iż orzech ma miękką zieloną łupinę i wtórą, twardą niczym kamień. Nieważne, którą zoczymy. Ważne, co one chronią.

Wykonała gest, jakby chciała odejść, ale jeszcze się zatrzymała.

– A! Kościej wielce rad, żeś mu kruka zwróciła.

Wieńczysława odwróciła się i już jej nie było. Spieszyła się do swego oblubieńca.

Wiedma sięgnęła do woreczka zawieszzonego na szyi. Palce przesuwały się po przedmiotach ukrytych w mieszku. Wreszcie trafiły na okrągły kształt. W jej dłoni znalazł się orzech darowany przez kruka. Nie miał mięsistej zewnętrznej łupiny, tylko twardą niczym pancierz żmija. Ta pierwsza dawno temu odpadła. Kobieta zastanawiała się, jakie w środku jest nasiono. Jasne i dorodne? A może wysuszone na wiór? W Szczodre Gody wrócono w siołach z orzechów. Wyciągano ich tyle, ile pór roku. Wnętrze każdego przepowiadało, jakie będą wiosna, lato, jesień, zima. Ona nigdy tego nie czyniła. Nie chciała znać przyszłości.

Myśli Wiedmy wybiegały do małego chłopca, Jaropełka. Czarny Żmij nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy w synu swoje odbicie.

– Niebawem ujrzę cię w kolejnej łupinie. Żmijowej – powiedziała cicho.

Wiedziała już, że to będzie tylko następna skorupa. W żmijątku było coś więcej.

18 Karaboszka/kraboszka – słowiańska maska obrzędowa wykonana z drewna.

Swaćba



Siedziała na ławie przed chatą w tym samym miejscu, gdzie niegdyś zasiadała Stara Wiedma, przyjmując gości czy przesypując ziola. Ona jednak nie wykonywała teraz żadnej pracy. Wystawiała twarz na pierwsze wiosenne promienie Słońca. Ciepłym dniem upajał się też Jantar, bursztynowy kot rozłożony beztrzesko na jej kolanach. Delikatnie gładziła jego miękką sierść, a on jak zwykle odwdzięczał się hipnotycznym mrużeniem.

Nagle kot zeskoczył na ziemię, zjeżył futro i zamiauczał niespokojnie. Wcisnął się pod ławę i ostrzegawczym prychnieniem próbował odpędzić niebezpieczeństwo.

Wiedma rozejrzała się zdziwiona, nie rozumiejąc, co też mogło kota tak przestraszyć. Po chwili usłyszała wysoko nad Ostrowiem szum, potem przemknął jakiś cień. Zadarła głowę i ujrzała rozpostarte skrzydła i ciemne cielsko żmija.

Zatrzymał się przed chatą. Był piękny. Jego rogowe łuski lśniły w Słońcu, jakby były wykute z onyksu. Po bokach trójkątnego łba wystawały rogowe narośla przypominające plecionkę. Żmij rozkładał i składał błoniaste, potężne skrzydła. Rozwidlony język drgał w jego paszczy, wydając przenikliwy wizg. Stwór w szybkim tempie zbliżał się do niej. Pochylił nieco głowę, znów przesywając okolicę trudnym do zniesienia dźwiękiem. Patrzyła w jego wrzecionowate oczy, próbując odczytać intencje. Oczy się nie zmieniły, ale ciało żmija tak. Po chwili stał przed nią chłopiec, łysy wyrostek.

– Ciotko! – zawołał. – Udało się! Jestem żmijem!

Przywarł do niej całym ciałem. Uwielbiał się przytulać. Zawsze mu doskwierał brak matczynego ciepła.

– Jesteś kimś więcej – odparła wzruszona.

– Drużyna Czarnej Żmija już jest w przemyskim grodzie, a z nią Dragomir i Bartus. Wszyscy cię oczekują. Co to za swaćba bez najważniejszej w okolicy wiedźmy?

Wiedmę cieszyło małżeństwo Lestka z piękną Aglają, jednak nie miała ochoty uczestniczyć w uroczystościach zaślubin. Skoro jednak Jaropek przybył po nią osobiście, nie wypadało odmówić. Pomyślała, że przy okazji odwiedzi Wiedzimira i zapyta o Muszę, bo mimo wypuszczonych dwóch gołębi nie otrzymała od przyjaciółki żadnej odpowiedzi.

Zabrała chłopca do Damroki, by posilił się i nie nudził czekaniem, aż ona przygotuje się na

ceremonię swańby. Jaropełk wciąż jeszcze lubił się bawić, więc w Czycborze znalazł kompana do milego spędzania czasu.

Gdy minęło południe, chłopcy przybiegli zapytać, czy jest gotowa. Na jej widok stanęli w proggu i wpatrywali się z niedowierzaniem.

– Wyglądasz niczym Dziewanna! – szepnęła oczarowany Jaropełk.

Rozpuszczone bursztynowe włosy zdołały cieniutkie warkoczki splecione z trawami zerwanymi nad jeziorem. Żółte pierwiosnki i niebieskie przylaszczki mrugały radośnie w delikatnym wianku. Suknia barwiona wrotyczem, przewiązana zieloną krajką sprawiała wrażenie, że jej właścicielka jest wiosennym kwiatem. Tym bardziej, że nie włożyła tradycyjnej peleryny, którą w okolicy każdy już rozpoznawał, ale nowiutką, zieloną niczym listki brzozy.

– Wszak mamy podwójne święto: Jare Gody i swańbę. – Uśmiechnęła się zadowolona z wrażenia, jakie wywarła.

Sięgnęła do szkatułki i wyjęła pierścień owijany cieniutką nitką z brązu oraz zausznice z trzema paciorkami przypominającymi dojrzałe maliny. Założyła ozdoby i znów zaczęła czegoś szukać w skrzyneczce.

– Taką lunulą pragnę obdarować Agląję. – Pokazała srebrną zawieszkę w kształcie półksiężyca.

Odłożyła pudełko i ono przykuło uwagę Jaropełka. Stał i wpatrywał się w ażurową rogową okładzinę. Taka sama ozdoba była na szkatułce Dobromiłki i na kołczanie Bartusa.

– Co ten źmij robi? – spytał.

– Chce pożreć Słońce – wyjaśniła.

– Po co? Słońce jest dobre.

Popatrzyła na łysego wyrostka i po raz kolejny pomyślała, że on jest kimś więcej niż źmijem i kimś więcej niż człowiekiem.

– Wiedmo – wtrącił się Czycbor – w szkatułce jest orzeszek. Przecie to nie ozdoba.

– To jest magiczny orzech. – Uśmiechnęła się.

– A co on robi? – Czycbor był wyraźnie zaciekawiony.

– Wróży przyszłość.

– Jaką ci wywróżył? – zapytał Jaropełk.

Zamyśliła się. Kościej, mówiąc o orzechu i jego ochronnej łupinie, miał na myśli syna Czarnego Źmija. Ona jednak przeczuwała, że to nie jedyny odnośnik wróżebnego orzecha.

– Nie wiem. Nie rozłupałam go.

– A rozłupiesz?

– Nie – powiedziała z przekonaniem. – Wiedcie, że nie chcę znać przyszłości.

– Rzekła jasnowidząca. – Jaropełk wyduł policzki i przewrócił oczami na znak, że nie rozumie takiego podejścia, ale nie nalegał.

Znów wspinała się na przemyskie wzgórze, jak ubiegłej wiosny. Tym razem nie prowadził jej kruk, ale chłopiec. Opowiadał o życiu w Źmijowym Siedliszczu. Dowiedziała się, że sposobią tam do walki, uczą ciskać piorunami, zamieniać je w ogniste kule, a także wydawać przeraźliwy wizg. Jaropełk na początku nie mógł pobierać tych nauk, bo wciąż tkwił w ludzkiej postaci. Nie pomagały czary, zamawianie, okadzanie, nawet próbowano przypalania ogniem. Najstarsi i najmądrzejsi źmijowie głowili się nad jego przypadkiem. Na próżno. Aż nagle w Szczodre Gody wybiegł ojcu na spotkanie i nieoczekiwanie zmienił się w źmija.

Wiedma przypuszczała, że po prostu musiał przyjść na to odpowiedni czas. Tak jak zewnętrzna

zielona łupina orzecha sama pęka i odpada.

– Powiadałaś, iż ludzką postać zmij może przybrać tylko w nowiu.

– Ja mogę, kiedy mi przyjdzie ochota – odparł wesoło i rozwinął skrzydła.

Wzniósł się ponad Nesnik, Kopiec Swaroga, potem wykręcił w powietrzu dwa koźły i znalazł się z powrotem obok Wiedmy.

Ona jednak przestała śledzić popisy Jaropełka, bo oto przed nią stał nie kto inny tylko Siemowit. Stał i patrzył jak urzeczony. Przypomniała sobie, że wystroiła się przeciw na swańbę i odświętny strój pewnie zrobił na nim wrażenie.

– Drzewica czy Dziewanna? – spytał.

– Prosta Wiedma. Ty też zdążasz na swańbę?

Nie odpowiadał. Wodził po niej wzrokiem. Otrząsnął się, gdy obok niewiasty wylądował ciemnołuski zmij. Przestraszony mężczyzna cofnął się o krok.

– Nie – w końcu się odezwał. – Byłem złożyć żertwę Swarogowi. Dziękczynną za uzdrowienie, ale i błagalną o szczęśliwe rozwiązanie.

Zrozumiała, że spodziewają się dziecka. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Może dlatego, iż wiedziała przeciw, że będą mieli córeczkę. A może dlatego, że przestało jej zależeć na Siemowicie.

– Będzie szczęśliwe. Czekać na córę.

– Możliwi cię zawezwać, gdy przyjdzie czas?

– Każdy może – odparła wymijająco.

Wsparła dłoń na chłopcu, w którego przedzierzgnął się zmij, i ruszyli w stronę zamczyska.

Lestek i Aglaja stali pod świętym dębem. Tym samym, pod którym odbywały się zazwyczaj narady. Pod ich stopami leżał rozwinięty ręcznik obrzędowy, zdobiony znakami będącymi wyznaniem miłości.

Młoda Madjarka miała na sobie strój, który swym bogactwem i barwami mógł odpędzić każdy urok. Biała suknia oczarowywała wyszywanymi kolorowymi kwiatami i wzorami. Na niej zawiązana była fioletowa zapaska obrębiona złotymi nićmi. Czerwony kaftan zapinany na rogowe, rzeźbione hetki miał przy każdej z nich oraz po drugiej stronie przy każdej pętelce srebrną ozdobę w kształcie czterolistnej koniczyny. Na rozpuszczonych czarnych włosach zielenił się wianek z gałązek brzozy. Kilka dni wcześniej gałęzie przechowywano w ciepłym pomieszczeniu, by świeżo rozwinięte zielone listki świadczyły o niewinności właścicielki, chroniły przed złem, nieszczęściem i zapewniały płodność. Pobrzękujące srebrne bransolety i kolczyki z wypukłymi guzami zdobiły piękną Madjarę, ale i odciągały od niej złe spojrzania.

Lestek odziany był w czerwoną tunikę sięgającą niemal kostek, wykończoną białym haftem. Przepasany podwójnym pasem miał przypięty na łańcuszku sztylet w skórzanej, okutej srebrem pochwie, tuż obok przypasany miecz zanurzony w równie misternej oprawie oraz zdobyczną podczas ostatniej wojny złożoną buławę. Na tunikę miał zarzucony płaszcz z kunich futer, spięty szpilą ze złożonego brązu. Na czole połykiwał diadem z wyobrażeniem Słońca pośrodku i półksiężycami po bokach. Strój knezia równie mocno przykuwał uwagę jak odzienie narzeczonej.

Wiedzimir oparł o pień dębu rzeźbioną laskę przedstawiającą kruka zrywającego się do lotu. Śnieżnobiałym, opatrzonym krwistoczerwonymi wzorami płótnem owinął dłonie młodej pary i wprowadził ich trzykrotnie wokół dębu. Niewiasty śpiewały:

– Pośratak¹⁹, Dolo, goście nasze, Łado, Łado!

Znów stanęli na ręczniku, który na tę okoliczność wyszyła sama Aglaja. Dziewczyna, jak widać, potrafiła władać nie tylko toporem, ale również igłą. Oddała swój wianek mężowi, niewiasty założyły

jej na głowę śnieżnobiały zawój i wszyscy ruszyli w stronę zamczyska. Wzdłuż drogi stali mieszkańcy okolicznych osad, a także przemyskiego podgrodzia. Strzelali batami, pokrzykiwali na cześć młodych. To samo czynili Madjarowie. Niedaleko częstokołu ustawiła się Drużyna Czarnego Żmija, tradycyjnie uderzając toporami w tarcze. Przy samym zamczysku stali wojowie z drużyny Lestka.

Główna brama była umajona kwiatami, puszystymi baziami oraz pachnącą czeremchą. Para młoda uroczyście przez nią przeszła. Byli już mężem i żoną.

Orszak weselny zajął cały dziedziniec. Zapraszano gości, by zasiedli na przygotowanych wcześniej ławach. Wiedma rozglądała się za żercą. Chciała się dowiedzieć, czy wie, co się dzieje z Muszą.

– Gdzie się podziewa Wiedzimir? – pytała, ściskając na powitanie Bartusa i Dobromiłek zasiadających przy głównej ławie, niedaleko pary młodej.

Nie wiedzieli. Brat zdjął filcową czapkę i rzucił na ławę. Jego bursztynowe, ścięte na wysokości uszu włosy wyglądały jak sponiewierana przez wiatr kopka siana. Dobromiłka pieszczołliwie je układała. Bartus spojrzął na Wiedmę i uśmiechnęli się do siebie. Nie musieli o tym rozmawiać. Nowy wygląd, nowe życie, dawna więź.

Obok tłoczyli się Madjarowie. Odświętnie ubrani przypominali barwne motyle na łące. Z nimi Wiedma w ogóle nie potrafiła się porozumieć. Zobaczyła Lestka i Aglą. Oblegani przez drużynników oraz licznych gości stali wszystkim uśmiechy i podziękowania za ślubne dary. Dalej, przy samym częstokole, zasiadali wojowie Czarnego Żmija. Wśród nich Jaropek i Dragomir. Wiedziała, że to nie jest odpowiednia pora na czułe powitanie z bratankiem, mimo że nie widzieli się od jesieni.

Postanowiła wyjść poza wał zamczyska. Zaczęła się przeciskać pośród rozgadanego i rozbawionego tłumu. Nagle stanęła. Przy głównej bramie zobaczyła Wiedzimira, a obok czarnowłosą korpulentną niewiastę. To była Musza! Jakiś wysoki woj stanął między nimi i zasłonił na chwilę przyjaciółkę. Potem dwóch dźwigało ciężką dębową beczkę napitku. Wiedma minęła ich, przemieszczając się niecierpliwie w stronę głównej bramy. Gdy była już blisko, żerca z wiedźmą zniknęli. Zaczęła się rozglądać. Wreszcie ich zobaczyła. Podobnie jak pozostali goście kierowali się w stronę pary młodej.

– Wiedmo!

Nie, to nie mogła być prawda. Odwróciła się. Stał przed nią szpakowaty mężczyzna. Skręcone w loki włosy wiły się wokół nieogolonej twarzy i naznaczonej szramą szyi. Żegota. Obok mały chłopiec o długich kręconych włosach. Rozglądał się nieco przestraszony panującym wokół gwarem.

– Musza nas tu przywiodła. Rozmawiała z kneziem Lestkiem. Zgodził się mnie przyjąć do swej drużyny. Mam zastąpić niejakiego Mściwoja.

Włożyła dłoń w rękaw sukni i się uszczypnęła. Miewała już przecież wizje, w których przybywał do niej. Nie miała pewności, czy to nie kolejna. Skóra na ręce zapiekła, a Żegota stał nadal.

Nie był ubrany tak odświętnie jak pozostali goście. Miał na sobie typowy strój jeźdźca. Stał onieśmielony, skubiąc skórzane rękawice, które trzymał w dłoni.

– Jesteś prawdziwy? – zapytała niezbyt sensownie.

Uśmiechnął się z przymusem. Jego niebieskie oczy poszarzały.

– Tako. A to mój syn. – Wskazał na chłopca. – Odnalazłem go.

– Ma oczy jak twoje: ni to szare, ni zielone, ni niebieskie.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Setki razy wyobrażała sobie spotkanie z Żegotą. Jak wpada w jego objęcia, jak przywierają do siebie spragnieni, nienasyчени. A teraz stała przed nim oraz jego synem i nie wiedziała, jak się ma zachować.

– Wiedmo, nie przybyłem za późno? Mogeli jeszcze...

– Możesz. – Nie dała mu dokończyć. – Aczli rozłupiesz skorupę, którą się otoczyłeś.

Jego oczy na powrót stały się błękitne. Chwycił jej dłoń i gorliwie ucałował.

– Cichajcie! Cichajcie! – Drużynnicy knezia zaczęli uciszać zebranych. – Żerca będzie prawil.

Wiedzimir wdrapał się na ławę, by wszyscy go dobrze widzieli. Uniósł rzeźbioną łaskę.

– Kneziu, kniahini, goście. – Ukłonił się przed wymienionymi. – Dziś pytałem kruki o wróżbę na ten rok. Wszak to Jare Gody. I wiecie, co mówią święte ptaki?

Zawiesił głos, jakby czekał na propozycje. Nikt jednak nie ośmielił się żartować ani zmyślać przepowiedni. Wszyscy pamiętali wróżby świątynnych ptaków z ubiegłej wiosny.

– Kruki zapowiadają dobry rok! – zatriumfował żerca. – Dobry, plenny, dostatni. Chwała krukom! – Wzniósł toast.

– Chwała krukom! – zakrzyknęli zebrani.

Słownik słowiańskich bogów, demonów i wierzeń



Albast – demon żyjący w przybrzeżnych wodach jezior i rzek; wciągał swe ofiary w głębinę i topił; wierzo w jego istnienie na kresach wschodnich i na Rusi.

Balamutnik – odrażający wodny demon, który za pomocą magii zmieniał swój wygląd na atrakcyjny, jednak działanie owego czaru było krótkotrwałe.

Bocian – według wierzeń ludowych widok pierwszego bociana wiosną stanowi wróżbę na cały rok: lecący – zapowiada aktywne spędzanie czasu, stojący – stagnację, siedzący w gnieździe – spokojne życie rodzinne.

Boginka/rusalka – bardziej pierwotna nazwa „boginka” stosowana była zarówno w odniesieniu do mamuny, jak i rusalki; w niniejszej powieści tak są nazywane ponętne demony żeńskie, wywodzące się od dziewcząt, które zmarły tuż przed ślubem lub wkrótce po zamążpójściu.

Chmurnik – (zwany też obłocznikiem lub planetnikiem) demon odpowiedzialny za transportowanie deszczowych chmur; w niektórych wierzeniach jest to żyjący, śmiertelny człowiek.

Cicha – demon, uosobienie morowej zarazy; postać zaczerpnięta z książki Kazimierza W. Wóycickiego *Klechdy starożytne, podania i powieści ludowe*; morem/morowym powietrzem nazywano m.in. czarną ospę, dżumę i cholere; w powieści jest personifikacją czarnej ospy.

Daźbóg (Daźbóg, Daćbóg) – słowiańskie bóstwo solarne, utożsamiane bezpośrednio ze słońcem; syn Swaroga.

Dodola – według Aleksandra Brücknera jedno z imion towarzyszkii Peruna; słowo to pojawia się w przyśpiewkach przywołujących deszcz *Oj dodo, oj dodole*; opis Dodoli, którą ściga Strzybóg, wzorowany jest na grafikach Stanisława Jakubowskiego.

Dola – upersonifikowany ludzki los, bogini przeznaczenia.

Domowik – opiekuńczy demon domowy.

Drzewica – dobry leśny duch opiekujący się leśną roślinnością.

Dziwanna – wymieniona przez Jana Długosza w panteonie bogów słowiańskich, jest wiele hipotez dotyczących jej znaczenia w dawnej wierze; łączy się ją m.in. z życiem, roślinnością, miłością; bogini wiosny.

Kościej – postać znana głównie z rosyjskich baśni i legend; czarownik, który stał się posiadaczem skarbów, żywej wody; miał być nieśmiertelny też dlatego, że ukrył swoje serce; postrzegany jako strażnik czarownic.

Kuślak – postać zaczerpnięta z prac plastycznych Stanisława Jakubowskiego, który korzystał

z ludowych podań; w rękopisie Bronisława Trentowskiego (na podstawie opracowania Tadeusza Linknera) to władca gwiazd prowadzący na nieboskłon dusze mądrych i dzielnych ludzi.

Licho – demon czyniący wiele szkód, przyczyna nieszczęść.

Lado – imię przywoływane w pieśniach weselnych; według Aleksandra Brücknera oznacza obłubieńca, według Borisa Rybakowa bóstwo związane z miłością i wegetacją.

Mamuna – (dziwożona) żeński demon o odrażającym wyglądzie; porywała ludzkie dzieci, podrzucając na ich miejsce swoje szkaradne potomstwo.

Mokosz – bogini płodności i urodzaju, utożsamiana z Matką Ziemią oraz traktowana jako partnerka Peruna.

Nawia – zaświaty, kraina zmarłych w religii Słowian.

Perun – bóg nieba, piorunów, adwersarz Welesa; imię poświadczone w zapiskach na Rusi.

Poroniec – demon powstający z martwego płodu; wysysał krew z położnic lub kobiet ciężarnych.

Rodanice – trzy demony przeznaczenia wyznaczające ludzki los (przędące nić życia).

Strzybóg – bóg wiatru; na Rusi wznoszono mu posągi.

Strzyga – żeński demon wysysający krew; pochodził od człowieka, który miał dwa serca i dwie dusze.

Swarożyc – bóg ognia, etymologicznie syn Swaroga.

Swaróg – bóg nieba, ognia, kowalstwa; najbardziej pierwotny w słowiańskich wierzeniach; niektórzy badacze traktują Swaroga oraz Peruna jako transformację tego samego boga.

Upir/upiór – (wampir, wampir) demon pochodzący od człowieka zmarłego, którego ciało zostało pochowane, a nie spalone; wstający z grobu i wysysający ludzką krew.

Utopiec – (topielec, utopilnik, topiec, płynnik) demon wodny pochodzący od człowieka, który się utopił.

Wodnica – rusalka zamieszkująca zbiornik wodny.

Wodnik – demon zamieszkujący jezioro lub rzekę; w porównaniu z utopcem istota pierwotna.

Zapadliska – żeński demon, nimfa pochodząca od złego człowieka, który zginął, gdy zapadł się gród.

Żmij – przez wielu badaczy utożsamiany z Welesem, przedstawiany jako antagonistą Peruna, z wyglądu przypomina smoka i często z nim utożsamiany; według Joanny i Ryszarda Tomickich żmij jest antagonistą smoka, posłańcem Peruna, w jego imieniu ciska piorunami; w powieści ukazany zgodnie z interpretacją Tomickich.

Słownik roślin



- Blekot** – szalej jadowity, szaleń, cykuta; baldaszkowata roślina toksyczna.
- Bylica** – stosowana m.in. w magii ochronnej (np. chroniła przed czarownicami, stosowana jako podstawowy składnik kadzidła).
- Czosnek niedźwiedzi** – cebula czarownic; roślina o podobnych właściwościach jak czosnek pospolity, stosowana w lecznictwie, ale też jako apotropeion.
- Driakiew** – roślina wykorzystywana jako lek podczas zarazy.
- Dziurawiec** – zioło, z którego napar lub nalewka poprawia nastrój oraz działa leczniczo podczas niedyspozycji żołądkowo-jelitowych.
- Głóg** – oprócz zastosowania leczniczego wykorzystywany w magii ochronnej z racji posiadanych kolców.
- Hycza** – zwyczajowa nazwa bzu czarnego; roślina o wielostronnym działaniu prozdrowotnym.
- Jałowiec** – zgodnie z ludowymi wierzeniami stosowany, podobnie jak głóg i tarnina, jako apotropeion.
- Lulek czarny** – zwany też szalejem; roślina trująca, halucynogenna, pobudzająca ruchowo.
- Macierzanka** – zioło mające liczne zastosowania w lecznictwie ludowym, ale i w magii ochronnej (składnik wianków).
- Leszczyna** – w magii ochronnej traktowana jako apotropeion chroniący m.in. przed burzą.
- Lipa** – kwiaty lipy są skutecznym środkiem napotnym, przeciwzapalnym.
- Malina** – zarówno listki, pędy, jak i owoce stanowią „naturalny antybiotyk”.
- Mandragora** – roślina, której wykopanie uwarunkowane jest licznymi magicznymi zabiegami; jej korzeń przybiera kształt humanoidalny; ma właściwości psychoaktywne.
- Morownik** – uściwierzód, czarne ziele – to sasanka, którą wykorzystywano do leczenia skutków morowego powietrza; dodawana do octów oraz maści.
- Ruta** – miała wszechstronne zastosowanie symboliczne, lecznicze (przeciwzapalne) i magiczne; w powieści wykorzystywana m.in. jako składnik okładów.
- Strzygoniowe ziele** – dziewięciśli to roślina o właściwościach napotnych, przeciwzapalnych, wykorzystywana w leczeniu zewnętrznym i wewnętrznym.
- Wężownik** – rdest wężownik, roślina z rdestowatych. Według ludowych wierzeń starty korzeń zmieszany ze słodkim mlekiem leczy ukąszenia węża, goi rany, działa przeciwzapalnie, stosowany również w chorobach kobiecych.

Dziękuję samozwańczemu zespołowi, który pomógł mi w tworzeniu tej powieści. Mojemu mężowi Tomkowi Maciewiczowi za czytanie na bieżąco i uwagi. Waldkowi Markowi za korygowanie każdego rozdziału i pomoc w doszlifowaniu całości. Monice Maziarz za profesjonalną korektę przed wysłaniem książki do wydawnictwa. Dragomirowi Czernkowi, wojewodzie drużyny rekonstrukcyjnej Czarny Żmij, za fachowe sugestie. Michałowi Hyjkowi za medyczne konsultacje. Monice Lewickiej oraz Robertowi Świdnickiemu za obiektywne spojrzenie na całość. Sława Wam!